

Elise Title

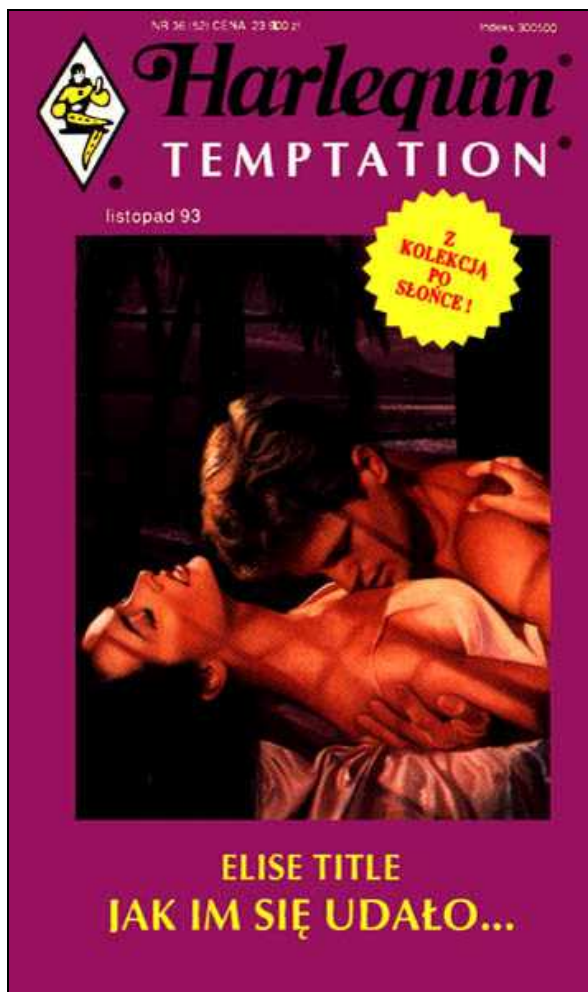
Jak im się udało



Harlequin

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan • Paryż • Sydney
Sztokholm • Tokio • Warszawa

Tytuł oryginału:
Making It
Pierwsze wydanie:
Harlequin Books, 1991
Przekład:
Melania Drwęska



ISBN 83-7070-297-X
Indeks 300500

PROLOG

Nastawione na budzenie radio u wezłowia Hannah Logan włączyło się o 6.30 rano. Odgarnęła z twarzy potargane włosy. Niechętnie odwróciła się na plecy. Sięgnęła w prawo i przełączyła alarm na cichą muzykę klasyczną. Machinalnie wzięła ze stolika nocnego sfatygowany terminarz. Na środku czarnej, skórzanej okładki widniało jej imię i nazwisko wytłoczone złotą czcionką; w dolnym lewym rogu, mniejszymi literami, umieszczono nazwę i adres przedsiębiorstwa, dla którego pracowała:

UNICOM CONSULTANTS, INC.
243 West 80th Street
New York, N.Y.10122

Odszukała stronę z harmonogramem na dwunastego grudnia. Program dnia znała na pamięć – mimo to powoli, w zadumie, przestudiowała go z góry na dół.

7.15 śniad. służb. /Hobson – przynieść teczkę McCallistera

8.40 zebr. zesp. /projekt wstępny osiedla Walston

10.00 Neilson /kierunki rozwoju – dynamika inwestycji

11.15 fryzjer – mycie/strzyżenie

12.15 lunch służb. /Petit Maison/Harrington

Hannah wysunęła pióro z okładki terminarza i szybko dopisała przy

nazwisku Harrington: sprawdzić, czy Lois zarezerwowała dla niepalących.

Przeszła do następnego punktu programu – 14.15 Urząd Miejski.

Siadła na łóżku, całkiem rozbudzona. Zaczęła szybciej oddychać. Bezwiednie zwilżyła wargi koniuszkiem języka. Przeczytała powtórnie: 14.15 Urząd Miejski. Po chwili wahania dopisała obok: Marc, a następnie zaczęła pisać: Welles. Jednak po pierwszej literze zmieniła zdanie i uśmiechając się pod nosem napisała: wych. za mąż.

Po plecach Hannah przebiegł dreszcz podniecenia. Przymknęła oczy i opadła na poduszki, zaraz jednak przypomniała sobie, że jeśli błyskawicznie nie weźmie prysznic i nie zacznie się ubierać, spóźni się na służbowe śniadanie. Dopisała jeszcze: nie zapomnieć rolexa. Zbyteczna ostrożność, nigdy przecież niczego nie zapominała.

Dzień zapowiadał się pracowicie. Hannah czytała dalej: 15.45 Unicom /zebr. Rady Nadzorczej. Powinna zdążyć. Sama ceremonia ślubna zajmie najwyżej dziesięć minut. Jeśli do tego dodać parę minut na uściski i pocałunki i parę minut sam na sam z Markiem, i jeżeli uda się potem w porę złapać taksówkę, to może nawet będzie na miejscu odrobinę wcześniej i ochłonie trochę przed rozpoczęciem zebrania. W końcu nie co dzień wychodzi się za mąż.

Doczytała rozkład dnia do końca. Przyjęcie u matki powinno się zacząć o wpół do dziewiątej. Miała nadzieję, że zebranie Rady Nadzorczej skończy się o wpół do siódmej, równie dobrze jednak mogło przeciągnąć się do siódmej. Po zebraniu musiała jeszcze wskoczyć do biura, zrobić ostatnie poprawki w projekcie, odebrać sukienkę z pralni chemicznej, przebrać się i pognać do Grammercy Park na przyjęcie ślubne. Jeśli zdąży na czas, będzie to prawdziwy cud.

Zamknęła terminarz. Więc to jest właśnie dzień jej ślubu. Poczowała szybsze bicie serca. Długo czekała na właściwego mężczyznę. Takiego, który by ją kochał i nie stawiał przeszkód na drodze jej kariery. W ich związku miłość i praca miały iść w parze. Była pewna, że im się to uda.

Marc Welles wciągnął na muskularny tors koszulkę trykotową. Monitor stojącego w pokoju komputera zaczął wyświetlać rozkład dnia. Wskakując w czarne spodenki gimnastyczne, szybko rzucił wzrokiem na ekran.

Rozkład dnia – Marc Welles – 12.12. – Głosił napis u góry monitora.

6.15 partia tenisa z Lou Fischerem

7.45 Delikatesy Kelly'ego – śniadanie służbowe z Hamptonem

9.00 Chase Manhattan Bank – finansowanie wstępne projektu Morgana

10.15 biuro – podsumować kwoty

13.30 zjeść hot doga u Zekesa, ostrzyc się u Mike'a, odebrać niebieski

garnitur z pralni

14.15 Urząd Miejski

Przez chwilę wpatrywał się w tekst na monitorze, potem pochylił się nad klawiaturą i przy słowach „Urząd Miejski” dopisał: obrączka.

Popatrzył przed siebie z czułą zadumą. Nie był to zwykły wyraz twarzy u Marca Wellesa, ekonomisty znanego raczej z energii i braku skrupułów, który mimo młodego wieku piastował wysokie stanowisko w Ośrodku Badań Strategii Rynkowych, jednej z wiodących placówek tego rodzaju w Stanach. Oczywiście, miał swoje chwile słabości, jednak życie nauczyło go, że w biznesie nie ma miejsca na sentymeny. W branży ceniono go za szybkość podejmowania decyzji, trzeźwość sądów, pewność siebie i siłę przebicia.

Oprzytomniał. Chcąc uniknąć dalszego zgłębiania kłopotliwych uczuć, podjął przerwana lekturę. O trzeciej po południu spotkanie z Melem Templarem w Jacar Communications. Jacar miało siedzibę dokładnie po drugiej stronie miasta; żeby dotrzeć na czas z magistratu, będzie mógł sobie pozwolić najwyżej na króciutki pocałunek z panną młodą. Na szczęście, uspokoił się szybko, mają całe życie przed sobą. Jakoś odbiją sobie ten pośpiech. Podobnie jak Hannah, pierwszy raz wstępował w związek małżeński. Oboje mieli nadzieję, że robią to po raz ostatni.

Doczytał rozkład do końca. Jedyńm punktem, w którym mogła nastąpić jakaś kolizja, było zebranie o szóstej piętnaście w Jersey City. Nawet gdyby wyrwał się przed końcem nasiadówki, wątpił, czy uda mu się sforsować most Waszyngtona i przejechać przez miasto na tyle szybko, by punktualnie o wpół do dziewiątej stawić się w mieszkaniu Mary Logan przy Grammercy Park. Zrobi, co będzie mógł. Hannah na pewno potraktuje wyrozumiale jego spóźnienie, w końcu sama pewnie będzie musiała stanąć na głowie, żeby dotrzeć na czas na przyjęcie.

ROZDZIAŁ 1

452 Grammercy Park

W mieszkaniu Mary Logan, matki panny młodej, zaczęło się przyjęcie ślubne. W wielkim, wysokim salonie zestawione stoły, pokryte białym obrusem, pełniły rolę bufetu. Zasłon nie zasunięto i przez francuskie okna goście mogli podziwiać tonący w śniegu park Grammercy, a za nim światła wielkiego miasta.

Salon bez trudu mieścił pięćdziesięciu zaproszonych gości. Kremowe ściany pomieszczenia zdobiły dzieła współczesnego malarstwa, środek parkietu krył puszysty, perski dywan. Meble, wśród których antyk przeplatał się z nowoczesnością, specjalnie na tę okazję porozstawiano w rogach salonu. Kryształowy kandelabr rzucał ciepłą, miodową poświatę znad głów zebranych.

Diane Quinn, Laura Winninghoff i Pamela Adams zgromadziły się w jednym z narożników salonu. Wszystkie trzy – młode, inteligentne i atrakcyjne – były koleżankami Hannah z Unicom. Leniwie raczyły się szampanem z wysokich, kryształowych kieliszków.

– Można powiedzieć, że się naszej Hannah poszczęściło – stwierdziła Laura, dopijając drinka. Omiotła wzrokiem salon w poszukiwaniu przystojnego, ciemnowłosego kelnera, który krążył wśród gości z tacą pełną alkoholi.

– Marc to faktycznie dobra partia – potwierdziła Diane w zamyśleniu.
– Ale...? – podchwyciła domyślnie Pam.
– Wydaje mi się, że zbyt pośpiesznie zdecydowali się być razem.
– Razem? – zachichotała Laura. – Nic jeszcze nie wiesz? Hannah twierdzi, że Marc wcale nie ma zamiaru wyprowadzać się od siebie.

Pam, najbliższa przyjaciółka Hannah, pośpieszyła z wyjaśnieniami.

– Mieszkanie Hannah jest za małe na dwie osoby, Marc natomiast mieszka w zbyt oddalonej od śródmieścia części Manhattanu. Od kiedy zdecydowali się pobrać, rozglądają się za czymś stosownym, wiadomo jednak, jak jest z mieszkaniami na Manhattanie.

– Kto wie – podsumowała filozoficznie Diane. – Może ich małżeństwo będzie miało większe szanse przetrwania, właśnie dlatego że nie uda im się znaleźć zbyt szybko porządnego mieszkania.

– Oczywiście. Wystarczy, że naciśną guzik i już będą razem. – Laura puściła oko do zebranych.

– Prawda! – roześmiała się Diane. – Przecież oni w prezencie zaręczynowym wręczyli sobie połączone telefony komórkowe. W każdym miejscu, i o każdej porze, mogą się ze sobą natychmiast skontaktować.

– To wcale nie jest takie śmieszne. Gdybyśmy z Donem w swoim czasie zainwestowali w telefony komórkowe, być może żylibyśmy zgodnie po dziś dzień – wyznała Laura. – A tak? Nigdy nie mieliśmy czasu, żeby poważnie porozmawiać.

– A ja twierdząc – na ustach Diane błąkał się uśmieszek – że dwie osoby intensywnie robiące karierę nie są dobrym materiałem na małżeństwo. Według mnie należy być ze sobą tak długo, póki jest to miłe, a z chwilą, kiedy coś zaczyna się psuć – trzeba brać nogi za pas. Moim zdaniem nie należy się za bardzo wiązać.

– Czy ty musisz być taka cyniczna nawet w dniu, gdy jedna z naszych przyjaciółek miała szczęście znaleźć mężczyznę swoich marzeń i dopiero co stanęła z nim na ślubnym kobiercu?! – wykrzyknęła Pam z udaną rozpaczą.

– Czy oglądaliście może ostatnio statystyki dotyczące rozwodów? – zagadnęła Laura.

– W które masz niewątpliwie swój osobisty wkład – dodała ironicznie Diane.

– No cóż, dałam z siebie wszystko, na co było mnie stać – westchnęła Laura.

– Jestem pewna, że Marcowi i Hannah uda się to, co innym nie wyszło. – Pam wyraźnie nie zamierzała dać za wygraną. – Moim zdaniem są idealną parą.

– Skoro już mowa o idealnej parze – zauważyła Laura, wciąż rozglądając się za tacą z szampanem – to chciałabym zapytać, gdzie podziewają się

szczęśliwy pan młody i jego oblubienica? Czy nie uważacie, że już najwyższy czas, by się zabrać za krojenie tortu?

Harriet i George Loganowie, wujostwo Hannah, rozsyłali na lewo i prawo uprzejme uśmiechy i ukłony. Wreszcie zwrócili się do siebie i uśmiech zniknął z ich twarzy.

– Spytałem Mary, po co ten cały pośpiech – zaczął George.

– Co na to powiedziała twoja siostra?

– „Jesteś księgowym, George. Domyśl się sam.”

– Nie rozumiem, co to ma znaczyć? – zaniepokoiła się Harriet.

– To znaczy – wyjaśnił z przesadną cierpliwością, że biorących ślub przed Nowym Rokiem obejmują znaczne ulgi podatkowe...

– George! – Niepokój Harriet przeszedł w panikę. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że Hannah wyszła za mąż, ponieważ jej się to... opłacało?

– Czy ja coś mówię? – Mężczyzna uniósł gęste siwe brwi. – Spytaj się Mary, ona wtajemniczy cię w szczegóły.

– To takie mało... romantyczne – podsumowała Harriet z westchnieniem.

– Wiem, że Mary marzył się dla córki kościelny ślub z pompą i paradą. Uważam, że nad podziw dobrze znosi to wszystko. Na pewno nie umiałabym się zdobyć na taką wyrozumiałość, gdyby nasza Margie oznajmiła, że zamierza upchnąć swój ślub w przerwie obiadowej między wykładami.

– Pamiętasz nasz ślub? – spytał nostalgicznie George, biorąc żonę za rękę.

– Byłaś prześliczną panną młodą.

– Zaproponowałam, że pożyczę Hannah moją suknię ślubną. – Harriet uśmiechnęła się smutno.

– Chyba nie wyobrażałaś sobie, że ona zgodzi się pójść do ślubu w atłasie ozdobionym koronkami?

– Skoro już o tym mowa, to gdzie właściwie podziewa się nasza panna młoda? – zaniepokoiła się Harriet. – Pana młodego też jakoś nie widzę.

Unicom – 243 West 86th Street

Hannah pracowała w szaleńczym tempie. Zebranie przeciągnęło się prawie do ósmej. Po suknię do pralni wysłała swoją sekretarkę, Lois, a sama zajęła się pracą. Musi skończyć, bo przecież jutro wyjeżdża na trzy dni.

Miodowy miesiąc. Trzy dni na St. Croix. Trzy dni i trzy noce spędzone z Markiem w promieniach podzwrotnikowego słońca, z dala od Manhattanu wraz z jego brudem, hałasem i gorączkową gonitwą. Trzy romantyczne dni w powodzi słońca, trzy noce w świetle gwiazd. To będzie coś cudownego, w

końcu nie spędzili ze sobą całych trzech dni i trzech nocy od...

No właśnie, od kiedy? Ściągnęła brwi w zadumie. Chodzili ze sobą od czternastu miesięcy, ale... nigdy nie spędzili razem całych trzech dni i trzech nocy. Nie pozwalał im na to niezwykle wypełniony rozkład pracy obojga. Nigdy nie udawało im się wyrwać na dłużej, jednak tym razem zafundowali sobie godziwy urlop, zresztą z nie byle jakiej okazji.

Zielone oczy Hannah, podświetlone poświatą monitora, przeniosły się z ekranu na oprawną w srebrną ramkę fotografią Marca, stojącą na biurku. Przez chwilę zapatrzyła się na zdjęcie jasnowłosego, uśmiechniętego mężczyzny. Był bardzo przystojny. Fotografia wiernie oddawała jego ostre, starannie wyrzeźbione rysy, szare, świetliste oczy, gęste, rozwiane wiatrem włosy. Jednak w rzeczywistości twarz Marca promieniowała nie tylko urodą, ale również humorem, pewnością siebie i tajoną zmysłowością, która czasem ujawniała się w spojrzeniu lub w głosie.

Otworzyły się drzwi i wpadła Lois z suknią w plastikowym pokrowcu. Choć sekretarka Hannah miała zawsze pełne ręce roboty, tym razem sprawiała wrażenie całkowicie wykończonej.

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było – usprawiedliwiała się, z trudem łapiąc oddech. – Najpierw nie mogłam złapać taksówki w tamtą stronę, potem w pralni okazało się, że twoja suknia gdzieś przepadła. – Schludnie wyglądająca pani w średnim wieku zerknęła na zegarek. – Boże święty, dochodzi dziewiąta. Czy twoje przyjęcie nie miało zacząć się przypadkiem przed półgodziną? Wszystko przez tego idiotę w pralni...

– Nie denerwuj się, Lois. I tak nie mogłabym wyjść wcześniej. – Zrobiła ostatni zapis na monitorze, zabezpieczyła dane i wyłączyła komputer. – Uff... – westchnęła z ulgą.

Sekretarka pospieszenie wyjęła suknię z pokrowca. Hannah wstała od biurka i zdjęła bezpretensjonalną, szarą sukienkę, w której zwykła pracować. Lois wręczyła jej zwiewną suknię z wiśniowego szyfonu. Jej wzrok zatrzymał się na fotografii Marca. Pracowała z Hannah dopiero od kilku miesięcy i nigdy nie miała okazji poznać go osobiście.

– Wygląda, że jest bardzo przystojny – stwierdziła, z powodu krótkowzroczności nachylając się nad zdjęciem.

– Uh-hm. – Hannah w białej jedwabnej halce przystępowała właśnie do wkładania odświeżonej sukni.

– Wygląda, jakby był bardzo porządnym człowiekiem.

– Uh-hm.

– Musisz być bardzo szczęśliwa.

– Uh-hm.

Lois z uśmiechem przyglądała się, jak jej smukła, wysoka szefowa boryka się z gęstwiną czarnych włosów, usiłując upiąć je w schludny koczek.

– Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście macz trempę?

– Chyba mam – przyznała Hannah niechętnie. Uśmiechnęła się blade. Na razie dała sobie spokój z upinaniem włosów i puściła je luźno na ramiona.

– To zupełnie normalne.

– Naprawdę?

– Tak samo się czułam dwadzieścia siedem lat temu.

– Dwadzieścia siedem lat temu – powtórzyła Hannah z mieszaniną podziwu i niedowierzania. – Chcesz powiedzieć, że twoje małżeństwo przetrwało dwadzieścia siedem lat?

– No... nie całkiem. – Lois roześmiała się speszona. – Pobraliśmy się dwadzieścia siedem lat temu, ale nasz związek trwał najwyżej dwadzieścia siedem miesięcy albo nawet mniej.

– Szkoda – wyszeptła, młoda kobieta, ogarnięta niewytłumaczalnym współczuciem.

– To była jedna wielka pomyłka – stwierdziła Lois, potrząsając głową. – Prawie nic o nim nie wiedziałam, za to po ślubie dowiedziałam się aż za wiele. Niestety, większość tego, czego się dowiedziałam, wcale mi nie odpowiadała. Właściwie w niczym nie zgadzaliśmy się ze sobą. Ja chciałam mieć dzieci, on nie miał na to najmniejszej ochoty. On chciał, żeby jego matka w każdą niedzielę przychodziła do nas na obiad – ja natomiast nie. Kupiłam mu szczeniaka na urodziny – oświadczył, że nienawidzi psów. – Przerwała. – Przepraszam, chyba mnie trochę poniosło. – Posłała szefowej uśmiech pełen otuchy. – Jestem pewna, że będziecie żyli długo i szczęśliwie. W końcu jesteście parą niezwykle zdolnych, błyskotliwych ludzi. Naprawdę życzę wam wszystkiego najlepszego.

Drugie podejście do upięcia włosów okazało się jeszcze mniej skuteczne. Hannah poddała się w końcu, przygładziła włosy szczotką i spięła z tyłu klamrą, wysadzaną sztucznymi diamentkami.

– Znam Marca od ponad roku. Nie podejrzewam, żeby mnie czymś znienacka zaskoczył – stwierdziła pewnym głosem.

Starła się włożyć w swoje słowa maksimum ufności i pewności siebie, jednak z przerażeniem poczuła, że ufność opuszcza ją z wolna. Myśli goniły jedna drugą. Może wcale nie znamy się aż tak dobrze? Chodzimy ze sobą od ponad roku, a ile czasu tak naprawdę spędziliśmy razem? Zacisnęła usta. W końcu nie ilość się liczy, a jakość, próbowała się uspokoić. Rozmawiamy dużo ze sobą. Wiemy sporo o sobie nawzajem. Ale... zaraz... nie jestem pewna, czy Marc nie ma alergii na psy. Nie pamiętam, czy mu mówiłam, że u mnie jest tak samo z kotami. To znaczy nie alergia, tylko po prostu nigdy za nimi nie przepadałam. Wielkie rzeczy! Najwyżej teraz mu powiem. Przy naszym trybie życia i tak nigdy nie moglibyśmy sobie pozwolić na psa ani kota.

Dostrzegła, że Lois przygląda się jej z uwagą. Czyżby czytała w myślach? Nie, to zakrawa na jakąś paranoję.

– Na pewno jest jeszcze wiele tematów, których nie poruszyliśmy z Markiem, ale oboje przywiązujemy wielką wagę do obustronnych kontaktów – oznajmiła, dumnie odrzucając głowę do tyłu. – Daliśmy sobie nawet w prezencie telefony komórkowe, żeby móc się porozumieć o każdej porze dnia i nocy – ciągnęła, wyglądając suknię. – Chociażby, żeby się tylko spytać: jak się masz?

– Rzeczywiście niezły pomysł – zgodziła się Lois uprzejmie.

Była jedna rzecz, której Hannah nie odważyła się wyznać sekretarce: zazwyczaj „jak się masz?” było jedynym pytaniem, jakie zdążyli sobie zadać. Oczywiście, to się zmieni po ślubie, a już na pewno – kiedy zamieszkają razem.

Żółta taksówka na moście Waszyngtona

Chyba po raz dwudziesty, od kiedy ruszyli, Marc Welles spojrzął na tarczę nowiutkiego rolexa. Ósma pięćdziesiąt: Poczul na czole cienką strużkę potu.

– Nie rozumiem, co się dzieje? – po raz nie wiadomo który zwrócił się do taksówkarza. – Godziny szczytu dawno mamy już za sobą! – Od czterdziestu pięciu minut posuwali się w ślimaczym tempie w tłumie innych samochodów, a jakieś dziesięć minut wcześniej na dobre utknęli w korku na moście.

– Mówiłem już panu, że to albo wypadek, albo coś naprawiają. – Rzucił wzrokiem we wsteczne lusterko. – Spiesz się pan na rozbieraną randkę?

– Niezupełnie – Marc uśmiechnął się z przymusem. – Śpieszę na przyjęcie z okazji mojego ślubu:

– Przyjęcie z okazji ślubu? – powtórzył z niedowierzaniem taksówkarz. – A gdzie panna młoda? Już się panu znudziła i zostawił ją pan w Jersey? – zażartował.

– Pobraliśmy się w manhattańskim Urzędzie Miejskim po południu, a przyjęcie odbywa się przy Grammercy Park. Powiniennem tam być już o wpół do dziewiątej. – Marc nie był w nastroju do śmiechu.

– No, no, przyjacielu. Nie powiem, żeby to był najlepszy sposób wstępowania w związek małżeński. Gdybym tak ja się spóźnił na nasze wesele, żonka z pewnością przywitałaby mnie moją własną głową na półmisku.

– To nie o Hannah się martwię. – Tym razem Marc nie mógł powstrzymać się od śmiechu. – Martwię się o jej matkę i całą resztę rodziny. Wszyscy mają nam trochę za złe, że nie wzięliśmy ślubu kościelnego, a potem nie wydaliśmy hucznego bankietu w jakiejś eleganckiej restauracji. Prawda jest

taka, że oboje jesteśmy na to zbyt zajęci. Poza tym chcieliśmy wszystko maksymalnie uprościć.

– Małżeństwo to w ogóle nie jest prosta sprawa – zawyrokował taksówkarz. – Niech no zgadnę – pracujecie oboje?

– Tak... to znaczy, mamy bardzo odpowiedzialne zawody. Hannah... moja żona jest urbanistką. Pracuje w swojej firmie dopiero od kilku lat, ale można powiedzieć, że zaszła naprawdę wysoko. Jest bardzo inteligentna, potrafi myśleć niekonwencjonalnie, naprawdę pasjonuje się swoją pracą...

Taksówkarz potakiwał ze zrozumieniem. Marc widział tylko tył jego głowy, więc umknął mu kpiący wyraz twarzy kierowcy.

– A pan, założę się, jest obrońcą sądowym.

– Nic podobnego, jestem specjalistą od badań rynkowych.

– Na pewno jest pan dobry w swoim fachu.

– Faktycznie, nie najgorzej sobie radzę. – Marc wzruszył ramionami. – Mam zresztą dalsze plany.

– Jest pan ambitny, co?

– Nie widzę w tym nic złego. – Mężczyzna czuł, że rośnie w nim rozdrażnienie, spowodowane zarówno korkiem, jak i leciutką ironią w głosie taksówkarza. W dodatku, wychodząc z biura, zapomniał włożyć telefon komórkowy do teczki. Tego rodzaju zapominalstwo było zupełnie nie w jego stylu i musiał niechętnie przyznać się przed sobą, że uroczystość w Urzędzie Miejskim nie spłynęła po nim bez śladu.

– Pannie młodej też zależy na karierze mężulka? – indagował dalej taksówkarz.

– Tak się składa, że oboje z żoną mamy ambicje zawodowe. – Marc uznał, że każda forma rozmowy oderwie go od niespokojnych myśli. – Jednak potrafimy się wczuć w sytuację drugiego. Nie rywalizujemy ze sobą w żaden sposób. Każde z nas ma własne miejsce w świecie, zamierzamy sprawiedliwie dzielić się obowiązkami domowymi... oboje uważamy, że... że małżeństwo to bardzo dobra instytucja.

Marc, z natury powściągliwy i skryty, poczuł nagle przypływ niepohamowanej gadatliwości.

– W kwestii małżeństwa nie jesteśmy tak sceptyczni, jak większość naszych przyjaciół. Naturalnie, każdy dobrze wie, jak wyglądają statystyki. Wiemy, jak trudno czynnej zawodowo parze znaleźć czas i energię na pielęgnowanie związku, ale jestem pewien, że dzięki temu czas spędzany razem będzie czasem najwyższej jakości. Naturalnie, moglibyśmy postąpić mniej ryzykownie i po prostu zamieszkać razem, jak wielu naszych znajomych. Rozważyliśmy wszystkie za i przeciw – finansowe, uczuciowe i, co tu dużo mówić, zdrowotne. W dzisiejszych czasach bezpieczniej jest mieć stałego partnera.

– No, no – cmoknął taksówkarz, uśmiechając się pod nosem. Znow podjechał pół metra do przodu. – Wygląda na to, że macie naprawdę wszystko dobrze przemyślane. Droga prosta jak stół, nic, tylko startować...

452 Grammercy Park

Hannah, z trudem łapiąc oddech, wkroczyła do mieszkania matki.

– Czy zdajesz sobie sprawę, która jest godzina? – Mary Logan rzuciła się na córkę. – Spóźniasz się Bóg wie ile na własne wesele, a Marc w ogóle nie raczył dotąd przyjść. Ja chyba zaraz oszaleję!

– Spóźniłam się tylko trzy kwadranse i to nie z własnej winy. W pralni nie mogli znaleźć mojej sukni. – Hannah wyraźnie nic sobie nie robiła z wymówek matki. Zdjęła płaszcz i radośnie cmoknęła Mary w policzek.

– Znam te twoje wymówki. – Mary Logan wyraźnie nie zamierzała dać za wygraną. – Twoja sekretarka o dziewiątej powiedziała mi, że właśnie skończyłaś pracę i jedziesz do nas. Kochanie, kiedy wreszcie dotrze do ciebie, że nawet pracować można tylko w określonym miejscu i czasie...

– Trzeba przyznać, że jak na zatroskaną matkę panny młodej wyglądasz nad wyraz pięknie. – Hannah objęła serdecznie Mary. Była wyższa od matki o dobre dziesięć centymetrów. – Masz śliczną kreację. Powinnaś częściej kupować ubiory w tym kolorze – dodała, patrząc z aprobatą na szarobłękitną jedwabną sukienkę matki.

– Przyznam, że nie rozumiem ani ciebie, ani Marca. – Mary Logan nie dawała się tak łatwo zbić z tropu. – Dlaczego nie możecie pobrać się normalnie, po ludzku... Latami wyobrażałam sobie, jak w śnieżnobiałej sukni z trenem paradujesz główną nawą kościoła...

– Jesteśmy teraz oboje bardzo zajęci. Chcieliśmy mieć te ceregiele jak najszybciej z głowy.

– Dokładnie – jak najszybciej! Oboje z Markiem wpadliście do gabinetu sędziego jak po ogień, z trudem wykrztusiliście wszystkie obowiązkowe „tak”, po czym zawróciliście na pięcie i popędziliście na ulicę, aby szukać wolnej taksówki, każdy dla siebie. Kiedy chciałam rzucać ryżem, żadnego z was nie było w polu widzenia. Cud, że nie obsypałam jakiegoś nieszczęśnika, który przyszedł zapłacić mandat.

– Ubóstwiam cię! – Hannah ze śmiechem uściskała Mary. Zamierzała pójść do salonu przywitać się z gośćmi, jednak matka mocno chwyciła ją za ramię.

– Córeczko, czy ty naprawdę kochasz Marca?

– Też mi pytanie! Oczywiście, że go kocham, i to z wzajemnością. To, że nie podchodzimy zbyt sentymentalnie do ceremonii ślubu nie znaczy wcale,

że nie zamierzamy prawdziwie angażować się w nasz związek. Domyślam się, że trudno ci to zrozumieć, ale mamy z Markiem bardzo wyraźną wizję naszego związku. Widzimy nasze małżeństwo jako coś w rodzaju... spółki z ograniczoną odpowiedzialnością.

– Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością? – Mary Logan nie mogła zapanować nad ciężkim westchnieniem. – Kochanie, w dobrym małżeństwie odpowiedzialność jest nieograniczona. Równie dobrze moglibyście przysiąc sobie na „Wall Street Journal” zamiast na Biblię.

– Cieszyłabym się, gdybyś miała więcej zaufania do mnie i do Marca. – Hannah chmurnie ściągnęła brwi.

– A propos Marca – nie wiesz przypadkiem, gdzie on się podziewa?

Hannah nie miała zamiaru przyznawać się matce, że sama się nad tym od dłuższego czasu zastanawia. Spodziewała się, że zastanie go już na miejscu. Prawdę mówiąc, wołałaby, żeby już był. Zasiane ziarno niepokoju zaczęło w niej kiełkować na dobre.

– Pewnie coś go zatrzymało w Jersey albo utknął gdzieś w korku. – Ze zdziwieniem dosłyszała we własnym głosie cień irytacji. Zwykle bardzo wyrozumiale podchodziła do spóźnień Marca, uważała, że jest to część transakcji związanej, jakiej dokonała łącząc się z mężczyzną robiącym karierę. Jednak tym razem poczuła nie znane rozdrażnienie. No cóż, bądź co bądź było to ich przyjęcie weselne.

ROZDZIAŁ 2

Północ, bar w hotelu Plaza

– Chyba powinniśmy się już zmyć, żeby nasza zakochana para mogła wreszcie udać się do swoich ślubnych apartamentów – oznajmiła Pam grupce najwierniejszych przyjaciół, którzy zdecydowali się towarzyszyć Marcowi i Hannah aż do hotelu, żeby wychylić z młodą parą ostatni... no, może przedostatni toast.

– Pali się, czy co? – zaproponował John, kolega z firmy Marca. – Przed nimi całe życie. Jeszcze sobie urządzą miodowy miesiąc.

– No to jeszcze raz zdrowko państwa młodych! – Harris Porter, drugi współpracownik Marca, mrużąc podpite oczy, podniósł kieliszek do góry. – Niech ich miesiąc miodowy trwa... – Przerwał i upił szampana. – Zaraz, zaraz, jaki jest rekord trwania miodowego miesiąca?

– Mój trwał sześć miesięcy – pochwaliła się Laura.

– Dokładnie tyle, ile twoje małżeństwo – skwitowała Diane z przekąsem.

– To prawda. – Laura wybuchnęła śmiechem. – Prawdę mówiąc, kiedy miodowy miesiąc się kończy, to już i tak jest po wszystkim, więc cieszcie się, póki jeszcze macie czym...

Hannah zerwała się z krzesła tak nagle, że oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę.

– Muszę... muszę wyjść do toalety.

– Jasne – skwapliwie przytaknął Marc, również wstając.

– Chciałam pójść sama.

Zebrani wybuchnęli śmiechem. Dopiero wtedy do Marca dotarło, że nadal stoi. Usiadł, czerwony ze wstydu.

– Nerwy, nerwy – skomentowała półgłosem Diane, nachylając się w stronę Harrisa Portera. – Czemu się dziwić – noc poślubna.

Marc poczuł płynący środkiem czoła strumyk potu. Pośpiesznie osuszył twarz chustką do nosa.

– Te, koleś, co się z tobą dzieje? – zaczął go żartobliwie Harris. – Nerwy zawiodły?

– Po prostu nie mogę się doczekać. – Welles zdobył się na znaczący uśmiech.

– Oho, pan młody daje nam sygnał do wyjścia – oświadczył zebrany John. – Chciałby już oglądać oblubienicę w stroju niedbałym.

– John, zazdrość nie musi iść w parze z wulgarnością – skarciła go Pam.

– Jacy wy jesteście szczęśliwi – westchnęła Laura, biorąc Marca za rękę. – Jesteście z Hannah po prostu idealnie dobraną parą.

– Czy można wiedzieć, co takiego kwalifikuje ich w twoich oczach na idealną parę? – zagadnęła kpiąco Diane.

– No wiesz – obruszyła się Laura – wydaje mi się to oczywiste. Oni funkcjonują na jednakowej długości fali, nawzajem odgadują swoje myśli i pragnienia. W dodatku wiedzą, jak je zaspokoić.

– Każda para z początku wydaje się idealna – skwitował John w zadumie. – My z Liz też byliśmy idealną parą, wszyscy latami nam to powtarzali. A wiecie, co powiedzieli, kiedy zaczęliśmy się rozwodzić? Że od lat się tego spodziewali. Wyobraźcie sobie tylko! A ja dotąd nie mam pojęcia, co nie wypaliło.

– O ile pamiętam, Liz oskarżyła cię o to, że nigdy nie płaczesz... – przypomniał Harris.

– Don, mój eks-mążonek, nigdy nie uronił ani jednej łzy – wyznała Laura. – Być może nie miał okazji, bo ja stale chodziłam zabeczana. Może to rzeczywiście był powód, dla którego nasze małżeństwo się rozpadło. Z kolei nie wiem, czy zniosłabym płacz, chociaż wcale nie uważam, że jest to u mężczyzny oznaką słabości...

– Jeśli o mnie chodzi – wtrąciła Diane – uważam, że mężczyźni płaczą z równą łatwością jak kobiety, i w dodatku potrafią nas szantażować łzami.

– Nie zgadzam się z tobą – sprzeciwiła się Pam. – Uważam, że każda kobieta potrzebuje mężczyzny zdolnego do głębszych uczuć, takiego, który nie wstydzi się odsłonić swoich emocji.

– Bzdury – podsumował Harris, waląc pana młodego po ramieniu. Z kieliszka, który Marc podnosił właśnie do ust, chlusnął na wszystkie strony

szampan. – Powiedz im, żeby się zamknęły. Jak przyjdzie co do czego, każda woli twardego chłopca od załzawionego mięczaka.

Panie zgodnie prychnęły pogardliwie.

– Marc, powiedz, że się z nim nie zgadzasz – zażądała Pam.

– To znaczy... tego... uważam... – przerwał. Co takiego właściwie naprawdę uważał? Z najwyższym trudem rozeznawał się we własnych myślach. Miał wrażenie, że w głowie musują mu bąbelki szampana. Zanim osuszył mokre plamy na spodniach, zapomniał, o co go pytano.

– Przyznaj się, ryczałeś kiedyś przy Hannah? – zagadnął John bez ogródek. – Uważam, że Liz żąda rzeczy niemożliwych. Prawdziwy mężczyzna rzadko kiedy się mazgai, no nie?

– A ja wiem na pewno, że Marc się kiedyś popłakał przy Hannah! – wtrąciła Pam triumfalnie, nie dopuszczając mężczyzny do głosu.

Tym razem porcja szampana wylądowała na koszuli oniemiałego Marca. Wszystkiego by się spodziewał, ale nie tego, że Hannah będzie na lewo i prawo opowiadać intymne szczegóły z ich współżycia. W dodatku, była to wyssana z palca bujda – w życiu nie popłakał się w jej obecności.

– Spokojnie, Marc – pośpieszyła Pam, widząc, jak jego twarz obleka się purpurą. – Hannah nie zdradziła mi żadnego wielkiego sekretu. Powiedziała tylko, że jak byliście na tym francuskim filmie w zeszłym miesiącu, wiesz, tym, co jej się tak podobał, zapomniałam tytułu, to pod koniec seansu oboje mieliście łzy w oczach.

– To się nie liczy – stanowczo zawyrokowała Diane.

– Nie byłabym taka pewna – sprzeciwiła się Laura. – W końcu jest to jakiś dowód na to, że w Marcu drzemią głębsze uczucia.

– Drzemią? – zarechotał John – Ciekawe, w którym miejscu – pod spodniami czy pod koszulą?

– Pewnie pod spodniami i pod koszulą – zawtórował mu Harris.

– Jesteście obrzydliwi! – obruszyła się Laura. – Marc, przyznaj, że nie jesteś pozbawiony uczuć.

– Wydaje mi się... – uśmiechnął się z zażenowaniem – wydaje mi się, że Hannah za długo siedzi w toalecie.

– Musisz dać żonce trochę przestrzeni życiowej – pouczył go Harris. – Baby teraz o niczym innym nie mówią, tylko o prawach kobiet do przestrzeni życiowej.

– Marc dobrze rozumie prawa kobiet do przestrzeni życiowej – zaczęła bronić go Diane. – Nie próbuje się nawet wprowadzić do mieszkania Hannah.

– Mądre posunięcie, brachu – pochwalił go Harris. – Nie mielibyśmy tyłu rozwodów, gdyby każda baba pozwoliła swojemu chłopcu zachować własne łóżko. Pomyśl tylko, nikt ci nie będzie cały dzień suszył głowy z tego powodu, że wsadziłeś brudną bieliznę tam, gdzie nie trzeba albo nie

zakręciłeś pasty do zębów.

– Nie wiem dlaczego, ale nie spotkałam w życiu kobiety, która miałaby problemy z zakręcaniem tubki, ani mężczyzny, który pamiętałby o tym. – Diane zamyśliła się. – Może to jest uwarunkowane genetycznie?

– Czy pamiętasz o zakręcaniu pasty do zębów, Marc? – zaatakowała Pam.

– Wydaje mi się – pan młody zmarszczył z wysiłkiem czoło – wydaje mi się, że Hannah już nie ma bardzo długo. Może źle się poczuła albo coś jej się stało?

– Faktycznie, była dosyć blada, kiedy wychodziła – przypomniała sobie Laura.

– Pójdę sprawdzić – Pam wstała z miejsca.

– Hannah? – Pam podeszła pod jedyną kabinę z zamkniętymi drzwiami. – Hannah, jesteś tam?

– Mhmm.

– Wszystko w porządku?

– Mhmm.

– Marc siedzi jak na szpilkach. Martwi się, że się źle poczułaś. Czy jest ci niedobrze?

– Nie.

– Nerwy?

– Nie.

– Skurcz cię złapał?

– Nie.

– No to co się w końcu dzieje?

Nie było odpowiedzi.

– Posłuchaj – Pam ściągnęła brwi – wszystkie panny młode są troszkę roztrzęsione w noc poślubną, to całkiem zrozumiałe. Każdy czuje się trochę nieswojo, kiedy już kłamka zapadła. Zaczynają się różnego rodzaju lęki, niepewności...

Z kabiny wydobył się cichy jęk.

– Oczywiście wy z Markiem nie macie powodów do obaw. Wszyscy uważamy, że jesteście doskonale dobraną parą. Jesteście tak bardzo... razem. Dopracowaliście zasady waszego związku w najdrobniejszych szczegółach. Rozumiecie się nawzajem...

Jedyną odpowiedzią było pociąganie nosem.

– Hannah?

– Mhmm.

– Płaczesz?

– Mhmm.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie możesz wyjść z tej kabiny?
- Wolałabym... wolałabym nie – odpowiedziała stłumionym głosem.
- Czy mogłabyś mi wyjaśnić, dlaczego? – spytała Pam, zdezorientowana niecodziennym zachowaniem przyjaciółki.
- Nie, nie mogłabym.
- Co mam powiedzieć Marcowi?
- Powiedz mu... – umilkła na chwilę – powiedz mu, żeby tu przyszedł.
- Tutaj? – spytała Pam z niedowierzaniem.
- Tak, tutaj.

Pam w paru słowach zrelacjonowała Marcowi sytuację w toalecie.

– Znajdziesz ją w ostatniej kabinie – zakończyła ze znaczącym uśmiechem.

Niepewnie wkroczył do damskiej toalety, starając się nie oddalać zbyt od drzwi wejściowych.

- Hannah?
- Czy to ty, Marc?
- Ilu męskich bywalców damskich toalet wie, jak masz na imię? – zażartował. – A tak między nami mówiąc, to ilu mężczyzn w ogóle odwiedza toalety dla pań?

– Chyba... niezbyt wielu.

– No widzisz. Może poszlibyśmy porozmawiać w jakieś miejsce..., hmm... mniej przypisane konkretnej płci?

- Marc...
- Słucham...
- Czy lubisz psy?
- Czy ja lubię psy?
- Tak, czy lubisz psy?
- Nie rozumiem.
- To chyba nie jest trudne pytanie.
- Nie. To znaczy, tak. Lubię psy... w miarę. Nie powiem, żebym miał z nimi wiele do czynienia, ale lubię. Czy jest jakiś powód, który każe ci myśleć o psach właśnie w dzisiejszą noc?

- Nie, nie ma takiego powodu.
- Hannah, proszę cię, wyjdź już stamtąd. – Marc podszedł do kabiny i zastukał leciutko w drzwi.
- Czuję się jak idiotka.
- Całkiem niesłusznie. Jesteś bardzo inteligentną dziewczyną.
- Pewnie tam wszyscy się ze mnie śmieją.
- Nic podobnego. – Otarł pot z czoła. – Wszyscy wiedzą, że panny młode

bywają... nerwowe.

– Naprawdę? Ile widziałeś w życiu panien młodych barykadujących się w ubikacji?

– Jak się nad tym zastanawiam, to muszę przyznać, że niezbyt wiele. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Kłamiesz. Żadna tak nie robi.

– To znaczy że jesteś jedyna w swoim rodzaju. Proszę cię, wyjdź, zanim ktoś tutaj wejdzie i spędzę resztę nocy poślubnej w areszcie, pod zarzutem nieprzystojnego zachowania w miejscu publicznym.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. To idiotyczne... ale... czuję się tak, jakbym...

– Wiem – uspokoił ją – ja też się tak czuję.

Szczęknęła zasuwka i w drzwiach kabiny stanęła wymizerowana Hannah, patrząc niespokojnie na świeżo poślubionego małżonka.

– Naprawdę też się tak czujesz?

– Naprawdę, kochanie.

Przytuliła się do niego.

– Muszę chyba okropnie wyglądać – poskarżyła się i przyglądała włosy.

– Wyglądasz ślicznie.

Rozpogodziła się, ale zaraz obrzuciła go uważnym wzrokiem.

– Ty za to nie wyglądasz kwitnąco.

– Ja? – zachnął się. – Czuję się... nieźle. Całkiem dobrze. Może jestem troszeczkę... wstawiony. Przedobrzyłem z szampanem. Ile razy odstawiałem kieliszek, Harris dolewał mi do pełna.

– Jesteś strasznie błądy i spocony. – Hannah była wyraźnie zaniepokojona.

– Chyba rzeczywiście czuję się jakoś... dziwnie – uśmiechnął się z przymusem.

– Siadaj. – Siłą posadziła go na sedesie. – Przyniosę wilgotne ręczniki. – Z pojemnika przy umywalkach wyszarpnęła plik papierowych ręczników. – Ten Harris jest zupełnie nie do wytrzymania. Nie dość, że sam lubi pić, to jeszcze nie może wytrzymać, dopóki wszyscy wokół nie upiją się razem z nim. – Odkręciła kran czekając, aż napłynie zimna woda. Namoczyła ręczniki i wyżyła. Z prowizorycznym kompresem w ręku odwróciła się w stronę kabiny. Drzwi były zamknięte.

– Marc, dobrze się czujesz?

W chwili, kiedy wymawiała jego imię, drzwi toalety otworzyły się i do środka wkroczyła, popatrując podejrzliwie na Hannah, elegancko ubrana kobieta w średnim wieku.

– Koleżanka... źle się poczuła. Przedobrzyła z szampanem – wymamrotała pośpiesznie Hannah, siląc się na uśmiech.

W kabynie Marc wymiotował, nieświadom toczącej się w umywalni rozmowy.

– Kochanie, strasznie mi przykro – odezwał się nagle zza drzwi. – Muszę ci coś powiedzieć.

Hannah niespokojnie zerknęła w stronę nieznaną, zajętej poprawianiem fryzury przed lustrem. Z lustra odpowiedziało jej spojrzenie pełne nagany.

Hannah znacząco poklepała się po piersi.

– Koleżanka ma zapalenie oskrzeli.

– Hannah – powtórzył Marc żałośnie.

– Zaraz, zaraz... kochanie, potem mi wszystko powiesz. Na razie siedź tam i ogarnij się troszkę, dobrze?

– Kocham cię!

Nieznaną schowała kosmetyczkę do torebki i odwróciła się na pięcie. Na odchodnym posłała młodej kobiecie spojrzenie pełne głębokiego potępienia. Hannah bohatercko zdobyła się na uśmiech.

– Chodźmy już wreszcie na górę. Marzę o tym, żeby znaleźć się z tobą w łóżku... – marudził z kabiny Marc.

W apartamencie o ścianach barwy kremowego różu bez słów dogadali się, że nie zamierzają korzystać z gestu kierownictwa hotelu, które wstawiło do ich pokoju kubełek z szampanem. Oboje mieli już lekko w czubie, a żadne z nich nie znosiło dobrze alkoholu. Zawsze szczylicili się rozsądkiem i trzeźwością, teraz jednak, o dziwo, nie mogli odnaleźć w sobie ani jednego, ani drugiego. Szumiało im w głowach, żołądki buntowały się przeciwko swojej zawartości.

– Czujesz się już lepiej? – spytała Hannah z przesadną troską.

– Aha. A ty?

– O wiele lepiej – odpowiedziała, jednak w jej głosie brzmiała jakaś nieszczera nuta.

– Czy sprawa psa... ma w tej chwili jakieś znaczenie

– Najmniejszego – zaprzeczyła rozbawiona.

– To dobrze. – Marc przysiadł na filigranowej kozetce z mahoniowymi nóżkami. – Ładnie tu... prawda?

– Mówisz o apartamencie? Zgadza się, jest tu bardzo pięknie. Prześlizgnij się.

– Jak to miło ze strony twojej matki, że właśnie tutaj załatwiła nam nocleg.

– Moja matka uwielbia ten hotel. Poza tym uważa, że powinniśmy chociaż troszkę uszanować tradycję. Nie była zbyt zachwycona naszą

uroczystością ślubną. Jej jedynaczka... wydaje mi się, że poczuła się trochę oszukana. Od lat czekała na tę chwilę.

– Prawdę mówiąc, moja rodzina też nie była specjalnie zachwycona – przyznał Marc. – W dodatku ojciec miał za mało czasu, żeby zorganizować przyjazd.

– Mogła się zjawić twoja mama.

– To niemożliwe. Ona nigdy nie podróżuje bez ojca. Zawsze tak było. Poza tym, śmiertelnie boi się samolotów. Jeśli chodzi o resztę... no cóż – Susie właśnie urodziła bliźnięta, Gordon jest gdzieś w rozjazdach, Alicia... no, trójka dzieci – poza tym nie ma zaufania do Manhattanu. Boi się, że zanim dojedzie z lotniska do hotelu, padnie ofiarą napadu rabunkowego.

– Nie jest to takie całkiem nieprawdopodobne – roześmiała się Hannah.

– Skoro już mowa o lotnisku – czy odebrałaś nasze bilety?

– Na St. Croix? Oczywiście – westchnęła. – Pomyśl tylko, już jutro będziemy siedzieć na naszym własnym patio, podziwiać szmaragdową toń morza, patrzeć w gwiazdy na podzwrotnikowym niebie, włosy będzie rozwiewał nam ciepły wiatr...

– To rzeczywiście brzmi cudownie.

– Wszyscy mówią, że St. Croix to znakomite miejsce na miodowy miesiąc. Całe trzy dni. Trzy dni i trzy noce. Spróbuj to sobie wyobrazić.

– Próbuję. – W jego głosie pojawił się jakiś obcy ton.

– Na pewno nie jesteś zły, że wybrałam właśnie St. Croix? – zaniepokoiła się.

– Ależ skąd, uważam, że to świetny pomysł. Trzy dni i trzy noce...

– Przyszło mi do głowy... nigdy jeszcze nie byliśmy tak długo ze sobą.

– Jak to nie? – zdziwił się. – Jesteś pewna?

– Całkowicie. Długo się nad tym zastanawiałam. Nigdy nie spędziliśmy pod rząd trzech dni i trzech nocy.

– No to, jak na pierwszy raz, St. Croix jest wcale nie najgorszym miejscem – zaśmiał się niepewnie.

– Zdaje się, że John Moss był w podróży poślubnej na St. Croix. A może na Bermudach? – zastanawiała się na głos.

– Na pewno na Bermudach – oznajmił Mart stanowczo, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie John bawił po ślubie.

Nie chciał jednak, żeby w tej sprawie cokolwiek go łączyło z rozwiedzionym kolegą.

– Bermudy są niezłe, ale o tej porze roku chyba nie jest tam naprawdę ciepło. – Hannah również nie miała ochoty mieć nic wspólnego z rozwiedzioną parą.

– Na pewno nie. St. Croix jest o wiele lepszym miejscem – poparł ją.

– Szkoda, że nie możemy się wyrwać na dłużej – zasmuciła się nagle. –

Ale trzy dni i trzy noce to też jest coś.

– Trzy dni wylegiwania się w słońcu, w ogóle nie mogę sobie tego wyobrazić! – oświadczył entuzjastycznym tonem. W rzeczywistości jednak nie mógł sobie wyobrazić, jak będzie znosił podróż poślubną, skoro tak kiepsko funkcjonował już w noc poślubną.

– Trzy noce – westchnęła Hannah w rozmarzeniu. Podeszła do okna i odsunęła ciężką, brokatową zasłonę. W dole rozciągał się Central Park. – Zaczyna padać śnieg. Mam nadzieję, że nie będziemy mieli jutro żadnych kłopotów z wystartowaniem. To byłoby straszne, gdyby wstrzymano odloty.

– Ehm... tego... – Marc przysiadł z powrotem na kozetce – zapomniałem ci powiedzieć, że muszę jutro wstąpić do biura przed odlotem. Mam tam kilka... drobiazgów do wykończenia. W parę godzin powinienem się z tym uporać.

– Nic nie szkodzi, kochanie... – Hannah odwróciła się od okna i spojrzała mu w oczy. – Dzięki temu będę mogła spokojnie przejrzeć w domu całą masę papierów i nie będę musiała brać ich ze sobą na St. Croix.

– To świetnie, ja też nie będę musiał brać roboty ze sobą.

– Pobraliśmy się w gorącym okresie. – Posłała mu czuły uśmiech.

– Fakt.

– Mama pyta, czy ma w czasie naszej podróży obdzwaniać agencję do spraw nieruchomości?

– Po co?

– Żeby w razie czego położyć rękę na jakimś... mieszkaniu dla nas.

– Jasne. Znakomity pomysł.

– Moim zdaniem ona uważa, że nasz układ jest troszeczkę... jakby to powiedzieć... dziwny. No wiesz, chodzi jej o to, że każde z nas zostaje u siebie.

– Przecież tak nie jest. To znaczy – w tygodniu – tak, ale w weekendy będziemy razem.

– W końcu zresztą znajdziemy jakieś mieszkanie odpowiednie... dla każdego z nas.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – przytaknął Manc pewnym głosem.

– Ja też nie. Uważam zresztą, że to nie jest żaden problem – oznajmiła Hannah pogodnie, jednak nadal kurczowo ścisnęła w dłoni brokatową zasłonę.

– No to... – Z klaśnięciem dłoni podniósł się z kozetki.

– No to... – powtórzyła za nim.

– Chodź do mnie. – Wyciągnął ręce w jej stronę.

– Wolałabym – zawahała się – wolałabym, żebyś wyszedł mi naprzeciw.

– Zawsze – odparł z uśmiechem – w każdej sprawie będę ci wychodził

naprzeciw.

Żadne z nich nie postąpiło ani kroku.

– Marc?

– Czy znowu będziesz mnie indagować w sprawie psów?

– Nie – roześmiała się. – Nie w tej sprawie.

– Możesz mnie pytać, o co tylko zechcesz.

– Marc – chwilę trwało, zanim zebrała się w sobie – czy jesteś pewien, że nam się uda? To znaczy... że nie zdarzy nam się to, co Laurze Winninghoff i Johnowi?

– Oczywiście że nie – stwierdził z całą mocą. – Przecież ty w niczym nie przypominasz Laury.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No wiesz... ona jest nieuleczalną romantyczką w kwestii małżeństwa. Nie żebym akurat uważał, że małżeństwo powinno być wyzute z romantyzmu...

– Nie tłumacz się, wiem, o co ci chodzi. Masz rację, w niczym nie przypominam Laury. A ty też... nie przypominasz Johna Mossa i chwala Bogu – zakończyła z chichotem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Kącik ust Marca drgnął nieznacznie.

– To chyba jasne. On jest taki sztywny... no, chyba sam czujesz, że nie jesteś taki jak on.

– Hannah?

Coś w jego głosie ostrzegło ją, że zbliżają się do niebezpiecznej rafy.

– Czy ty... – przerwał i podjął od nowa – czy sądzisz...?

– Co sądzę o czym?

– Pamiętasz ten francuski film, na którym byliśmy parę miesięcy temu?

– Nie wiem, o który ci chodzi. Byliśmy na kilku francuskich filmach.

– Ten, w którym na końcu ta kobieta umiera, a jej kochanek usiłuje przedrzeć się przez korki na autostradzie, żeby dojechać na czas.

– Oczywiście, że pamiętam. Genialny film, nie uważasz?

– Owszem, znakomity, tylko że potem... no wiesz, śmiałaś się troszkę ze mnie.

– Ja się z ciebie śmiałam? – Ściągnęła brwi, usiłując wygrzebać z pamięci tamten wieczór. – Z jakiego powodu?

– Miałem zaczerwienione oczy. Popłakałem się na zakończenie. To było takie smutne.

– Och... strasznie mi przykro. Nie chciałam ci dokuczyć. Ja też się trochę popłakałam. To był okropnie smutny film. Nie ma się czego wstydzić.

– Faktycznie, nie ma się czego wstydzić – powtórzył z ulgą.

– Czy przez ten cały czas byłeś na mnie zły, że się z ciebie śmiałam? – spytała z niepokojem.

– Ależ skąd. Po prostu myślałem dzisiaj o... facetach, którzy ryczą w kinie.

– Ja nie mam nic przeciwko temu.

– To mi się bardzo rzadko zdarza.

– Mnie też, zresztą nie ma o czym mówić.

– Po prostu... nie chciałem, żebyś sobie pomyślała, że lubię się roztkliwiać, z drugiej strony jednak – dodał pośpiesznie – nie chciałem, żebyś myślała...

– Nie ma obawy – zapewniła go łagodnie. – Dobrze wiem, że jesteś... taki właśnie, jakim chciałyby cię widzieć.

– To samo czuję w stosunku do ciebie.

Jednocześnie podeszli do siebie.

– Trochę głupio się czuję – wyznała Hannah. – Jakoś tak... oficjalnie.

– Bądź co bądź to jest noc poślubna. – Z uśmiechem wziął ją za rękę. – To zobowiązuje.

– Właśnie. Zobowiązuje. Mam wrażenie, że tak naprawdę potrzeba nam wypoczynku. To jest noc jak każda inna, tyle tylko, że wypadło nam ją spędzić w luksusowym apartamencie hotelu Plaza.

– Jeżeli nie chcesz – nie musimy się kochać. – Poklepał ją dobrotliwie po ramieniu i dodał, siłąc się na lekki ton: – W końcu mamy całe życie przed sobą, możemy się kochać, kiedy chcemy.

– Ja mam ochotę, ale jeśli ty nie czujesz się na siłach... – zawiesiła głos.

– Dlaczego nie miałbym się czuć na siłach?

– No wiesz... twój żołądek.

– Aa... żołądek. Nie, już wszystko w porządku. – Zarumienił się na wspomnienie incydentu w damskiej toalecie. – Trzeba przyznać, że wiele rzeczy robię dzisiaj po raz pierwszy w życiu. Pierwszy raz wziąłem ślub, pierwszy raz odwiedziłem toaletę dla pań...

– Szkoda, że nie widziałeś miny tej biedaczki, kiedy wrzeszczała z kabiny, że mnie kochasz – zachichotała.

– Koleżanka z zapaleniem oskrzeli, niezły numer – wybuchnął śmiechem.

– Dobrze, że się nie zorientowała, co się naprawdę dzieje, bo mogła wezwać gliniarzy i rzeczywiście spędziłbym noc poślubną za kratkami.

– Cieszę się, że nie wylądowałaś w areszcie. – Musnęła jego wargi. – Noc poślubna bez ciebie, to nie byłoby to samo.

– Naprawdę cię kocham. – Wierchem dłoni pogłaskał ją po policzku.

Znów się pocałowali, ale żadne z nich nie mogło pozbyć się uczucia, że nad tą nocą obowiązkowej rozkoszy unosi się jakaś atmosfera sztuczności.

– Co ty na to, żeby... przejść do sypialni? – zaproponował Marc.

– Owszem, to jest dobry pomysł.

Marc wziął głęboki oddech, po czym schylił się i gestem Retta Butlera

chwycił Hannah na rękę.

Objęła go za szyję i oparła mu głowę na ramieniu. Prawdę mówiąc kierowały nią pobudki niezbyt romantyczne – od paru godzin bezskutecznie usiłowała pozbyć się bólu głowy, który rozsadzał jej skronie.

Nie wiedziała, że Marc ukradkiem łyka tabletki przeciw niestrawności, zresztą bez większego skutku. W połowie drogi do sypialni zatrzymał się.

– Hannah?

– Co, Marc?

– Co byś powiedziała na niewielki spacer? Zawsze lubiłem... spacerować po śniegu.

– Naprawdę? – zasępiła się. – Nie wiedziałam o tym. – Ilu jeszcze rzeczy nie wiedziała o Marcu? Głowa do góry, próbowała dodać sobie otuchy. W końcu już dowiedziała się, że lubi psy. Co zresztą nie znaczy, żeby miała zaraz kupować psa.

– No więc, co ty na to?

– Spacer? Znakomity pomysł.

– Prawda? Przejdziemy się po świeżym powietrzu, dookoła pełno śniegu...

– Najpierw chyba będziesz musiał mnie postawić – zwróciła mu uwagę.

– Chyba jeszcze nigdy nie nosiłem cię na rękach – oświadczył.

– No widzisz. Kolejna rzecz, którą dzisiaj robisz po raz pierwszy.

Pocałował ją leciutko w usta i opuścił na ziemię. Skierowali się do wyjścia. Marc szybko łyknął kolejną tabletkę przeciw zgadze, a Hannah pomodliła się w duchu, żeby rześkie powietrze nocy uleczyło jej ból głowy.

ROZDZIAŁ 3

Mieszkanie Hannah, 4354 West 97th Street

– Dziękuję, że przyszedł mi pomóc się spakować. Nie mam pojęcia czemu, ale wszystko mi dzisiaj leci z rąk – zwróciła się Hannah do Pam, przerzucając zawartość szuflady w poszukiwaniu góry od opalacza.

– Też by mi się ręce trzęsły następnego ranka – pocieszyła ją Pam. – Czy... czy było cudownie?

– Uh-hm – wymamrotała Hannah niezbyt przytomnie.

– Apartament w hotelu Plaza, niech mnie licho. To musi być idealne miejsce na noc poślubną.

– Owszem, idealne. – Hannah z trzaskiem domknęła szufladę.

– Spałaś chociaż trochę w nocy?

– Prawie oka nie zmrużyłam – odpowiedziała, nie przyznając się do tego, że przyczyną bezsenności nie były dzikie porywy namiętności, lecz ból głowy i dręczący niepokój. W dodatku Marc przedobrzył z tabletkami. Oczywiście, w końcu jakoś się pokochali, wyszło im, chociaż z trudem. Tam, gdzie są chęci, zawsze znajdzie się sposób. Tyle że ten sposób nie zawsze jest zadawalający.

Hannah zanurkowała do szafy po pudło z letnimi rzeczami, licząc, że wśród nich znajdzie górę od opalacza. Zaczęła przekopywać stertę szortów, sweterków, bawełnianych koszul nocnych.

– Nie ma. Padłam ofiarą rabunku. Złodziej staników od opalaczy znów grasuje po mieście – oświadczyła zrezygnowana, przysiadając na podłodze.

– Czy myślisz, że złodziej staników może mieć jakieś powiązania ze złodziejem skarpetek? – zachichotała Pam. – A swoją drogą – rozumiesz może, dlaczego złodziej zawsze kradnie tylko jedną skarpetkę od pary?

– Z tych samych pokrętnych pobudek, dla których złodziej staników zawsze kradnie tylko górę od opalacza, nigdy nie zabierając dołów. Prawdziwym celem jego zabiegów jest wprawienie ofiar w stan frustracji i ostatecznego zagubienia.

– Wydaje mi się, że nie powinnyśmy się mu poddawać. Brak skarpetki czy góry od opalacza nie powinien nikogo wprawiać w stan ostatecznego zagubienia.

– Chyba kupię sobie nowy opalacz na St. Croix. – Hannah oplotła kolana rękami.

– Mogłabyś też nosić topless – zasugerowała frywolnie Pam, oczekując na srogą replikę. Jej przyjaciółka słynęła ze skromności.

– Właśnie – potwierdziła nieprzytomnie Hannah.

– Coś mi się zdaje, że małżeństwo bardzo cię zmieniło. – Ubawiona Pam przysiadła obok niej na podłodze.

– Co? – Hannah omiotła ją martwym wzrokiem.

– Ty i topless?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Właśnie powiedziałam, że mogłabyś na St. Croix nosić topless, a ty mi przytaknęłaś.

– Naprawdę?

– Co się z tobą dzieje, dziewczyno? Myślałam, że po wczorajszej pogawędce w damskiej toalecie między wami wszystko jest w porządku.

– Bo jest w porządku. Tylko, po prostu... nie tak sobie wyobrażałam małżeństwo.

– A jak sobie wyobrażałaś? – spytała Pam.

– Że wszystko będzie... po staremu. – Zaczęła bezmyślnie składać w kostkę parę białych szortów. – Nie przypuszczałam, że będzie tak... dziwnie i obco. Jedno małe „tak” i nagle wszystko zaczyna wyglądać zupełnie inaczej. Siedzę w szpanerskim apartamencie hotelu Plaza z facetem, którego znam od ponad roku i nagle zaczynam się czuć... nieswojo. I on też czuje się nieswojo. Już nie jest tak jak przedtem.

– Bo nie ma być tak jak przedtem. Po ślubie ma być inaczej. O to właśnie chodzi, że po ślubie ma być inaczej. Tak twierdzi doktor Rusman. Współzycie dwojga ludzi nie jest dostateczną podstawą udanego związku. Prawdziwą moc wiążącą ma dopiero akt ślubu.

– Kto to jest doktor Rusman? – zaniepokoiła się Hannah, wkładając

złożone szorty do walizki.

– Kto to jest doktor Rusman? – Pam wyglądała na zaskoczoną. – Doktor Harold S. Rusman jest światowej sławy specjalistą od zagadnień małżeństwa. Jego „Przysięga małżeńska: więzy, które scalają, więzy, które dławią” od dwu miesięcy figuruje na czele każdej listy najbardziej poczytnych książek w Stanach. Książka jest po prostu niesłychana. Rusman koncentruje się na sprzeczności, jaka zachodzi między naszą potrzebą samotności i jednoczesnym pragnieniem intymności. Jest to swoisty paradoks. Wszyscy mamy opory wobec intymności, a jednocześnie śmiertelnie boimy się samotności. Rusman dokonuje w książce bardzo głębokich spostrzeżeń. Uprzysłowi na przykład, że samotność jest czymś, co osiągamy sami, podczas gdy związek osiągamy razem.

Hannah wybuchnęła śmiechem.

– Nie wiem, co cię tak śmieszy – obruszyła się Pam. – Może nie umiem tego ładnie ubrać w słowa...

Hannah nie dała jej skończyć. Podeszła do przyjaciółki i uściskała ją serdecznie. Od wielu dni nie czuła się tak dobrze jak teraz.

– Dziękuję, Pam.

– Za co niby?

– Nnoo... za to, że studiujesz listy najbardziej poczytnych książek, za to, że znasz doktora Horace’a S. Rusmana...

– Harolda. Poza tym wcale go nie znam, w każdym razie osobiście. Chociaż muszę przyznać, że kiedy czytałam jego książkę, czułam się tak, jakby sam przemawiał do mnie. – Spojrzała w zadumie na Hannah. – Moim zdaniem powinnaś kupić sobie tę książkę na lotnisku. Uważam, że to obowiązkowa lektura dla każdej pary, której zależy na optymalnym funkcjonowaniu związku. Zobaczysz, że zupełnie zmieni twój punkt widzenia. Naturalnie, nigdy nie powinna wpaść w ręce Marca. To nie jest książka dla mężczyzn. Myślę jednak, że sama mogłabyś mu wyłożyć pewne kwestie. Jest na przykład u Rusmana genialny rozdział o seksie: „Dar, który sam obdarowuje”...

– „Dar... który sam... obdarowuje”?! – Hannah krztusiła się ze śmiechu. Po twarzy płynęły jej łzy.

– Możesz się śmiać, ile chcesz, Rusman i tak przejrzy cię na wylot. Zwłaszcza jego ostatni rozdział może cię zainteresować.

– Ostatni rozdział? – Hannah całą siłą woli usiłowała powstrzymać się od śmiechu. – Ciekawe, jaki ma tytuł? Pewnie: „Pieniądz, dar, który sam się wydaje”.

– Wręcz przeciwnie – oznajmiła Pam z łobuzerskim uśmiechem. – Dotyczy przysięgi małżeńskiej i nosi tytuł: „Wypowiedziane: «tak», nie wypowiedziane: «nie»”.

Hannah przestała się śmiać.

Ośrodek Badań Strategii Rynkowych, róg Trzydziestej Dziewiątej i Madison

– Nie spodziewałem się tu pana dzisiaj, Welles.

Marc podniósł wzrok znad biurka i posłał znużony ukłon w stronę Douglasa Rydera, trzydziestosześcioletniego szczupłego, energicznego szefa Ośrodka.

– Zawsze jestem w biurze w soboty, panie Ryder.

– Wiem, wiem, Welles, ale czy pan przypadkiem nie ma lecieć dzisiaj w podróż poślubną na Bermudy?

– Na St. Croix. Tak jest, umówiłem się z Hannah na lotnisku. – Zerknął na zegarek. – Mam jeszcze parę godzin, więc postanowiłem wykończyć tutaj różne rzeczy, tym bardziej że wracam dopiero we środę.

– Szkoda, że musimy się aż tak spieszyć z akcjami Bloomenthala, w przeciwnym razie mógłby pan polecieć na cały tydzień.

– Nic się nie stało, Hannah i tak musi wracać. Bierze udział w naradzie na temat projektu parku miejskiego w dolnym Westside.

– Małżeństwo z kobietą sukcesu to bardzo trafny wybór, Welles. – Ryder uśmiechnął się protekcyjnie. – Taka kobieta zna reguły, rządzące naszym światem. Nigdy nie zapomnę jak Betsy, moja pierwsza żona, ciągle suszyła mi głowę, że nie spędzam z nią dosyć czasu. Człapała znudzona cały dzień po domu i wiecznie miała pretensje, że nie lecę na złamanie karku, żeby ją zabawić. Tymczasem żona czynna zawodowo, zwłaszcza jeśli robi przy tym jakąś karierę, nie ma nawet czasu na rozrywki. Ma swój własny rozkład zajęć, własne obowiązki. Rozumie ilu trzeba wyrzeczeń, żeby dojść do czegoś.

– O tak, z pewnością – potaknął Marc w zadumie. – Czasami Hannah jest jeszcze bardziej zajęta ode mnie.

– Teraz jednak, jeśli pan pozwoli, udzielę panu paru przestroóg, dotyczących małżeństwa z kobietą sukcesu. – Ryder oparł się łokciem o biurko i zawisł nad Markiem. – Moja druga żona, Cindy, była prawnikiem. Szatan nie kobieta. W sądzie, chłopie, wolałbyś jej nie spotkać nawet na korytarzu. Niestety, nie miała umiaru. Cały czas usiłowała mi dowieść jaka jest bystra, twarda i nie do pokonania. Pokazać, że mnie w ogóle nie potrzebuje. Nie zmieniła nazwiska po ślubie, pomyślałem sobie: niech jej będzie. Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko feministkom. Nie chciała prac ani sprzątać... nie ma sprawy, wzięliśmy gospozię. Kiedy jednak założyła tę swoją spółkę i zaczęła przynosić do domu więcej pieniędzy niż ja, wtedy zaczęła mną pomiatać na całego. Już nie byliśmy równi – ja byłem gorszy.

Sęć w tym, Welles – Ryder pokiwał po belfersku palcem – te żeniąc się z kobietą sukcesu, będziesz musiał się z nią całe życie ścigać. Tylko wtedy masz jakie takie szanse na udane małżeństwo.

Marc uśmiechnął się blade. Jak to możliwe, że Ryder, który znał przepis na powodzenie małżeństwa, sam poniósł trzykrotną klęskę na tym polu? Wszyscy w Ośrodku wiedzieli, że Ryder jest świeżo upieczonym rozwodnikiem. Tym razem nie powiodło mu się z nauczycielką imieniem Angela.

– Niech pan lepiej weźmie poprawkę na pogodę, Welles. – Sześć wyprostował się i postukał palcem w biurko Marca. – Zaraz spadnie śnieg. Niech pan sobie doliczy parę minut na dojazd do lotniska. – Odchodził już, ale w ostatniej chwili zawrócił. – Skoro ma pan jeszcze trochę czasu, to może jeszcze raz by pan zerknął na konto Bloomenthala. Poprosiłem wczoraj o to Mathesona, który wniósł kilka zastrzeżeń. Myślę, że w pół godziny... no – trzy kwadransy, upora się pan z tą robotą. – Ryder uśmiechnął się przebiegle. – Jeśli da pan sobie z tym radę, łatwiej będzie panu wygrać wyścig z żoną.

– Nie ma sprawy – potulnie zgodził się Marc, wiedząc jednak, że sprawa jest dosyć poważna. Rozpatrzenie wątpliwości Mathesona zajmie mu co najmniej dwie lub trzy godziny. Jeśli bardzo się spręży, może uda mu się uporać ze wszystkim w półtorej. Wtedy będzie miał jakie takie szanse, aby zdążyć na lotnisko.

Lotnisko Kennedy’ego

Mimo gęstego śniegu Hannah dojechała na lotnisko z czterdziestominutowym wyprzedzeniem. Oddała bagaż i powędrowała do sklepu z upominkami kupić sobie paczkę gumy do żucia na drogę. Kiedy czekała w kolejce do kasy, jej wzrok padł na stojak z książkami. Na samej górze, nad naklejką z napisem: „Numer 1 na liście bestsellerów” widniała twarz nie kogo innego, lecz doktora Harolda S. Rusmana. W poprzek świecącej łysiny biegł napis: „Przysięga małżeńska”. Pod kozią bródką widniał podtytuł: „Więzy, które scalają, więzy, które dławią”.

Hannah studiowała okładkę z lekceważącym uśmieszkiem. Nigdy nie miała specjalnego zaufania do poradników. Jej zdaniem aż nazbyt wiele kobiet trwoniło swój drogocenny czas na analizowanie i roztrząsanie swoich związków. Uśmiechnęła się szerzej, kiedy przypomniła sobie ulubiony przepis wuja George’a na udane małżeństwo. Wuj nie wymyślił go sam, cytował tylko za Woody Allenem: „Osiemdziesiąt procent sukcesu to stawić się na czas”. Jeśli chodzi o pozostałe dwadzieścia procent... no cóż, wuj George twierdził, że nie zaszkodzi stawić się z uśmiechem na ustach. W

przypadku, kiedy nie zdążyło się na czas, należy stawić się z kwiatami.

Siląc się na możliwie najbardziej obojętną minę, zdjęła książkę ze stojaka. Postanowiła pośmiać się chwilę nad spisem treści.

– Nie marnowałabym na to pieniędzy – rozległ się za jej plecami głos z silnym niemieckim akcentem.

Hannah zaczerwieniła się. Spojrzała przez ramię i zobaczyła drobną, siwą paniusię około sześćdziesiątki, której schludna fryzura nasuwała skojarzenie ze słynną terapeutką seksualną, niejaką doktor Ruth.

– Ja wcale... w ogóle nie miałam zamiaru tego kupować. – Czym prędzej odłożyła książkę na stojak. – Czekam, żeby... zapłacić za gumę do zucia. – Na dowód prawdziwości swoich słów pokazała starszej pani paczuszkę gumy.

– Jestem zamężna od trzydziestu siedmiu lat i grosza bym nie dała za to, co wypisują w książkach – pochwaliła się kobiecinka z przyjaznym uśmiechem.

– Całkowicie się z panią zgadzam – pośpieszyła Hannah z gorącym zapewnieniem. – Trzydzieści siedem lat? Cały czas z tym samym mężczyzną? – zdziwiła się po chwili.

– Oczywiście, że z tym samym.

– To musi być cudowne – rozanieliła się Hannah.

– Cudowne? Raz tak, raz nie. Raz nudne, kiedy indziej ciekawe. Czasem masz ochotę upiec mu specjalnie szarlotkę, kiedy indziej rzucić mu ją w twarz. – Kobiecinka zaśmiała się. – Mój Harry uwielbia szarlotkę. Rozumie pani, o co mi chodzi?

– W małżeństwie bywają lepsze i gorsze chwile, tak? – Hannah z trudem przygryzła wargę.

– Właśnie.

– Jednak w niektórych małżeństwach jest więcej wzlotów, a w innych więcej upadków.

– A u pani? – Siwowłosa paniusia ciekawskim spojrzeniem obrzuciła obrączkę Hannah.

– Ja... No... wyszłam za mąż bardzo niedawno temu. Prawdę mówiąc, dopiero wczoraj.

– Aha, świeżo upieczona mężatka, a już sięga po poradniki?!

– Kiedy ja nie...

– Chce pani dobrej rady? Powiem pani to samo, co powiedziałam mojej córce, Marilyn, na jej ślubie niecały rok temu. Moja rada jest bardzo prosta: Jeśli twój mąż ma kwaśny humor – trąciła Hannah porozumiewawczo łokciem – dodaj łyżkę cukru, a będzie z tego pyszna lemoniada.

Hannah miała ochotę spytać gadatliwą kobietkę, czy jej mąż często miewa kwaśny humor, jednak w porę ugryzła się w język. Zresztą, doszła właśnie do kasy.

– Skoro wczoraj brała pani ślub – rozważała na głos paniusia, podczas gdy Hannah wyjmowała drobne z portmonetki – to znaczy że jest pani w podróży poślubnej.

– Tak. Lecę na St. Croix – wzięła resztę i spojrzała na zegarek – za dwadzieścia pięć minut.

– Cudownie! – Starsza pani zaczęła rozglądać się na wszystkie strony. – Gdzie szczęśliwy małżonek?

– W drodze. Prawdopodobnie właśnie oddaje bagaż. – Hannah wsypała resztę do portmonetki. – A pani dokąd?

– Nigdzie nie lecę. Czekam na córkę, która przylatuje z Chicago. – Kobieta zapłaciła za dropsy miętowe i nadal deptała Hannah po piętach. – Od kiedy się rozwiódła, mam z nią same kłopoty.

– Kto? Marilyn?

Starsza pani kiwnęła potakująco głową.

– Czy kto widział dzieci, które słuchają własnych matek?

Biura OBSR – 15.30

Marc przyciskał słuchawkę ramieniem do ucha, pośpiesznie kreśląc uwagi na marginesie akt Bloomenthala. Muzyczka na drugim końcu linii ucichła wreszcie i dał się słyszeć ludzki głos.

– Halo – czym prędzej odezwał się Marc. – Czy mógłbym się dowiedzieć, kiedy odlatuje najbliższy samolot na St. Croix?

– Za dwadzieścia minut, linie Northeast. – poinformował go głos po długiej przerwie.

– Na ten nie zdążę. Proszę mi podać godzinę następnego odlotu.

– Zaraz, zaraz. Jest samolot o...

– Proszę chwileczkę poczekać. – Marc przysłonił dłonią mikrofon w słuchawce. Za jego plecami wyrósł właśnie Doug Ryder.

– Wszystko w porządku, Welles?

– Właśnie kończę.

– Wiedziałem, że dla ciebie to żadna sprawa. – Ryder przechodząc mocno ścisnął go za ramię.

– Jasne. Żadna sprawa – potaknął cierpko Marc. – Przepraszam – zwrócił się do słuchawki, kiedy tylko Ryder ulotnił się z pokoju. – Kiedy jest następny lot na St. Croix po tym o piętnastej czterdzieści?

Nie było odpowiedzi.

– Ładne rzeczy! – Od nowa zabrał się za wykręcanie numeru.

Lotnisko Kennedy'ego

Dwadzieścia minut przed startem z głośników popłynęło wezwanie:

– Hannah Logan proszona jest o podejście do stanowiska informacyjnego linii Northeast.

Hannah poczuła skurcz paniki. Marc! O Boże, wszystko, tylko nie to. Na pewno coś mu się stało. Wypadek. Wypadek samochodowy. Zaraz, przecież Marc nie ma samochodu. Taksówka. Taksówka zderzyła się z autobusem. Mnóstwo ofiar. Ciało Marca... Zostać wdową u progu podróży poślubnej...

Biegając do informacji, przeklinała nieudaną noc poślubną. Powinna była bardziej się starać... wcześniej zażyć aspirynę... udać bardziej podnieconą. Może nawet wystarczyłoby, gdyby była bardziej rozluźniona.

Marc, kocham cię, tylko nie umieraj. Wszystko zniosę, tylko nie to. Za żadne skarby nie chcę zostać wdową.

– Halo... – podniosła słuchawkę jedną ręką, drugą chwytając się za kołujące serce.

– Hannah?

– Marc, najdroższy, to ty? Bogu Najwyższemu dzięki! – Łzy ulgi potoczyły się po policzkach Hannah.

– Tak się cieszę, że cię zdążyłem jeszcze złapać. Bałem się, że możesz już być w samolocie.

– Marc, kocham cię. Kocham cię. Czy powiedziałam ci dzisiaj w nocy, że cię kocham?

– Też cię bardzo kocham, Hannah. Posłuchaj, chciałem cię bardzo przeprosić.

– Nic się nie stało, kochanie. Najważniejsze, że żyjesz. Reszta nie ma dla mnie znaczenia.

– Byłem pewien, że mnie zrozumiesz. Wszystko przez tego przekłętą Bloomenthala...

– Marc... – przerwała mu, marszcząc czoło. – Bloomenthala? Jakiego Bloomenthala? – Byłoby lepiej, gdyby Bloomenthal okazał się rannym taksówkarzem, jednak zanim Marc zdążył otworzyć usta, sama odgadła odpowiedź.

– Widzisz, Ryder wcisnął mi tego Bloomenthala, a sam się ulotnił. Wczoraj dał materiały do przejrzenia Mathesonowi, opowiadałem ci z pewnością o Mathesonie. Ten jak się czegoś uczepli, zawsze znajdzie dziurę w całym. Faktycznie, znalazł w dokumentacji parę słabych punktów...

– Marc?

– Słucham cię.

– Nie jesteś na ostrym dyżurze w jakimś szpitalu?

– Oszalałaś?

– Nie oszalałam. Właściwie od początku czułam, że nie dzwoniś ze szpitala.

– Powiem ci coś. Wsiadaj w najbliższy samolot na St. Croix, na miejscu wskocz w opalacz i popracuj troszkę nad opalenizną. Dolecę do ciebie następnym samolotem. Jest jeszcze dzisiaj jeden lot, o dziewiętnastej piętnaście. Zjemy późną kolację w naszym prywatnym patio...

– Chcesz, żebym poleciała na St. Croix bez ciebie?

– Jeszcze godzina, góra – dwie i będę miał robotę z głowy. Wiesz, jak ważne są dla nas akcje Bloomenthala.

– Wiem, oczywiście, że wiem.

– Za to cię właśnie tak kocham. Ryder twierdzi, że miałem diabelne szczęście zeniąc się z kobietą, która też robi karierę i wie, co to znaczy, jak człowieka naciskają terminy. Jesteś cudowna, nie myśl, że sam cię nie doceniam. Żaden Ryder nie musi mi tego mówić.

– Będę na ciebie czekać na lotnisku.

– Czysta głupota. Po co masz siedzieć w dusznej poczekalni, zamiast prażyć się w słońcu na czyściutkim piaseczku? Kiedy dojadę do ciebie... naprawdę zacznie się nasze małżeństwo. Domyślasz się, o czym mówię?

– Nie wiem, ale wydaje mi się to dziwne, żebym sama leciała w podróż poślubną.

– Nie mogę już dłużej rozmawiać. Chcę skończyć robotę i zwinąć się, zanim Ryder znów się tu pokaże i wlepi mi coś nowego. Pa, kochanie. Do zobaczenia wieczorkiem.

– Marc? Marc? – Jednak Marc już odłożył słuchawkę.

Hotel Coral Reef, St. Croix

– Cześć, mamo.

– To ty, Hannah?

– O ile się nie mylę, masz tylko jedno dziecko.

– Skąd dzwoniś?

– Z St. Croix. Jestem w podróży poślubnej.

– Wybacz moje zaskoczenie, ale mało która córka dzwoni z podróży poślubnej do własnej matki.

– Mało która córka odbywa samotnie swoją podróż.

– Samotnie? Co ty opowiadasz? Gdzie Marc?

– Marc? Pewnie z tym jakimś Bloomenthalem, przynajmniej duchem są razem.

– Przyznaj się, piłaś?

– Tak... odrobinę. Mam apartament dla nowożeńców i kierownictwo

hotelu wstawiło mi misę owoców i butelkę szampana. Owoce zostawię sobie na śniadanie. To naprawdę cudowny hotel. Zamierzam polecać go wszystkim znajomym, wybierającym się w podróż poślubną. Powiem im: St. Croix jest wymarzonym miejscem dla każdego, kto chce samotnie spędzić miodowy miesiąc.

– Pokłóciliście się z Markiem?

– My? Ależ skąd, my się nigdy nie kłócimy. Mamy tylko różne podejście do pewnych spraw, jednak umiemy je rozstrzygnąć na chłodno. Między dwojgiem spokojnych, logicznie myślących ludzi nie ma miejsca na kłótnie i awantury.

– Naprawdę nie rozumiem, co tu się dzieje. Mąż puszcza cię samą w podróż poślubną. Sam zostaje z tym jakimś Bloomenthalem i nie wiadomo, co tam robią... Hannah, ty przecież płaczesz, kochanie. Proszę cię, nie płacz. Jeśli chcesz, wyjdę z domu, odszukam tego twojego męża, choćby się nie wiem gdzie podziewał, i załaduję do pierwszego samolotu na St. Croix.

– Nie dasz rady – wykrztusiła Hannah przez łzy.

– Niby dlaczego?

– Bo... lotnisko jest zasypane... śniegiem – Hannah nie panowała już nad płaczem. – Wszystkie loty... odwołano – wyszochłała. – Marc dzwonił do mnie przed chwilą, żeby mnie o tym poinformować.

– Co ty powiesz?! Moje biedactwo! Nie płacz, to nic strasznego. Zobaczysz, że jutro...

– Jutro? Kiedy my mamy wszystkiego trzy dni. Właściwie mieliśmy trzy dni. Jeśli nawet Marc doleci jutro – zostaną nam już tylko dwa dni.

– No tak, ale z pewnością będą to niezapomniane dni.

– Mamo...

– Co, kochanie?

– Czy... czy w Nowym Jorku dalej pada?

– Nno... troszeczkę.

– Troszeczkę, to znaczy ile?

– Jestem pewna, że do jutra otworzą lotnisko.

– A jak nie otworzą i... całą podróż poślubną spędzę... sama?

– Jestem pewna, że nic takiego się nie zdarzy. Marc z pewnością do ciebie dojedzie.

– Mamo?

– Co, kochanie?

– Twój miesiąc miodowy z tatą był cudowny, prawda?

– No... tak. Rzeczywiście, było wspaniale.

– Pojechaliście do Wenecji?

– Tak. Wenecja wiosną wydawała się nam najbardziej romantycznym miejscem na świecie. Było przepięknie. Obiecaliśmy sobie, że jeszcze kiedyś

tam wrócimy.

– Czy tata był skwaszony?

– Co?

– Nic, nic. Najważniejsze, że Marc nigdy nie bywa skwaszony. On jest słodki, po prostu słodziutki...

– Kochanie, wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdybyś zakorkowała butelkę i resztę zostawiła na jakąś inną okazję.

– Ciekawe, co by na to powiedział doktor Rusman? – Hannah czknęła do słuchawki.

– Co za doktor Rusman?

– Ojej, mamo, przecież wszyscy wiedzą, kim jest słynny doktor Harold S. Rusman. Gdyby Marilyn słuchała jego rad, zamiast rad własnej matki, być może po dziś dzień byłaby szczęśliwą mężatką. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby umiejętność przyrządzania lemoniady chroniła przed rozwodem.

– Pleciesz coś bez ładu i składu. Bardzo cię proszę, idź i prześpij się. Rano na pewno poczujesz się lepiej.

– Nie mogę zasnąć w tym łóżku. To jest olbrzymie łożo, specjalnie dla nowożeńców. Czuję się strasznie zagubiona – sama w atlasowej pościeli.

– Dowiedz się, czy nie mogą ci dać jedyнки na dzisiejszą noc. Jutro, kiedy Marc doleci, z powrotem przeniesiecie się do apartamentu.

– Mamo, jesteś genialna. Po prostu – genialna. Zaraz pójde załatwić w recepcji co trzeba. Widzisz, że czasem zdarzają się dzieci, które słuchają własnych matek.

Jedynka w hotelu Coral Reef

Ciche skrzypienie podłogi Hannah uznała za część snu. Był to dziwny sen, w którym roilo się od żagłówek, odrzutowców, cieni przemykających mrocznymi zaułkami. Ochryple głosy szeptały:

– Bloomenthalu, Bloomenthalu! Przybądź, choćby spod ziemi, Bloomenthalu!

– Hannah!

Ponad szept wybił się jeden głos, wzywający jej imię. We śnie Hannah lękliwie zwróciła się do łysego mężczyzny z kocią bródką:

– Czy to ty, Bloomenthalu? Cóżeś począł z mym mężem?

– Hannah, kochanie...

– Jeśliś człkiem, Bloomenthalu, dowiedz tego lub po wsze czasy trzymaj się od nas z dala...

– Hannah, to ja.

Czyjeś ręce zaczęły nią potrząsać.

– Ręce przy sobie, Bloomenthalu! Ostrzegam cię...

– Hannah, jak pięknie wyglądasz.

– Sam tego chciałeś, Bloomenthalu. To za Marca... A to za mnie...

Bolesne stęknienie jakimś cudem przedarło się przez koszmary sen. Ze zdumieniem skonstatowała, że dźwięk był prawdziwy i rozlegał się w jej pokoju.

Zerwała się ze snu i wydała okrzyk przerażenia. Nad łóżkiem pochylał się jakiś cień. Zboczeniec zakradł się do jej pokoju z jednoznacznym zamiarem. Porwała lampę ze stolika przy łóżku i zamachnęła się na napastnika, ten jednak w ostatniej chwili mocnym uściskiem unieruchomił jej rękę.

Krzyknęła ponownie, tym razem z obawy, że to on uderzy ją lampą.

Zamiast tego nacisnął pstryczek.

– Marc...? – Zamrugła w osłupieniu.

– Czy naprawdę myślałaś, że pozwolę ci spać samotnie podczas naszej pierwszej i jedynej podróży poślubnej? – Zdobył się na słaby uśmiech, chociaż w dołku dotkliwie czuł dwa celne ciosy wymierzone przez Hannah.

– Marc, a ja już myślałam, że to będzie najkoszmarniejsza podróż poślubna, jaką zanotowano w historii ludzkości.

Schylił się i pocałował ją długo, namiętnie. Nie odrywając się od jej ust, wziął ją na ręce.

– Co robisz? – spytała bez tchu.

– Przenoszę cię do apartamentu dla nowożeńców – wymruczał jej do ucha.

– Ale... ale... przecież nie jestem ubrana. Mam na sobie przezroczystą koszulę nocną.

– Niestety, nie mogę dłużej czekać. – Odsunął ją troszkę, żeby mogła obciągnąć koszulę i ze zmysłowym, zwycięskim uśmiechem na ustach zaniósł ją do apartamentu. Teraz podróż poślubną można było uznać za rozpoczętą.

ROZDZIAŁ 4

Pierwsza noc

– Opowiedz jeszcze raz – wymruczała Hannah, wtulając się w Marca – w jaki sposób się tu dostałeś.

– Najpierw – położył rękę na jej udzie – brnąłem przez śniegi, żeby wynająć samochód. – Mówiąc, delikatnie pieścił jej skórę.

– Mmmm – westchnęła, głaszcząc jego pierś. Silne, męskie ciało wzbudzało w niej zachwyty. – A potem?

– Potem jechałem przez śniegi do Filadelfii. – Tym razem jego palce przejechały po udzie Hannah.

– Aha... do Filadelfii – wyszeptwała, prężąc się pod jego rozkosznym dotykiem. – A... potem?

Pochylił się i oblizał jej wargi.

– A potem... – na moment, wsunął jej język do ust, rękami chwycił za pośladki i przyciągnął mocno do siebie –... wsiadłem w samolot do Miami... – Wtargnął głęboko w jej usta, a jego dłonie zaczęły w zapamiętaniu pieścić jej ciało.

– Mmmm. Uwielbiam... ten fragment... o Miami – wykrztusiła, pełna podziwu dla jego wyobraźni. Nigdy by się nie domyśliła, że potrafi być tak pomysłowym kochankiem. Owszem, przed ślubem również był czuły i potrafił ją zaspokoić w miłości. Zawsze był uczciwy, godny zaufania. Dobry i

miły. Jednak teraz kochali się zupełnie inaczej. Marc też był inny. Poczula, jak jego żar topi w niej ostatnie hamulce.

– Fragment o Miami jest niezły... – wymruczał, chwytając ją za nadgarstki i prostując jej ręce za głową –... ale przelot z Miami na St. Croix jeszcze lepszy. –Językiem zaczął znaczyć ścieżkę na jej skórze, zsuwając się z wolna od piersi coraz niżej. Jego ruchy były tak delikatne, jakby muskał ją płatkami kwiatu, a jednocześnie tak celne, jakby odmierzał je pilot bombowca, który dokładnie wie, kiedy nacisnąć guzik, żeby trafić tam, gdzie trzeba.

Wdarł się w jej ciało językiem. Krzyknęła, otwierając się przed nim. Targnęły nią bezwiedne skurcze, jakby miała urodzić własną namiętność.

W dłoniach Marca jej ciało stało się spolegliwą gliną, którą mógł dowolnie formować. Najpierw rzeźbił przód, potem tył jej ciała. Przykrył ją własnym ciałem i zaczęli tarzać się namiętnie po łóżku, aż wyładowali miękko na puszystym dywanie.

Rozpalona, spotniała, bez tchu, odbywała z Markiem podniebny lot, po drodze ocierając się o gwiazdy, garściami nabierając promienie księżyca. Nigdy jeszcze jej ciało i dusza nie pozostawały w tak doskonałej zgodzie z ciałem i duszą Marca, jej miłości, jej męża. O tak, po ślubie wszystko się zmieniło. Poczula się cudownie szczęśliwa. Fakt, że są małżeństwem wyzwolił w obojgu nieznane pokłady namiętności. Nie miała pojęcia, że coś takiego w ogóle może istnieć. Śmiać jej się chciało ze wszystkich beznadziejnych statystyk, z więzów, które dławią doktora Harolda S. Rusmana, z przestróg i życzliwych porad ze strony rodziny i przyjaciół, a przede wszystkim z własnych obaw i wątpliwości.

– Marc, to jest niebywałe – wyszeptła. – Wiesz, że już teraz zawsze tak będzie?

– Nieprawda – odpowiedział szeptem, ponownie kładąc się na niej. – Będzie jeszcze lepiej.

– Mmmm, tak... Opowiedz mi jeszcze raz, jak tu dotarłeś z narażeniem życia. Zaczniij od samego początku.

– No więc... była śnieżycyca. Zamknięto lotnisko Kennedy'ego, ale lotnisko w Filadelfii działało nadal. Postanowiłem wynająć samochód. Dobnąłem przez śnieg na róg Czerdziestej Ósmej i...

Snuł swoją opowieść szeptem, demonstrując, jak pokonywał kolejne przeszkody, żeby wreszcie dotrzeć do ukochanej. Oddychała spazmatycznie, upajając się jego słowami, mdlejąc od jego pieszczot. Ponownie otworzyła się przed nim, najzupełniej pewna, że już zawsze tak będzie.

Drugi dzień

Leżeli pod lazurowym niebem, na białej, piaszczystej plaży, zasłuchani w szum fal Morza Karaibskiego.

– Powinnaś chyba nałożyć troszkę więcej kremu – oświadczył Marc, odwracając się na plecy. Nasunął głębiej na twarz nowy słomkowy kapelusz, żeby ostre promienie słońca nie miały dostępu do oczu.

Hannah przytuliła się mocniej do męża.

– Nic mi nie będzie – wymruczała sennie.

– Nie mam pojęcia, czemu jesteśmy tacy zmęczeni. – Ziewnął. – Masz jakieś zdanie na ten temat?

– Nie, nie mam. – Nabrała garść piasku i śmiejąc się zaczęła posypywać pierś Marca. – Nie licz jednak na to, że jutro będziesz czuł się bardziej wypoczęty, kochanie. – Mrugnęła znacząco i położyła się na brzuchu.

Marc przeciągnął się leniwie. Przypominał sobie teczkę, która czekała na niego w pokoju hotelowym i przez chwilę zastanawiał się, czy nie pójść już na górę i nie posiedzieć parę godzin nad papierami. Choć obiecywał Hannah, że nie weźmie nic ze sobą, jednak w końcu zmuszony był zabrać akta Bloomenthala, w przeciwnym razie nie zdążyłby do Filadelfii przed zamknięciem tamtejszego lotniska, jako że śnieżycą nieubłaganie posuwała się na południe.

Podłożył jedną rękę pod głowę, drugą objął żonę. Uśmiechnął się wspominając, jak się zachowała, kiedy wykryła jego teczkę. Najpierw robiła żartobliwe wymówki, wyzywając od pracoholików, potem ze śmiechem pokazała mu własną teczkę, skrzętnie schowaną w jednej z szuflad biurka.

Tak bardzo byli podobni do siebie, pomyślał. Tak cudownie ze sobą zestrojeni. Krew zaczęła w nim żywiej krążyć na wspomnienie ostatniej nocy. Jeszcze nigdy nie byli tak bardzo zespoleni. Hannah była nieprawdopodobna. Nigdy dotąd nie oglądał jej w równie namiętym zapamiętaniu. Jego własne reakcje także były dla niego zaskoczeniem. Zeszłej nocy, w łóżku – i obok łóżka – czuł się niesłychanie swobodny i śmiały. Nie da się ukryć – umieli wydobyć z siebie to, co najlepsze.

Przymknął oczy, poddając się ogarniającej go senności. Rozgrzany piasek, łagodny powiew wiatru, przesączonego zapachem jaśminu sprawiły, że bez trudu zapadł w sen.

Zbudził się i z najwyższym zdumieniem stwierdził, że przespali prawie dwie godziny. Jednak dopiero kiedy usiadł, zorientował się, że ten błąd będzie ich sporo kosztować. Łagodnie potrząsnął Hannah.

– Musimy zejść ze słońca, kochanie, jesteśmy zbyt opaleni.

Otworzyła oczy i zaczęła się podnosić. W chwilę później wydała okrzyk bólu.

– Opaleni? Ty to nazywasz opalenizną? Spiekłam się na raka. – Zdjęła okulary słoneczne i zaczęła bacznie oglądać Marca. – Nie ja jedna, zresztą. Ty też jesteś cały czerwony.

– Nic się nie stało. – Rozciągnął usta w dziwnym grymasie, który miał oznaczać uśmiech. – Pierwszego dnia to normalna ciecz.

– Jasne – potwierdziła Hannah, chociaż miała wrażenie, że skóra na jej plecach zaraz pęknie z trzaskiem. – Zimny prysznic, odrobina maści i za parę godzin będziemy jak nowo narodzeni.

Zużyli już drugą tubkę maści przeciw oparzeniom słonecznym. Marc ostrożnie wcierał kolejną porcję w krwistoczerwony kark Hannah.

– Ojej, boli – stęknęła.

– Przepraszam. Teraz lepiej?

– Nie.

Krzyknął z bólu, kiedy Hannah, poprawiając się na łóżku, niechcący zawadziła nogą o jego łydkę w miejscu, z którego zaczynała już schodzić skóra.

– Rany boskie, czy musisz się tak wiercić?!

– Nie jestem w stanie się wiercić, nawet gdybym chciała.

– Też bym tego nie chciał.

– Czy nie potrafisz zdobyć się na odrobinę współczucia?

– Ależ potrafię, zwróć jednak uwagę, że ja też cierpię.

– Sama ledwie żyję – odparła chłodno – ale jakoś potrafię zdobyć się na uprzejmość.

– A ja niby nie?

– Co za nonsens. O co my się właściwie kłócimy? – westchnęła pojednawczo.

– Wcale się nie kłócimy.

– Może powinniśmy zejść na obiad?

– Szkoda, że nie można pójść do restauracji na golasa – wymamrotał niechętnie. Oboje nie mieli nic na sobie, ich spalona skóra nie mogła znieść dotyku nawet najdelikatniejszych materiałów.

– Wobec tego zamówmy obiad do pokoju – westchnęła ponownie Hannah.

– Na co byś miała ochotę?

– Cokolwiek, byle nie raki.

Kiedy w pół godziny później podano im obiad do pokoju, okazało się, że żadne z nich nie ma krzty apetytu. Hannah bez przekonania dłubała widelcem w befsztyku, Marc rozgarniał kotleciki baranie po całym talerzu. Wreszcie Hannah zrezygnowała z dalszych prób jedzenia. Odsunęła talerz i spojrzała

żałośnie na Marca.

– Dzisiejsza noc była naprawdę... doskonała.

– Nie martw się, przed nami jeszcze doskonalsze noce.

– Dzisiaj nie będziemy chyba mogli nawet... spać w jednym łóżku. Ile razy dotykamy się przypadkiem, zaczynamy wrzeszczeć z bólu. – Głos jej się załamał. Była bliska łez. Pomyśleć, że zaledwie kilkanaście godzin temu sądziła, że bierze udział w najwspanialszej podróży poślubnej wszechczasów.

– Nie przejmuj się. Proponuję wziąć się na parę godzin do pracy. Łatwiej nam będzie zapomnieć o bólu.

– Do pracy?

– Sama mówiłaś, że musisz jeszcze przejrzeć swoje notatki dotyczące parku na Westside.

– Faktycznie.

– No to, skoro i tak dzisiaj w nocy nie uda nam się nic innego, możemy przynajmniej to mieć z głowy, a jutro, kiedy będziemy się czuć lepiej, wynajmiemy samochód i pozwiedzamy troszkę wyspę. Co ty na to?

– Ciekawa jestem, co by na to powiedział doktor Rusman?

– Kto to jest doktor Rusman?

– Nieważne – zbyła go uśmiechem.

W kwadrans później oboje siedzieli pogrążeni w swoich papierach. Kiedy Hannah skończyła przeglądać notatki, podniosła wzrok na Marca, siedzącego po drugiej stronie łóżka.

Spojrzał na nią w roztargnieniu, potem uśmiechnął się i z powrotem zagłębił w aktach.

– Marc?

– Mmmm? – spytał, nie odrywając wzroku od dokumentów.

– Czy nie uważasz, że powinniśmy byli mieć bardziej tradycyjne wesele?

– Mieliśmy bardzo fajne wesele – wymamrotał, notując coś na marginesie.

– Nie masz skrupułów, że nie było nikogo z twojej rodziny?

– Jakoś im to wynagrodzimy.

– Jak?

Odłożył pióro i spojrzał na Hannah.

– Prawdę mówiąc, obiecałem, że przy najbliższej okazji złożymy im wizytę.

– Takiej okazji może nie być przez wiele tygodni, a nawet miesięcy.

– Nic nie szkodzi, oni dobrze rozumieją, że jesteśmy bardzo zajęci pracą zawodową.

– Marc?

– Co znowu?

– Czy myślisz, że twoja rodzina mnie polubi? To znaczy... czy będą uważać, że jestem... dosyć dobrą żoną dla ciebie?

– Lepszą, niż na to zasłużyłem.
– Myślisz, że tak będą uważać czy sam tak uważasz?
– Jedno i drugie.
– Czy opowiadałeś im o mnie?
– Coś tam im opowiadałem.
– Co?
– Powiedziałem, że jesteś bardzo inteligentna. – Uśmiechnął się szeroko.
– Jestem pewien, że moi rodzice będą... przepadać za tobą. Zupełnie tak jak ja.

– Jednak zawahałeś się.
– Kiedy?
– Zastanowiłeś się przez chwilę, zanim powiedziałaś: przepadać.
– Uspokój się.
– Żadna z twoich sióstr nie pracuje zawodowo?
– Nie, ale obie mają dzieci.
– Siedzą w domu i pilnują dzieci, a wieczorem każda czeka z ciepłą kolacyjką na mężulka, który wraca po całym dniu harówki.

– Mówisz, jakby to był nie wiem jaki koszmar. Tak się akurat składa, że obie moje siostry są bardzo szczęśliwe. Wiesz, że to, co robią, ma głęboki sens, są urocze, energiczne i wesołe.

– Ty z kolei opowiadasz o nich, jakby wiodły jakiś rajski żywot. – Oczywiście Hannah zwężyły się z rozdrażnienia.

– To tylko tobie się tak wydaje.

– Nic mi się nie wydaje.

– Posłuchaj. – Krzywiąc się z bólu, zaczął wstawać z łóżka. – Nie oczekuję, że będziesz siedzieć w domu i przez cały dzień pichcić obiad dla mnie, a jeśli chodzi o dzieci, to przecież umówiliśmy się, że na razie jeszcze na to za wcześnie. Jednak mam nadzieję... – urwał nieoczekiwanie.

– Na co masz nadzieję?

Grając na zwłokę, nadgryzł kawałek wystygłego kotlecika i zaczął powoli żuć. Hannah niecierpliwie zastukała nogą w podłogę.

– Mam nadzieję... – podjął po chwili, bo wiedział, że Hannah nie da mu spokoju, dopóki nie skończy. Zresztą, w pewnych sprawach dobrze jest mieć jasność od samego początku. Zdecydował się zacząć z innej beczki. – Oboje pragniemy sukcesu, prawda?

– Sukcesu? – Popatrzyła zdumiona. Zaczęła marszczyć brwi, ale przy oparzonej skórze okazało się to zbyt bolesne.

– Sukcesu zawodowego – wyjaśnił.

– Jasne, że tak – potwierdziła. Przecież o to im przede wszystkim chodziło.

– Mam nadzieję... – Znowu wrócił do punktu wyjścia. Chyba będzie

musiał to w końcu wykrztusić. – Mam nadzieję, że nie będziesz się ze mną ścigać po to, aby dowieść, że jesteś równie dobra jak ja. To znaczy... naturalnie, jesteś równie dobra, ale nie chciałbym, żebyśmy uwikłali się w jakieś rozgrywki ambicjonalne.

– Uwikłali się? – Zapominając o bólu, wyskoczyła z łóżka. – Czy też może, żebym to ja się nie uwikłała? Cały czas pijesz do mnie. Oskarżasz mnie...

– Hola, hola. O nic cię nie oskarżam. Po prostu czasami... kobiety robiące karierę zaczynają... rywalizować z mężami, a ja nie chciałbym, żeby nam zdarzyło się to, co Ryderowi i jego drugiej żonie.

– Co takiego przytrafiło się Ryderowi i jego drugiej żonie? – Stali przed sobą nadzy, dotykając się prawie twarzami.

– Powiedzmy, że ona za bardzo utożsamiała się z rolą głowy rodziny.

– Chciałbyś, żebym była jak twoje siostry. Przyznaj się, Marcu Welles.

– Tak się akurat składa, że obie moje siostry to urocze, serdeczne, troskliwe kobiety – odciął się.

– Rozumiem, że chcesz przez to powiedzieć, iż jestem ponura, oziębła i samolubna?

– To już twoja własna interpretacja.

– Wiedziałaś, kiedy braliśmy ślub, że moja kariera bardzo wiele dla mnie znaczy i że nie mam zamiaru rzucić pracy i zostawać kura domową. Teraz jednak widzę, że te wszystkie teksty o popieraniu moich dążeń zawodowych, to było tylko takie gadanie. Oczywiście, wolno mi mieć jakieś ambicje, ale tak długo, dopóki nie prześcigną twoich.

– Nic takiego nie uważam – sprzeciwił się, żalując, że wywołał tę burzę.

– Nigdy nie podejrzewałam cię o kompleks niższości. Nie przyszło mi do głowy, że za moimi plecami zamartwiasz się, że mi się lepiej powiedzie niż tobie.

– Bzdury. Nie rozumiesz ani słowa z tego, co do ciebie mówię. I powiem ci dlaczego, Hannah Logan. – Przerwał, celując w nią palcem. – Z tego samego powodu, dla którego nie przyjąłeś po ślubie mojego nazwiska. Z tego samego powodu, dla którego nie chciałaś u mnie zamieszkać. Z tego samego powodu, dla którego nie zgodziłaś się na wspólne konto w banku. Dlatego, że cały czas masz zamiar ścigać się ze mną.

– Ścigać? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi. Masz zamiar stawiać pracę zawodową na pierwszym miejscu i nie pójdziesz na żadne ustępstwa w tym względzie.

– Chcesz powiedzieć, że ja nie mam zamiaru w ogóle angażować się w nasz związek? – spytała łamiącym się głosem. Czują się koszmarnie.

Po jej spojrzeniu, po nagłym opadnięciu ramion, poznał, jak bardzo jest nieszczęśliwa.

Przeszyty nagle skrucną chwycił ją w objęcia. Ledwie jednak musnął jej ramię, wydała z siebie przeraźliwy krzyk bólu. Cofnęła pośpiesznie ręce.

– Hannah, przecież mieliśmy się nigdy nie kłócić. Jak w ogóle do tego doszło?

– Może powinniśmy ustalić jakieś reguły gry, zawrzeć bardziej... formalną umowę – zasugerowała.

– Wydaje mi się, że zawarliśmy już wystarczająco formalną umowę – uśmiechnęła się łagodnie.

– Chyba musi trochę potrwać, zanim się... przystosujemy – odpowiedziała, uśmiechając się nieśmiało.

– Właściwie – stwierdził Marc w zamyśleniu – nasze życie tak bardzo się nie zmieni.

– O ile moja mama nie znalazła nam idealnego mieszkania w samym śródmieściu – zwróciła uwagę. Głos jej lekko zadrżał. Miała nadzieję, że uszło to niepostrzeżenie.

Marc dosłyszał niepokój w jej głosie, jednak nie zamierzał się z tym zdradzać, ponieważ sam również czuł lekkie obawy.

– Byłoby cudownie, gdyby udało jej się coś dla nas znaleźć – powiedział tylko z wymuszonym uśmiechem.

– Prawda? – potaknęła, a jej sztuczny uśmiech w niczym nie ustępował uśmiechowi Marca. Można powiedzieć, że byli pod tym względem znakomicie dobraną parą.

– Naturalnie, znaleźć odpowiednie mieszkanie to nie taka łatwa rzecz – dorzucił.

– W dodatku za jakąś godziwą cenę – uzupełniła Hannah.

– Na szczęście twoja matka jest bardzo uparta.

– O tak, z pewnością.

– Któregoś wieczoru odbyliśmy z nią poufną rozmowę – wyznał z uśmiechem.

– Kiedy to było?

– W piątek, po przyjęciu ślubnym, kiedy poszłaś się troszkę odświeżyć.

– Naprawdę? – Poczula nagły przypływ niepokoju. – I co powiedziała? Albo nie – lepiej nie mów.

– Poczęstowała mnie kilkoma ciekawymi uwagami na temat warunków podowzenia naszego małżeństwa.

– Cóż za dziwny zbieg okoliczności, że tylu ekspertów od spraw małżeństwa jest rozwodnikami – skonstatowała Hannah w zadumie. – Co takiego ci powiedziała?

– Przede wszystkim kazała mi traktować każdy dzień małżeństwa tak, jakby był dniem miodowego miesiąca – odparł, mrużąc znacząco oko.

Trzeci dzień

Ostatniego dnia pobytu na St. Croix wynajęli samochód i przewodnika. Przewodnik, Paul Limetree, był rozmownym mężczyzną po dwudziestce. Zaraz na wstępie wyznał Marcowi i Hannah, że, podobnie jak oni, niedawno wstąpił w związek małżeński.

– Domyślam się, że jesteście w podróży poślubnej – zagadnął, przyglądając się im w lusterku wstecznym. Wjeżdżali do Christiansted, stolicy St. Croix, uroczego, starannie utrzymanego miasteczka, które było dawnym duńskim portem.

– Owszem – odparła Hannah niezbyt przytomnie. Jej uwagę przykuwały odbijające się w przejrzystych wodach zatoki malownicze, osiemnastowieczne budowle kryte czerwoną dachówką.

– My z żoną nie pojechaliliśmy w podróż poślubną, bo lada chwila spodziewamy się dziecka – oznajmił Paul. – Zresztą, nie uważam, żeby to w ogóle był najlepszy pomysł.

– Moim zdaniem podróż poślubna ma swoje dobre i złe strony. – Hannah posłała Marcowi cierpki uśmiech.

– Uważam, że lepiej jest z miejsca wziąć się do roboty, zająć sprawami domu i rodziny – ciągnął Paul.

– Nie mamy jeszcze rodziny – wyjaśnił Marc.

– I nie planujemy na razie dzieci – dodała Hannah.

– Naprawdę? – Paul roześmiał się z niedowierzaniem. – To niedobrze, powinniście jak najprędzej postarać się o dzidziusia, póki jesteście jeszcze młodzi. Jednego albo i więcej. My z żoną chcemy mieć całą masę dzieciaków, a wy?

– Czy ja wiem? – Hannah spojrzała pytająco na Marca. – Jedno, dwoje?

– Jedno albo dwoje? – wykrzyknął Paul. Wjeżdżali właśnie na Company Street, główną ulicę handlową, której domy, ozdobione wymyślnymi galeryjkami, przywodziły na myśl baśniowe domki z piernika z opowieści Andersena. – Bez sensu! Powinniście mieć szóstkę albo siódmkę. Jeszcze zdążycie mieć dużo dzieci.

– Nie mielibyśmy kiedy się nimi zajmować. Oboje z Markiem pracujemy i jesteśmy bardzo pochłonięci robieniem kariery – wyjaśniła Hannah.

– Tak, moja żona też robiła karierę – zamyślił się Paul.

– Czym się zajmowała? – zagadnął Marc.

– Śpiewała w klubach hotelowych St. Croix. Nasze melodie, z wyspy. Bardzo pięknie śpiewała.

– A teraz przestała? – dopytywała się Hannah.

– Musiała, lada dzień będziemy mieli dziecko.

– A jak się dziecko już urodzi? – nie ustępowała.

– Zaczniemy robić następne – odwrócił się i puścił do niej oko.

– A pańskiej żonie nie żal rozstawać się ze śpiewaniem, po to tylko, żeby siedzieć w domu i wychowywać dzieci? – spytała Hannah, czując na sobie wzrok Marca – Jeżeli rzeczywiście ma talent, mogłaby znaleźć kogoś do opieki nad dzieckiem i dalej rozwijać się zawodowo. Pan też mógłby jej pomóc. Mężczyźni powinni dzielić obowiązki z kobietami...

– Na St. Croix może być trochę inaczej – zmiętygował ją Marc, ściskając znacząco za ramię.

– Co prawda, to prawda – potwierdził wesoło Paul. – U nas to wszystko jest bardzo proste. Żona dba o dom i dzieci, a mąż za to dba o żonę. Żona śpiewa dzieciakom. Ona jest zadowolona i ja jestem zadowolony. Wszystko proste i jasne. W Stanach jest inaczej, prawda? Wszystko się u was poplątało. Ludzie się żenią, potem rozwodzą, znowu żenią i znowu rozwodzą. Nikt nie jest zadowolony Nikt nie wie, czego chce. Wasze kobiety są zawsze smutne. Nic dziwnego, skoro chcą być jednocześnie panem i panią domu.

– Zaraz, zaraz – przerwała Hannah. – Nie widzę żadnego powodu, dla którego kobieta nie mogłaby mieć męża czy nawet dzieci i jednocześnie pracować. To tylko kwestia dogadania się no i, oczywiście, umiejętności improwizowania. Mam rację, Marc?

– Masz absolutną rację. – Poklepał ją serdecznie po ramieniu. – Odrobina organizacji i umiejętność dobrego planowania.

– No właśnie – podchwyciła Hannah. – Są wprawdzie tacy, którzy twierdzą, że nie można pogodzić kariery z wychowywaniem dzieci, osobiście jednak nie widzę w tym niczego niemożliwego.

Paul skręcił w Kings' Alley, jedną z handlowych uliczek Christiansted. Wesoło pomachał znajomemu przechodniowi.

– Na przykład taka miła para z Chicago – podjął – którą wozilem niedawno po wyspie. Żona jest nauczycielką. Mąż przywiózł ją tutaj, żeby ją troszkę rozruszać. Od kiedy ich dzieciak przyszedł na świat – cały czas jest smutna.

– Depresja popołogowa – zawyrokowała Hannah. – Bardzo powszechna przypadłość wśród kobiet, na szczęście z czasem mija. W jakim wieku jest ich dziecko?

– Dwadzieścia trzy lata – odpowiedział Paul z podejrzanym błyskiem w oku. Zatrzymał samochód przy krawężniku. – Teraz pewnie zechcecie zrobić zakupy. Znam wszystkie najlepsze sklepy. Porcelana, muszle, korale...? Musicie przecież kupić sobie coś na pamiątkę. To wasza pierwsza podróż poślubna, prawda?

ROZDZIAŁ 5

Boardwalk, restauracja przy Siedemdziesiątej Czwartej

Zanim oddała czarne, wełniane palto do szatni, musiała porządnie otrząsnąć je ze śniegu. Właśnie poprawiała fryzurę, kiedy zjawiała się Laura Winninghoff. Patrząc w lustro, posłała Hannah promienny uśmiech.

– Widzę, że panna młoda cała w rumieńcach! – wykrzyknęła i nachyliła się nad przyjaciółką. – Mmm. Czuję zapach tropików. Nowe perfumy? Cudowne!

– W rumieńcach, bo się przypieklam na słońcu – sprostowała Hannah cierpko. – A rzekome perfumy są tonikiem przeciw oparzeniom.

– Hmmm. Czyżbym dostrzegła jakąś opryskliwość w głosie?

– Chyba muszę być głodna – usprawiedliwiła się Hannah z przeproszającym uśmiechem. – Kiedy mam pusty żołądek, robię się niemila.

Wyszły z szatni i podeszły do stolika kierownika sali. Laura deptała przyjaciółce po piętach.

– I co, jak było na St. Croix? Prawda, że cudownie? A Marc? Prawda, że też był cudowny? A czy...

– Stolik zarezerwowany przez panią Quinn – Hannah zwróciła się do kierownika, ucinając dalsze pytania Laury.

– Proszę za mną – odparł grzecznie wysoki, szczupły mężczyzna w czarnym smokingu. – Przy stoliku czekają na panie.

Poprowadził je w głąb znanej restauracji górnego Manhattanu. Ściany lokalu były pobielane, każdy stolik miał własny parasol, a całość miała sprawiać wrażenie knajpki nadmorskiej. Stolik zarezerwowany przez Diane Quinn znajdował się na szczęście w końcu sali, gdzie było ciszej i bardziej przytulnie. Na widok zbliżających się przyjaciółek, od stolika podniosły się Diane Quinn i Pam Adams, każda z kieliszkiem wina w ręku. Laura wyprzedziła Hannah i również wzięła ze stolika kieliszek. Wszystkie trzy wzniosły toast pod adresem Hannah i zaczęły śpiewać fałszywie: „Oto idzie panna młoda...”

– Błagam, przestańcie – poprosiła Hannah z udręką w głosie, kiedy kierownik sali dołączył do chóru, wręczając jej menu.

– Zamknijcie się – uciszyła je Pam. – Nie widzicie, że krępujecie naszą Hannah, która zresztą już wcale nie jest panną młodą.

– To prawda – zawtórowała jej Diane. – Kiedy się wróciło z podróży poślubnej, to jest się już tylko zwykłą, starą żoną.

– Czy stale musicie robić tyle szumu wokół mojego zamążpójścia? – Hannah usadowiła się między Pam a Laurą. – Dzień w dzień tysiące kobiet wychodzi za mąż.

– Po prostu jesteśmy zazdrosne – usprawiedliwiła się Diane słodkim głosem. – Tuż przed twoim przyjściem mówiłam właśnie do Pam, że najprawdopodobniej udało ci się złapać ostatniego sensownego kawalera w naszym mieście. Dla nas zostały już tylko jakieś nędzne popłuczyny.

– Właśnie – przytaknęła Pam z gorzkim westchnieniem – mężczyźni mało inteligentni. Mężczyźni o przykrym usposobieniu, mężczyźni zbyt nieśmiali, mężczyźni, którzy nie chcą się wiązać...

– Mężczyźni, którzy chcą, żeby żona przypominała ich matkę – podjęła Laura, wznosząc oczy ku niebu.

– Chciałaś powiedzieć: mężczyźni, którzy chcą, żebyś im służyła na kolanach, i stale przypominała, jacy są niezwykli...?

– Nie zapominajcie o mężczyznach, którzy jedną nogę trzymają w łóżku, a drugą za drzwiami. Trzask, prask, a potem pa, pa – zachichotała Pam.

– Chwileczkę, dziewczęta, zapomnieliście o bardzo popularnej w dzisiejszych czasach odmianie, która zresztą zawsze była na liście moich faworytów – oznajmiła Laura dramatycznym głosem. – Jest to mężczyzna, który stale podkreśla szacunek dla naszej inicjatywy i niecodziennych zdolności i proponuje swoje poparcie moralne tak długo, jak długo jesteśmy skłonne udzielać mu finansowego wsparcia.

– Czy to właśnie z tego powodu zerwałaś ze swoim instruktorem tańca? – spytała Diane. – Tym, który proponował, że będzie w domu doglądał twoich roślin, a ty przez ten czas swobodnie zarobisz na was oboje?

– To nie był żaden instruktor tańca. – Laura ściągnęła brwi w udanym

gniewie. – To był inscenizator. Faktycznie, nie miał nic przeciwko temu, żeby zostać emerytowanym inscenizatorem. Spławiłam go najprędzej, jak się tylko dało. Powiedziałam, że i ja, i moje rośliny przeżyjemy jakoś bez niego.

– Widzisz, Hannah, jak ci się udało? – powiedziała Pam zawistnym tonem. Jednak dostrzegając zgnębiony wyraz twarzy przyjaciółki, natychmiast spoważniała. – Co się stało? – spytała łagodnie.

– N-nic. Nic takiego.

– Depresja poślubna? – zagadnęła Diane, mrużąc oczy.

– Coś w tym rodzaju – przytaknęła niechętnie.

– Biedna Hannah przypiekła się na St. Croix – doniosła Laura. W przyćmionym świetle restauracji kolor skóry Hannah przeszedł niezauważony.

– To straszne – stwierdziła Pam ze współczuciem. – Czy Marc też się tak przypalił?

Hannah potaknęła ponuro.

– To samo zdarzyło się nam z Donem w czasie naszej podróży poślubnej na Jamajkę – oznajmiła Laura. – Coś nieprawdopodobnego. Spiekliśmy się na raka i przez dwie noce musieliśmy całkowicie zrezygnować z miłosnych uniesień.

– My mieliśmy wszystkiego tylko trzy noce – poskarżyła się Hannah. – Powiedzmy, że jedna z nich korzystnie wyróżniła się na tle pozostałych. – Na samo wspomnienie poczuła, że rumieniec napływa jej do twarzy.

– Następnym razem w podróż poślubną wybiorę się w jakieś chłodne miejsce – zdecydowała Laura.

– Może na Alaskę? – zaproponowała Diane.

– Przytuleni w śpiworze, w zaciszu niewielkiego igloo pocieralibyśmy się nosami i... zresztą, nieważne – zaśmiała się Pam. – Właściwie to brzmi całkiem przyjemnie.

– Chodziło mi raczej o jakieś miejsce w rodzaju Wenecji czy Paryża – rozmarzyła się Laura. – Osobiście wolałabym się przytulać w gondoli niż w śpiworze – wyznała ponurym tonem. – Czy mówiłam wam już o fantastycznym męskim modelu, którego poznałam w sobotę na koktajlu?

– Błagam cię – ucięła Pam cierpko – daruj go sobie. Męscy modele są narcystycznymi egoistami. Każdy, kto się chociaż troszkę na tym zna, powie ci, że to najgorszy materiał na partnera.

– Zwłaszcza dla kobiet, które w ogóle nie są egoistkami, w rodzaju naszej Laury – dodała żartobliwie Diane.

– Diane, nie bądź taką okropną pesymistką – obruszyła się Laura. – Kto powiedział, że szalowy mężczyzna nie może być jednocześnie czuły i wrażliwy? Popatrz tylko na Marca. Na pewno jest cholernie przystojny, a przecież jest bardzo czuły i troskliwy, dobrze mówię, Hannah? Mam

wrażenie, że on cię ubóstwia – dokończyła z westchnieniem..

Wszystkie oczy zwróciły się na młodą mężatkę.

– Tak... oczywiście... Marc jest bardzo dobry i troskliwy – odpowiedziała, wodząc niepewnym wzrokiem po twarzach przyjaciółek. – Tylko... tylko on uważa, że ja z nim... rywalizuję. To znaczy... jeszcze nie zaczęłam, ale będę próbowała go prześcignąć. Jak druga żona Rydera. – Czując, że powiedziała ciut za dużo, wetknęła nos w kartę dań. – Co też dziś dają dobrego?

– Kto to jest ten Ryder? – spytała zaciekawiona Laura.

– Kim jest jego druga żona? – dodała Diane, pytająco unosząc brwi.

– Ryder jest szefem Marca – wyjaśniła Pam, biorąc za rękę nieszczęsną Hannah. – Facet, któremu trzy razy się nie powiodło. Nic nie wiem o jego drugiej żonie, ale poznałam kiedyś trzecią żonę, a właściwie eks-żonę. Nie wydawała się specjalnie przygnębiona rozwodem z Ryderem. Powiedziała mi, co o nim sądzi, niestety, nie wypada mi tego powtarzać na głos.

– O co chodzi Marcowi? – indagowała dalej Laura. – Czy boi się, że będziesz miała wyższe zarobki albo stanowisko?

– Znam to – skrzywiła się Diane. – Mężczyzna, który nie może znieść sukcesu własnej kobiety. Zapomniałyśmy, drogie koleżanki, o tej odmianie. Mam nadzieję, że nie dasz mu się złamać.

– Z drugiej strony – wtrąciła Laura – nie jest roztropnie wzbudzać w mężczyźnie kompleks niższości. Mężczyźni są potwornie wrażliwi.

– Wrażliwi? – powtórzyła z przekąsem Diane. – Chyba żartujesz. Faceci zawsze są opanowani, zawsze mają ostatnie słowo...

– Właśnie dlatego muszą być tacy, że czują się cholernie niepewnie – przyłączyła się do dyskusji Pam.

– Powiedzmy sobie szczerze – oznajmiła buńczucznie Diane – jak się tylko lepiej przyjrzyć, to w każdym facecie drzemie męska szowinistyczna świnia.

– Diane, wyrażenie: męska szowinistyczna świnia wyszło z użytku już w latach osiemdziesiątych. Poza tym, mężczyźni wcale nie są świniami. Jest im po prostu trudniej ujawniać własne uczucia, ponieważ ruch wyzwolenia mężczyzn od tradycyjnych ról męskich nie nadała za ruchem wyzwolenia kobiet. Czy miałyście kiedyś w rękę książkę Kenwooda „Jeśli nie jestem mężczyzną, to kim wobec tego jestem?” Kenwood znakomicie analizuje powody, dla których...

– Poproszę wleceń połową... to znaczy, pieczeń wołową – zaordynowała Hannah, zatrzaskując energicznie kartę – i proszę, żeby była porządnie wysmażona – dodała zdecydowanym tonem.

Mieszkanie do wynajęcia w centrum Manhattanu

Marc szybkim krokiem zmierzał do dziesięciopiętrowej, secesyjnej kamienicy. Przed bramą niecierpliwiła się Hannah, raz po raz popatrując na zegarek.

– Wiem, wszystko wiem – wysapał przepraszającym tonem. – Spróbuj złapać jakąś taksówkę o czwartej.

– Wiesz, że mamie z najwyższym trudem udało się załatwić spotkanie o czwartej piętnaście. Oprócz nas są jeszcze trzy małżeństwa zainteresowane wynajmem. Mama zmobilizowała cały swój urok osobisty, żeby dozorca w ogóle zechciał na nas spojrzeć. – Odwróciła się, żeby zadzwonić do mieszkania dozorca, zanim jednak położyła palec na przycisku dzwonka, Marc chwycił ją za rękę.

– Cześć.

Nagle znalazła się w objęciach męża.

– Cześć – odpowiedziała szeptem.

– Czy zjesz ze mną wieczorem obiad? – Pocałował ją leciutko w usta.

– Nie mogę – westchnęła z żalem. – Zapomniałeś, że mam dzisiaj obiad u burmistrza. Ale wiesz co, skoro i tak będę w tamtej części miasta, to od razu zostanę u ciebie na noc.

– Chyba nic z tego. Zanim odsiedzisz wszystkie przemówienia, będzie północ, a ja muszę jutro wstać o szóstej, żeby dojechać na Long Island.

– Faktycznie, wspominałeś mi o tym spotkaniu. Wobec tego... zjedzmy jutro obiad gdzieś na mieście.

– Niestety, wrócę z Long Island dopiero o dziewiątej, dziesiątej wieczorem.

– Mam nadzieję, że to mieszkanie jest rzeczywiście takie rewelacyjne, jak twierdzi mama. – Hannah nacisnęła dzwonek, siląc się na promienny uśmiech – Bylibyśmy dwójką nieznajomych, których ścieżki krzyżują się w nocy.

– Dla mnie nie musi być fantastyczne – oświadczył Marc, na sygnał domofonu popychając oszkloną bramę. – Wezmę je, nawet jeśli będzie tylko jakie takie.

W dziesięć minut później Hannah i Marc stali na środku pustego salonu, wymieniając ponure spojrzenia.

– Mama chyba ma źle w głowie – mruknęła pod nosem Hannah.

– Nie powiedziałaś jej, że potrzebujemy co najmniej dwóch, o ile nie trzech pokoi? Nie ma miejsca, żeby choć jedno z nas mogło pracować w domu – piekł się Marc.

– Widzę przecież. W dodatku jest tylko jedna łazienka.

– Łazienka? Myślałem, że to schowek na miotły – odważył się zażartować Marc.

– Za to kuchnia nie jest najgorsza. Oczywiście, jeśli nie brać pod uwagę faktu, że służy również karaluchom.

– Nie wiem, co one tam gotują, ale na pewno to coś niezbyt ładnie pachnie – skrzywił się Marc.

– Kochany – Hannah rzuciła mu się w objęcia – nie umiałabym tutaj mieszkać. Po prostu nie byłabym w stanie. – Uwiesiła mu się bezsilnie na szyi.

– Będziemy dalej szukać, na pewno w końcu coś znajdziemy. Umówiliśmy się, że do spraw mieszkania będziemy podchodzić trzeźwo i z głową, prawda?

– Prawda. Żadnego pośpiechu, żadnych desperackich posunięć. Spokojnie i na zimno.

– Daj dużego buziaka.

– Dużego nie mogę. Ciągle jeszcze mam spieczone wargi.

– Nie bardzo nam się ta podróż udała, co? – Łagodnie pogładził ją po włosach.

– Ale pierwsza noc na St. Croix była fantastyczna. – Pocałowała go leciutko.

– Fakt, chociaż wzięłaś mnie za Bloomenthala – uśmiechnął się zgryźliwie.

– Bloomenthal dostał ode mnie, co mu się należało – odcięła się, wsuwając rękę pod połą marynarki Marca. – A potem niejaki Marc Welles też dostał ode mnie, co mu się należało. – Jej ręka powędrowała w stronę paska od spodni.

– Chyba musisz jeszcze skoczyć do domu, przebrać się na obiad u burmistrza. – W połowie zdania głos uwiązł Marcowi w gardle. Ręka Hannah nieubłaganie posuwała się w dół.

– To nam nie zajmie dużo czasu. Dozorca, wręczając klucze, powiedział przecież, że możemy tu siedzieć, ile się nam podoba. Marc – wyszeptwała, zrzucając pośpiesznie płaszcz – tak mało mamy dla siebie... czasu. – Przymknęła oczy i owładnięta falą pożądania, zaatakowała sprzączkę w pasku męża.

– Czy masz zamiar ochrzcić w ten sposób wszystkie zwiedzane mieszkania? – zagadnął półgłosem, pracowicie rozpinając guziki jej bluzki.

– Mhmmm. Każde. Każdziuteńkie. – Hannah zaczęła mu zdejmować spodnie. W tym samym czasie Marc ściągał z niej spódniczkę. Osunęli się na parkiet, zdzierając z siebie nawzajem zbędne części garderoby.

Marc pośpiesznie rozpostarł palto Hannah na podłodze.

– Chodź, będziemy co dzień polować na mieszkanie – zaproponował, kładąc się z nią na płaszczu. – Uwielbiam twoje cudowne, sterczące cucuszki – wyszeptał, dotykając jej piersi i obsypując gradem pocałunków usta, szyję i

ramiona. – Jak to dobrze, że na St. Croix nie chodziłaś w toplessie, miałabyś je teraz poparzone. Są piękne, najdroższe na świecie. I jak cudownie smakują. – Oblizła po kolei każdą z jej sutek.

Drżała z nieopisanej rozkoszy. Odszukała jego wargi i zaczęła zachłannie całować, zapominając o poparzonej skórze obojga.

– Marc, strasznie cię chcę. Zupełnie wariuję.

– Ja też cię bardzo chcę... – Gładził ją po całym ciele, ustami dokonując cudów na jej piersiach.

Tym razem poszła na całość, pieszcząc ciało męża w najwyższym zapamiętaniu. Było coś upajająco nielegalnego w kochaniu się ukradkiem na podłodze mieszkania. Żar falami oblewał jej brzuch: błagała o jeszcze i jeszcze, i jeszcze. Marc wsunął dłonie pod jej pośladki. Kiedy w nią wchodził, uniosła biodra do góry i przyłgnęła do niego z całej siły.

Owinęła jedną nogę wokół jego biodra, czując jak serce wali coraz mocniej, w miarę jak ich wspólny rytm nabiera tempa i intensywności.

Ujął jej twarz w dłonie i zamknął wargi swoimi ustami.

– Hannah, Hannah... – Za każdym ruchem mruczał półgłosem jej imię. Z jej ust zaczął się wydobywać jęk niepowstrzymanej rozkoszy. Z przymkniętymi powiekami odchyliła głowę do tyłu, delektując się jego pieszczotami. Przez jakiś czas balansowała na krawędzi utraty kontroli, w końcu bezwolnie runęła w otchłań. Krzyknęły jednocześnie. Najwyższa rozkosz ogarnęła ich w tej samej chwili.

Pławiąc się w powracających falach orgazmu, nie zwrócili uwagi na dzwonek. Dopiero, kiedy dozorca zawołał ich po nazwisku, Hannah wstrzymała oddech.

– Jak państwu idzie? – zagadnął ochryply głos przez drzwi.

– Świetnie. Bardzo dobrze. Już prawie obejrzelśmy – odkrzykiwali, szybko zbierając porozrzucane ubrania.

– Nie mają państwo żadnych pytań?

– Nie, nie! – zawołał Marc w stronę drzwi. Właśnie dopinał spodnie, kiedy zauważył, że Hannah trzyma w rękach jego slipy.

Zgrzytnął klucz w zamku i dozorca wkroczył do mieszkania. O dziwo, oboje wyglądali całkiem przyzwoicie. Hannah wbijała się w palto, wachlując się przy tym dłonią.

– Strasznie tutaj gorąco – wybąkała.

– Większość lokatorów nie miała zastrzeżeń do temperatury. – Dozorca zbył ją wzruszeniem ramion.

– Moja żona absolutnie nie zgłasza żadnych zastrzeżeń – pośpieszył jej w sukurs Marc.

– Żadnych, absolutnie żadnych zastrzeżeń – zawtórowała Hannah.

– Więc jaka jest opinia państwa o mieszkaniu? – spytał dozorca.

– Nno... – zaczęła Hannah, ukradkiem wyglądając spódniczkę – wydaje nam się ciut... za małe. Prawda, kochanie?

– Właśnie – potaknął, biorąc ją za rękę. – Miłe... ale malutkie.

– Tu jest całkiem spory salon – zwrócił im uwagę dozorca.

– Niewątpliwie jest największym... atutem tego mieszkania – zgodziła się Hannah z entuzjazmem. – Strasznie nam się podoba. To po prostu wymarzony salon.

– Tak, chyba jeszcze w żadnym nie czuliśmy się tak... komfortowo – poparł ją Marc z uśmiechem. – Trudno nam się jednak... zdecydować. Musimy się jeszcze... zastanowić.

– Może moglibyśmy jeszcze raz wpaść, rzucić okiem na to mieszkanie? – zagadnęła Hannah, posyłając znaczący uśmieszek w stronę Marca.

– Mówiłem już pani mamusi – dozorca w zakłopotaniu potarł ręką podbródek – że trzy małżeństwa chodzą koło tego lokalu. Do końca tygodnia na pewno ktoś się zdecyduje.

– Jesteśmy panu szalenie wdzięczni, że mogliśmy się tu... rozejrzeć. – Marc objął Hannah ramieniem i poprowadził w stronę wyjścia. – Było nam tutaj bardzo miło – nacisnął klamkę.

– Właśnie – podchwyciła Hannah, wychodząc na klatkę. – Świetnie się tutaj bawiliśmy.

– Powiem coś panu i pani – oświadczył dozorca przyglądając się, jak zgodnie kroczą w stronę windy. – Skoro się bawicie oglądając mieszkanie, którego nie chcecie wynajmować, to chyba umrzecie z radości, jak znajdziecie mieszkanie, które się wam spodoba. – Odprowadził ich niechętnym spojrzeniem.

Kiedy drzwi windy zasunęły się za nimi, wybuchnęły głośnym śmiechem. Kto mógł przypuszczać, że oglądanie mieszkań to taka świetna zabawa?

Biura OBSR

Marc studiował wydruk aktywów Vysco, kiedy niespodziewanie pojawił się Harris Porter.

– Słyszałem, że wykręciłeś się od środowego obiadu Morriseya.

– Nno... owszem. Nie dam rady tam dotrzeć – odburknął Marc pod nosem, ze wzrokiem utkwionym w wydruk.

– Mam nadzieję, że przygotowałeś porządną wymówkę. Wiesz, jaki Ryder ma stosunek do Morriseya. Lubi pokazać staremu, że dowodzi solidnym okrętem. A my jesteśmy jego zaufaną załogą.

– Wiem, ale obiecałem Hannah już dwa tygodnie temu, że będę wolny w środę wieczór. Jej matka wydaje obiad na naszą cześć, poza tym chce nam

koniecznie przedstawić swojego nowego przyjaciela.

– A więc więzy małżeńskie powoli zamieniają się w kajdanki – zaśmiał się uszczypliwie Porter, przysiadając na biurku kolegi. – Jesteś pewien, że pod płaszczykiem obiadu nie kryje się żadna forma tresury?

– Odczep się. – Marc oderwał się wreszcie od pracy i spojrzał na Harrisa. – Od czasu powrotu z St. Croix ani razu nigdzie razem nie byliśmy. Nigdy nam to nie wychodzi. Zawsze przynajmniej jedno z nas jest zajęte. Nawet w weekendy za każdym razem coś staje na przeszkodzie. W ubiegłą sobotę Hannah musiała pojechać na konferencję do Waszyngtonu, a tydzień wcześniej ja musiałem biesiadować z Bloomenthałem.

– Wiem, brachu, że to cienka sprawa, ale radziłbym ci nie iść na żadne ustępstwa. Raz dasz palec, to ci całą rękę wezmą. Widziałem twoją Hannah w akcji. Ta kobieta nie popuści tam, gdzie idzie o jej karierę. Czy sądzisz, że ona opuściłaby ważne spotkanie po to, żeby pójść na obiad do twojej matki?

– Moja mama mieszka w Minnesocie – wybąkał Marc. – Poza tym nie masz racji. Hannah też potrafi pójść na ustępstwa.

– Ejże? Podaj co najmniej trzy przykłady.

– Proszę bardzo. A więc... nno... zaraz. To znaczy... – dodał po namyśle... – właściwie nie wiem, czy to można nazwać ustępstwem.

– No to – zażądał Porter z przebiegłym uśmiechem – wymień jeden przykład.

Ustępstwa. Marc zmarszczył czoło.

– Dobra, Marc. Nie ma o czym gadać. – Harris machnął pobłażliwie ręką.

– Właśnie, że jest – zaprotestował Marc. – Nie chciałbym, żebyś myślał, że ona mi nigdy nie ustępuje. Po prostu nigdy dotąd nie było takiej sytuacji...

– Ale już jest – zwrócił mu uwagę Harris. – Już zażądała od ciebie, żebyś stawiał się u jej mamuni we środę.

– Hannah niczego mi nie kazała, sam chciałem. Gdybym odmówił, nie miałyby do mnie najmniejszych pretensji.

– Lepiej się namyśl, póki, jeszcze czas – oznajmił Harris konfidencyjnym tonem. – Żebyś nie skończył, jak wszyscy żonkosie. Znasz ten stary kawał. Kiedy żonaty mężczyzna umiera i idzie do nieba, zamiast wrót raju widzi dwie pary drzwi. Na jednych jest tabliczka z napisem: Prawdziwi mężczyźni, na drugich napis: Pantoflarze. Któregoś dnia święty Piotr przechadza się po niebie i widzi, jak zwykle, długą kolejkę panów przed drzwiami z napisem: Pantoflarze. A pod drzwiami z napisem: Prawdziwi mężczyźni stoi, o dziwo, jakiś facet. Święty Piotr pyta go, czym zasłużył sobie na przywilej czekania przy wejściu dla prawdziwych mężczyzn. Nie mam pojęcia, odpowiada facet. Żona kazała mi tu stanąć.

452 Grammercy Park

- No, no, co tak wcześnie? Wyglądasz, że pożał się Boże. Gdzie Marc?
- Najpierw, o ile mnie pamięć nie myli, mówimy dobry wieczór – upomniała matkę Hannah. – Czyżbym była pierwsza?
- Owszem. Zapraszałam gości na wpół do siódmej, a jest dopiero kwadrans po szóstej. Zwykle się spóźniałaś na moje przyjęcia. Co się stało? Czyżbyście się z Markiem pokłócili?
- Nie...
- Oczywiście, byłabym zapomniała. Nigdy się nie kłócicie, bo macie dosyć oleju w głowie, żeby obywać się bez awantur i tak dalej. Jeśli jednak chcesz wiedzieć, co ja o tym sędzę...
- Niekoniecznie.
- Moim zdaniem nie kłócicie się, bo w ogóle się nie widujecie. Marca nie będzie dzisiaj?
- Nie – ucięła krótko Hannah, zdejmując płaszcz.
- Czy obejrzelście to mieszkanie na Pięćdziesiątej Czwartej, które znalazłam w gazecie?
- Rzuciłam na nie okiem. Marc nie mógł się wyrwać z pracy. – Hannah starała się ukryć rozżalenie. – Jesteśmy zbyt zajęci, żeby sobie pozwolić na bieganie we dwójkę.
- Jak ci się spodobało to mieszkanie? – spytała Mary, prowadząc córkę do salonu.
- Widziałam gorsze.
- No więc...?
- To jest pierwsze piętro. Marc wolałby mieszkać wyżej. Uważa, że na pierwszym piętrze jest zbyt duże ryzyko włamania.
- Przecież budynek jest strzeżony.
- Poza tym, dom z naprzeciwka zasłania słońce.
- Chcesz znać moje zdanie w tej sprawie? – Mary Logan uważnie przyglądała się córce. Hannah nalala sobie wina i zaczęła niemrawo obgryzać liść endywii faszerowany twarogiem czosnkowym.
- Dlaczego zawsze się mnie pytasz, czy chcę znać twoje zdanie, a jak ci mówię, że nie chcę, to i tak muszę cię wysłuchać?
- Bo czuję, że w rzeczywistości chcesz wiedzieć, co myślę – powiedziała Mary łagodnie. – Czy nie po to przyszedłaś dzisiaj wcześniej, żeby ze mną porozmawiać?
- Nie – burknęła Hannah, sięgając po następny liść.
- Myślę, że dobrze by ci zrobiło zacząć od tego, że czujesz się przerażona. – Mary posłała córcę przeciągłe spojrzenie.
- Czym przerażona?

– Przerazona małżeństwem. Dobrze byłoby zacząć od tego.
– Nic nie rozumiesz. Za twoich czasów te sprawy wyglądały inaczej.
– Za moich czasów kobiety też pracowały. Sama pracowałam przez trzy pierwsze lata po ślubie. Za to twój ojciec, naturalnie, nie pracował – zaśmiała się znacząco.

– Oboje jesteśmy teraz strasznie zalatani. Oczywiście, że chcielibyśmy spędzać więcej czasu razem. Na przykład dzisiaj... – przerwała, czując, że łzy cisną się jej do oczu.

– Nawet jeśli mąż i żona są nie wiem jak zapracowani, zawsze powinni znaleźć dla siebie trochę czasu. – Mary Logan wyjęła córce liść z ręki i ujęła jej dłoń.

– Ja znajduję czas dla Marca – obruszyła się Hannah. – Właśnie dzisiaj mieliśmy wspólnie spędzić wieczór. Dawno byliśmy umówieni na obiad u ciebie. Nagle, dwa dni temu, Marc bez żadnego uprzedzenia mówi mi, że nie przyjdzie. Twierdzi, że ma bardzo ważny obiad służbowy i szef wymaga jego obecności.

– Coś takiego zdarza się wam obojgu co pewien czas – wtrąciła Mary pojednawczo.

– Nie jestem zła o to, że nie przyjdzie, tylko o to, w jaki sposób mi to powiedział. Mówił do mnie tonem nie znoszącym sprzeciwu, właściwie dosyć... nieprzyjemnym. A potem poczęstował mnie jakimś idiotycznym, zasłyszonym w biurze dowcipem o żonatych mężczyznach. Spojrzał na mnie znacząco i pyta: „Kapurujesz?” – Westchnęła ciężko. – Jedyne, co „kapuję”, to to, że jego dowcipy są beznadziejne.

– Twój ojciec też przynosił do domu koszmarne kawały.

– I co? Śmiałaś się?

– Nie. Rozwiodłam się – oświadczyła Mary, widząc jednak przestrach na twarzy córki, dodała pośpiesznie. – Kochanie, to był tylko żart. Może rzeczywiście powinnaś się nauczyć troszkę śmiać. W małżeństwie daleko nie zajdziesz bez poczucia humoru.

ROZDZIAŁ 6

Mieszkanie Hannah na górnym Manhattanie

Wchodziła właśnie do mieszkania, kiedy zadzwonił telefon. Cisnęła torebkę na stolik w przedpokoju i rzuciła się do aparatu w sypialni. Dopadła go przy czwartym dzwonku.

– Cześć – pozdrowił ją jakże bliski głos.

– Marc? – strząsnęła płaszcz z ramion i kopnięciami pozbyła się butów.

– Mam wrażenie, że jesteś zaskoczona.

Odchrząknęła i rzuciła okiem na zegarek. Parę minut po dziesiątej.

– Myślałam, że dłużej będziesz... zajęty. – Dostyszała napięcie we własnym głosie. Rozzłościło ją to. Chciała być swobodna i opanowana.

– Właśnie wróciłem. A ty?

– Też.

– Hannah...

– Marc...

Roześmieli się.

– Mów pierwsza – poprosił ciepłym głosem.

– Bo widzisz... wydaje mi się... – umilkła na chwilę. – Pewnie już zapomniałeś, ale w panińskich czasach byłam całkiem wygadana.

– Jeszcze pamiętam – roześmiał się. – To wcale nie było tak dawno temu.

– Bo widzisz, wszystko dzieje się jako inaczej, niż sobie wyobrażałam.

Nie powinnam była tak się na ciebie złościć o tego Morriseya. Przecież ja w twojej sytuacji na pewno też bym się wyłgała z rodzinnego obiadu. – Pomięła milczeniem fakt, że czułaby się zapewne bardzo nieszczęśliwa i po powrocie ze służbowego obiadu wylałaby w poduszkę wiele łez.

– Naprawdę tak byś zrobiła? – zdumiał się Marc, który chciał jeszcze raz ją przeprosić za to, że nie stawił się u teściowej na obiedzie.

– Niestety, małżeństwo i praca nie zawsze idą ze sobą w parze. Nigdy nie przypuszczałam, że to będzie wymagało takiej nieustannej żonglerki.

– Wiem, o czym mówisz – poparł ją. – Sam byłem pewien, że skoro w pracy zawodowej stale odnosimy sukcesy, nasze małżeństwo automatycznie ułoży się równie pomyślnie.

– Musimy się po prostu bardziej starać – oznajmiła Hannah, łykając łzy.

– Jasne – potaknął ponuro. – Trzeba tylko troszkę popracować nad strukturą organizacyjną przedsięwzięcia...

– Nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy łączyć jednego z drugim. – Hannah starała się nasączyć swój głos optymizmem.

Zapadła nieprzyjemna cisza. W popłochu rzucili się zapełnić niepokojącą lukę w konwersacji.

– Jak było na zebraniu...?

– Jak było na obiedzie u mamy...?

– Zebranie było strasznie nudne – odpowiedział Marc – ale Ryder był w siódmym niebie, że może się pokazać w towarzystwie swoich dzielnych chłopaków. No i oczywiście – dodał po przerwie – nowej dziewczyny.

– Chcesz powiedzieć, że Robin Corbett też tam z wami była? – spytała Hannah, siląc się na chłód i obojętność. – Myślałam, że jest jeszcze na urlopie i zacznie pracę w Ośrodku dopiero za tydzień.

– Oficjalnie tak, ale to miało być dla niej czymś w rodzaju rozgrzewki.

– Nie wątpię, że umiała wszystkich rozgrzać – skwitowała cierpko Hannah, wspominając swoje jedyne spotkanie z inteligentną i nieprawdopodobnie atrakcyjną Robin Corbett. Spotkanie miało miejsce parę miesięcy temu, podczas obiadu wydanego z okazji przyjęcia Robin do OBSR. Robin, rodem z Los Angeles, miała w sobie tę specyficzną, kalifornijską pewność siebie, która kładła tłumy u jej stóp. Hannah sama uległa jej czarowi i była nieco zazdrosna. W dodatku, przyjęcie Robin do OBSR samo w sobie miało posmak rewolucji. Robin miała być jedyną kobietą na tak wysokim stanowisku w dziale finansów. Marc, Harris Porter i John Moss, nie mówiąc już o ich szefie, Dougu Ryderze, wydawali się zachwyceni perspektywą współpracy z Robin.

– Robin była dzisiaj niesamowita – ciągnął Marc, nie kryjąc podziwu. – Owinęła sobie Morriseya wokół małego palca.

Hannah tępo spojrzała na własną dłoń.

– Więc teraz ma już wszystkie palce zajęte – mruknęła pod nosem, mając na myśli fakt, że Robin już wcześniej zdążyła oczarować Marca, jego szefa i dwóch kolegów.

– Co? – spytał Marc, który nie dosłyszał uwagi żony.

– Nic takiego.

– Wyobraź sobie, że Robin cię pamięta. Kazała cię pozdrowić – zaśmiała się nerwowo. – Spytała mnie, czy już mieszkamy razem. Ja jej na to: „Nie, pobraliśmy się”. Harris i John zrywali boki, ale Robin nie wiedziała, o co chodzi, dopóki Harris jej nie wytłumaczył, że nie mamy jeszcze mieszkania. Robin świetnie rozumie naszą sytuację. Sama ma kłopoty ze znalezieniem jakiegoś przyzwoitego lokum. Na razie mieszkają na kupie z dawną koleżanką ze studiów, gdzieś przy Wschodniej Trzydziestej Ósmej. Powiedziałem jej, że jeśli uda nam się coś złapać, to może wziąć mieszkanie po mnie. Jutro... uhhmm... przychodzi do mnie po pracy... rzucić okiem.

– Wieczorem? – Hannah poczuła ukłucie niepokoju.

– Tak. Robin bardzo liczy na to, że przyjdiesz. Chciałaby się z tobą zobaczyć, polubiła cię od pierwszego wejrzenia.

– Jutro będę miała zebranie do siódmej albo i dłużej, doceniam jednak fakt, że Robin o mnie pomyślała – oznajmiła lekkim tonem.

– Ja też pomyślałem zaraz o tobie, kochanie – odrzekł Marc. Po chwili dodał: – Myślę o tobie dniem i nocą, co się zresztą fatalnie odbija na mojej pracy. Ciągle wspominam to cudowne popołudnie w pustym mieszkaniu.

Przymknęła oczy. Ona również wiele razy, dniem i nocą, wspominała to krótkie, lecz jakże upajające interludium.

– Od tamtego czasu już ani razu nie szukaliśmy wspólnie mieszkania – stwierdziła z żalem. Podciągnęła kolana pod brodę i przełożyła słuchawkę do drugiego ucha. – Bardzo cię kocham.

– Ja też cię kocham.

Umilkli na chwilę.

– Jak minął wieczór? – spytał w końcu.

– Większość czasu spędziłam, gawędząc z nowym narzeczonym mojej matki, niejakim Simonem Potterem.

– Jaki on jest? – zapytał, poluzowując krawat. Wyciągnął się na łóżku i podłożył jeszcze jedną poduszkę pod głowę.

– Czarujący, elegancki, bardzo przystojny. Dawniej był właścicielem sieci biur podróży, teraz już się wycofał z biznesu. Bardzo dużo sam podróżował. Był czterokrotnie żonaty.

– Czterokrotnie? Daleko mu jeszcze do rekordu w tej dziedzinie. Jak reaguje na to twoja matka?

– Podchodzi do tej kwestii z najwyższym spokojem. Żartowała nawet, kiedy zostaaliśmy same, że jeśli miałyby wyjść za mąż, to chętnie za

rozwodnika, bo w ten sposób będzie mogła włączyć się w krajową akcję odzysku surowców wtórnych.

– Bardzo lubię twoją mamę – wybuchnął śmiechem.

– Ja też ją lubię – stwierdziła Hannah. – Zresztą Simona także. – Wsunęła drugą poduszkę za głowę. – Chyba się pobiorą.

– Co ty na to?

– Sama nie wiem – przyznała szczerze. – Może mając za sobą tyle prób i błędów, dojdą tym razem do czegoś.

– Skoro tak, to co z nami? – spytał, nagle zaniepokojony.

– My będziemy wyjątkiem od tej reguły – wyjaśniła cierpliwie. Nam wyjdzie od pierwszego razu, dodała w duchu, odwieszając słuchawkę po porcji obowiązkowych całusów na dobranoc.

Usiadła, spuściła nogi na ziemię i w zadumie spojrzała na telefon. Ogarnęły ją mieszane uczucia. Co ona właściwie robi? Posyła mężowi całusy przez telefon, zamiast składać gorące, wilgotne, namiętne pocałunki na jego ciele. W ten sposób nie pociągną długo jako para. Małżeństwo nie polega na organizacji i planowaniu, nie polega na wyrozumiałości i tolerancji, nie polega na logice i dyscyplinie, a w każdym razie nie na tym rodzaju logiki, dzięki któremu Hannah osiągała sukcesy zawodowe. Powoli zaczynała dochodzić do wniosku, że małżeństwo jest instytucją, która rządzi się specyficzną logiką. A może w ogóle powinno być pozbawione logiki? Poczula się kompletnie zagubiona i zdezorientowana.

Głęboka zmarszczka zaczęła się tworzyć na czole Hannah. Rozsądek podpowiadał jej, że ilekroć ma wątpliwości, powinna sprawę przemyśleć. Jednak równolegle z głosem rozsądku w jej głowie rozbrzmiewał inny, równie uporczywy głos, domagający się zastosowania odmiennej strategii. Kiedy masz wątpliwości – zaryzykuj. Bądź posłuszna impulsom. Możesz mieć to, czego pragniesz, ale, wbrew sloganom reklamowym, nie osiągniesz tego przez telefon.

Nie namyślając się wiele, z powrotem wskoczyła w buty i narzuciła palto. Co z tego, że było dość późno? Co z tego, że będzie musiała zerwać się przed świtem? Co z tego, że zdobycie rano taksówki do pracy będzie najprawdopodobniej heroicznym wyczynem...?

Porwała torebkę i wybiegła z domu. Marc, najdroższy, kochany, już do ciebie jadę. Zaraz będę...

W dwadzieścia minut później, zgrzana i zdyszana z pośpiechu, wkładała swój klucz w zamek u drzwi Marca.

– To ja, Hannah – zawołała od progu, żeby go nie przestraszyć. – Przyszłam osobiście pocałować cię na dobranoc, kochanie. – Przebiegła salon i otworzyła na oścież drzwi do sypialni Marca. – Ale cię zaskoczyłam! Posuń się i zrób trochę miejsca dla mnie. Przyszłam do ciebie na całą noc. Obudź

się, śpiochu, bo będę musiała... – Stała jak wryta przy łóżku.

Zapaliła lampę. Łóżko było puste. Gdzie Marc? Przecież był w domu zaledwie dwadzieścia minut wcześniej. Przysiadła na skraju łóżka. Może pobiegł do sklepu nocnego kupić coś do zjedzenia na jutro? Niechętnie zmarszczyła brwi. Może właśnie kupuje dobre wino i ser na jutrzejszą wizytę oszalamiającej Robin Corbett?

Westchnęła ciężko, zawstydzona. Zazdrość i nieufność – to nie było w jej stylu. Przecież Marc nigdy nie dał jej powodów, by powątpiewała w jego wierność. To absolutnie naturalne, że Robin interesuje się mieszkaniem Marca i nie istnieją żadne powody, żeby sądzić, że interesuje się również samym Markiem. A jednak Hannah nie dawała spokoju świadomość, że Robin wie o ich oddzielnych mieszkaniach. Może uznać, że ich małżeństwo jest bardziej formalnym układem niż żywym związkiem. Jeśli Robin odniosła takie wrażenie i ma ochotę na Marca, nie będzie miała oporów, aby się z nim przespać.

Umysł Hannah zaczął pracować w szaleńczym tempie. Czy Marc ulegnie podstępnyemu zabiegom rozpustnej, przebiegłej, nie cofającej się przed niczym kobiety? Czy w chwili słabości frustracja mogłaby go pchnąć w skwapliwe objęcia Robin? A może już w nich spoczywa? Posławszy żonę na dobranoc całusa przez telefon, niewierny mąż ruszył na nocną schadzki z inną kobietą? Boże, tylko nie to, pomyślała z rozpaczą. Dwa miesiące po ślubie i już przyprawił jej rogi. Zaraz, to nie ma sensu. Tylko mężczyźni można przyprawić rogi. Co wobec tego można przyprawić kobiecie? Chyba tabliczkę z napisem: Łatwowierna idiotka, zdecydowała po namyśle.

Zmytygowała się. Chyba coś padło jej na mózg, żeby snuć w wyobraźni kliwą intrygę, podczas gdy Marc lada chwila wkroczy do mieszkania z torbą zakupów. Jak mogła chociaż przez chwilę przypuszczać, że jej Bogu ducha winny mąż ma romans z jakąś babą z biura!

Zaśmiała się głośno, zdjęła płaszcz, zrzuciła buty z nóg. Pośpiesznie pozbyła się reszty garderoby. To dopiero będzie niespodzianka, kiedy Marc wejdzie do sypialni i znajdzie ją nagą, gotową ponownie odegrać najlepsze fragmenty kompozycji, którą stworzyli na podłodze pustego mieszkania! Potem ruszyła do łazienki. Chciała być świeża jak poranek, kiedy będzie go przyjmować w jego własnym łóżku. Upięła włosy i wskoczyła pod prysznic.

Zanim zrezygnowany odłożył słuchawkę, odczekał, aż telefon w jego mieszkaniu zadzwonił dziesięć razy. Usiadł na łóżku żony zastanawiając się, dokąd mogła wyjść o tej porze, skoro nie pojechała do niego. Był absolutnie pewien, że zastanie ją we własnym mieszkaniu. Wykręcając swój własny numer, śmiał się z absurdalnego zbiegu okoliczności, który sprawił, że

Hannah pojechała do niego w tym samym czasie, kiedy on pędził taksówką do jej mieszkania, Jednak nie było jej u niego. Gdzie wobec tego mogła się podziewać?

Rozejrzał się uważnie po sypialni. Nagle zmartwił ze strachu. Czy to możliwe, żeby ktoś włamał się do mieszkania i porwał jego żonę? Nigdzie jednak nie dostrzegł śladów szamotaniny, a Hannah nie należała do kobiet, które poddają się bez walki. Musiał znaleźć jakieś mniej dramatyczne wyjaśnienie.

Lub też, pomyślał niechętnie, równie dramatyczne, choć nie mające nic wspólnego z przemocą. Czy możliwe, żeby miała potajemny romans z innym mężczyzną? Czy ich małżeństwo już w tej chwili było aż taką klęską, że Hannah zaledwie dwa miesiące po ślubie musiała szukać ukojenia i podniekt erotycznych w objęciach kochanka?

Nerwowym krokiem zaczął przemierzać sypialnię żony. Raz po raz odtwarzał ze szczegółami ich ostatnią rozmowę przez telefon. Faktycznie, miała dziwny głos, chwilami mówiła bez ładu i składu, wydawała się jakby trochę nieobecna. Kiedy wspomniał o Robin Corbett, w jej głosie pojawiła się wyraźna nuta sarkazmu.

Pot wystąpił mu na czoło. Czyżby Hannah sądziła, że on też ma coś na sumieniu? Zacisnął mocniej szczęki. Jak śmiała go tak oszukiwać? Powiedzieć mu niecałe pół godziny temu, że dołoży wszelkich starań dla pomyślności ich małżeństwa, a potem odłożyć słuchawkę i popędzić do kochanka!

Poczuł, że dygoce z furii i z żalu. Nagle wrócił mu rozum. Przecież Hannah mogła wyjść z domu z całkiem uczciwych powodów. Przez telefon mówiła smutnym, nieswoim głosem. Czyjego towarzystwa szuka, ilekroć ma chandrę? Oczywiście Pam Adams, swojej najlepszej przyjaciółki, mieszkającej zaledwie kilka ulic dalej. No jasne, pomyślał, czując przyływ błogiej ulgi. Spojrzał na zegarek. Jeszcze nie jest tak strasznie późno. Hannah na pewno wyskoczyła do Pam na babskie pogaduszki. Za jakąś godzinkę jego wierna, kochająca żona wróci do domu podniesiona na duchu przez przyjaciółkę.

Uśmiechnął się pod nosem. On też będzie wiedział, jak poprawić jej humor, tak żeby poczuła się bardzo, ale to bardzo dobrze. Pozbył się garderoby i wskoczył pod prysznic. Kiedy Hannah wróci do domu, jej ukochany mąż będzie na nią czekał z otwartymi ramionami.

Hannah usłyszała, jak telefon w jej mieszkaniu zadzwonił czterokrotnie, po czym ze szcęknięciem włączyła się automatyczna sekretarka. Psiakrew, zaklęła w duchu, ciskając słuchawkę na widełki. Jeśli chodzi o logiczną dedukcję, to by było na tyle...

Mieszkanie Marca na dolnym Manhattanie

Robin Corbett wykonała powolny piruet na środku salonu.

– Genialne, genialne! Nie tyle nawet samo mieszkanie, ile jego urządzenie. Mam bzika na punkcie wschodnich dywanów, poza tym podziwiam sposób, w jaki połączyłeś neomodernizm z Tudorami. Wziąłeś na pewno architekta wewnątrz, przy twoim rozkładzie jazdy nie miałbyś czasu, aby się tym wszystkim zająć.

– Zdziwisz się, ale nic takiego – powiedział, rozbawiony egzaltacją nowej koleżanki z pracy. – Poszedłem po prostu do domu towarowego, tam spacerowałem się przez dział meblowy, pokazałem palcem to, co mi się spodobało i wróciłem do domu, aby czekać, aż mi dowiozą meble.

– Ty chyba jesteś zbyt skromny.

– Naprawdę aż tak ci się u mnie podoba?

– Naprawdę. Uwielbiam twoje mieszkanie. Wiem, że mówiąc to, kręcę stryczek na własną szyję, ale po prostu nie mogę pojąć, jak możesz pozbywać się takiego skarbu. Przecież stąd można na własnych nogach dojść do OBSR. Żadnego uganiania się za taksówkami...

– Akurat – bąknął pod nosem. Całą noc spędził w mieszkaniu Hannah, czekając, aż się pojawi. Zachodził w głowę, co mogło ją skłonić do spędzenia nocy poza domem. Nie wróciła nawet nad ranem, żeby się przebrać. W każdym razie nie pokazała się do siódmej, kiedy wreszcie musiał złapać taksówkę i pojechać do siebie, zmienić ubranie przed wyjściem do biura.

– Coś nie tak? – spytała Robin, przyglądając mu się z uwagą.

– Przepraszam – odpowiedział cicho. – Miałem po prostu niedobrą noc.

– Ja, jak się nie wyśpię w nocy, następnego dnia jestem do niczego. W ogóle nie mogę się skupić – oświadczyła ze zrozumieniem.

– Zdaje się, że w pracy było dzisiaj widać moją kiepską formę – westchnął, przysiadając na szarobiałej sofie w stylu Tudorów.

– Wszyscy od czasu do czasu miewamy gorsze dni. – Robin podeszła do Marca i oparła mu lekko rękę na ramieniu. – A w twojej sytuacji to już zupełnie...

– Co to znaczy: w twojej sytuacji?

– Nie chciałam cię urazić. – Uniosła dłoń przeproszającym gestem. – Chodzi mi tylko o to, że człowiekowi żonatemu z pewnością trudno znaleźć dosyć czasu i energii, żeby mieć jakieś życie osobiste i zawodowe. Uprawianie tej żonglerki to musi być nie lada sztuka.

– Żonglerki, powiadasz? – powtórzył z westchnieniem wyciągając się wygodnie na sofie z odchyłoną głową. Przymknął oczy.

Podskoczył, kiedy chłodna dłoń Robin spoczęła znienacka na jego czole.

– Jesteś strasznie spięty. Czy robię ci przykrość? – spytała kojącym

głosem.

Miał wielką ochotę powiedzieć jej, na czym ta przykrość polega. Chciał zaznać ukojenia z rąk tej łagodnej, wyrozumiałej i niezmiernie urodziwej koleżanki, niekoniecznie pod postacią zwierzeń o problemach małżeńskich. Wziął się jednak natychmiast w karby i nie miał żadnych obaw, że powie lub zrobi coś niestosownego. Dobrze wiedział, że wszelkie problemy, jakie mieli z Hannah, mogli rozwiązać tylko i wyłącznie oni sami.

Chyba z dziesięć razy w biurze chwycił za telefon, żeby zadzwonić do niej do pracy i za każdym razem odkładał słuchawkę z powrotem. Z pewnością miała jakieś śmiesznie proste wyjaśnienie, gdzie spędziła ostatnią noc. Będzie mu głupio, kiedy okaże się, że po prostu zasnęła u Pam. Albo na przykład przenocowała u matki. Mimo to nie mógł zdobyć się na telefon.

– Czy pokażesz mi resztę mieszkania, czy może wolałbyś, żebym przyszła kiedy indziej?

Na śmierć zapomniał o obecności Robin. Kobiety o kojącym głosie, chłodnych dłoniach, upajającym zapachu. Pomyślał, że jej perfumy z pewnością nazywają się „Pokusa”, „Fascynacja”, albo na przykład: „Weź mnie” czy „Jestem twoja”...

– Ależ skąd! Oczywiście, że pokażę. – Zerwał się z sofy. – Zapraszam cię do kuchni.

– Zapomniałam już, ile tu jest sypialni. – Robin ruszyła za Markiem w głąb mieszkania.

– Jedna – wymamrotał. – Ale jest jeszcze mój gabinet, który też mógłby służyć jako sypialnia.

Idąc korytarzem w stronę kuchni, minęli zamknięte drzwi po prawej.

– Twój gabinet? – zagadnęła Robin.

– Eee... nie. Sypialnia...

– Skoro już tu jesteśmy... Możemy najpierw obejrzeć sypialnię. – Robin przystanęła przy drzwiach.

Poczuł, że ogarnia go panika. Chyba mam źle w głowie, przekonywał się, stojąc w korytarzu jak sparaliżowany, podczas gdy Robin wkraczała do sypialni. To niemożliwe, żeby ta kobieta próbowała go uwieść. Chciała zwiedzić całe mieszkanie i tyle. Każdy na jej miejscu poszedłby obejrzeć sypialnię.

– Boże, jak tu cudownie... jak jasno, ile przestrzeni! – wydała okrzyk entuzjazmu.

– Mam tu lekki... bałagan – wybąkał Marc, wchodząc po chwili wahania – Wczoraj... wróciłem bardzo późno do domu.

– Masz naprawdę znakomity gust! Czy zamierzasz sprzedać część swoich mebli? Łóżko jest po prostu fantastyczne! Uwielbiam rzeźbione zagłówki. To jest łóżko dwuosobowe, prawda? – zwróciła się do Marca, podskakując kilka

razy na materacu. – Sprężysty. Jesteśmy zupełnie tacy sami. Ja też lubię twarde materac.

Nagle, o zgrozo, wyciągnęła się jak długa w poprzek łóżka.

– To dla mnie niepojęte, jak można na takim łóżku nie spać noc w noc kamiennym snem – wymruczała. – Szkoda, że nie możesz zobaczyć, na czym sypiałam przez ostatni tydzień. Na starej składanej wersalce! Dałabym wszystko, żeby... – Przerwała nagle i zachichotała. – Przepraszam, chyba się troszkę zagalopowałam. – Wsparła się na łokciu i obrzuciła Marca pobłażliwym spojrzeniem. – Czy ja cię nie krępuję?

– Mnie? Ależ skąd!

– Szczęśliwa kobieta z twojej Hannah. Mam nadzieję, że zdaje sobie z tego sprawę.

– Robin...

– Gdybyś był wolny, nie wahałabym się ani pół minuty. – Spuściła oczy, zawstydzona. – Wiem, że to brzmi bardzo zarozumiale. Skąd mogę wiedzieć, czy w ogóle zwróciłbyś na mnie uwagę. Jak myślisz?

– Nie rozumiem – zaczerwienił się mimo woli.

– Właśnie za to cię uwielbiam! – wybuchnęła śmiechem. – Za to, że czasem bywasz taki nieśmiały, speszony, nerwowy. Nie myśl sobie tylko, że nie doceniam również twojej siły, pewności siebie i zdecydowania! Wcale bym się nie dziwiła, gdybyś wkrótce objął wyższe stanowisko w OBSR. Jesteś inteligentny, energiczny, ambitny, a do tego szalenie przystojny. Nie myśl sobie, że wygląd się nie liczy. Tam, gdzie gra idzie o wysoką stawkę, liczy się wygląd zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn. Z tym że uroda kobiecie częściej szkodzi, niż pomaga, podczas gdy z mężczyznami rzecz się ma na odwrót. Piękne kobiety rozpraszają uwagę. Przystojni mężczyźni wzbudzają zaufanie. Sama twoja obecność, Marcu, napawa mnie ufnością.

– Miło... miło mi to słyszeć, ale...

– Zaczekaj. Wiem, że to nie moja sprawa, ale pozwól, że ci udzielę pewnej rady.

– Jasne... oczywiście, proszę bardzo. Dziwnym trafem ostatnio moja obecność przede wszystkim pobudza do udzielania porad.

– Czasem, kiedy żonglerka zaczyna być zbyt nużąca, warto zafundować sobie mały urlop. Po prostu oderwać się na chwilę od tego wszystkiego, pozwolić sobie na jakąś odmianę. Rozumiesz, o czym mówię? – Przechyliła głowę na oparcie łóżka, nie spuszczając błękitnych oczu z Marca.

– Nie jestem... hmm... całkiem pewny – wybąkał, nieznosnie skrępowany, a jednocześnie zafascynowany jej osobą.

– Marc, spójrzmy prawdzie w oczy. – Robin zwilżyła wargi koniuszkiem języka. – Nie bardzo jest w czym przebierać. Jak mówi porzekadło: porządny mężczyzna jest na wagę złota. – przerwała i ponownie oblizała wargi. –

Pozwól, że będę z tobą szczerą. Miewałam bardzo udane związki z żonatymi mężczyznami. Na pewno zasługuję na wdzięczność kilku kobiet w Los Angeles, którym uratowałam małżeństwo. Kiedy małżeństwo się rozłączy, dobry romans może stanowić znakomity zastrzyk energii. Jesteś na tyle dobrym ekonomistą, że na pewno sam, prędzej czy później, dojdiesz do podobnego wniosku. Osobiście wołałabym, żeby to nastąpiło prędzej niż później. I żeby twój wybór padł na mnie. Na pewno mielibyśmy mnóstwo frajdy, byłoby to szalenie wygodne i, jako doświadczenie, wzbogacające, zarówno osobiście jak i zawodowo. – Złożywszy swoją ofertę, opuściła głowę na poduszki i spokojnie czekała na ruch ze strony Marca.

– Nie można ci odmówić szczerości – uśmiechnął się. – Możliwe, że gdybym rozglądał się za kimś... ale nie szukam kobiety. Kocham Hannah, chociaż nie wszystko między nami układa się gładko. Być może jestem naiwny, jednak wierzę, że nasz związek wytrzyma bez żadnych... urlopów, przynajmniej z mojej strony. – To zdanie wymknęło mu się mimo woli. – Nie chcę powiedzieć, że o coś takiego podejrzewam Hannah, nic podobnego. Chciałem tylko... chciałem...

Robin uśmiechała się z najgłębszym zrozumieniem.

– Po prostu jestem bardzo zmęczony – skapitulował nagle.

– Połóż się – wymruczała przymilnie, poprawiając wolną poduszkę przy swojej głowie. – A to co? – Wyciągnęła bursztynowy kolczyk oprawiony w złoto. – Coś mi się zdaje, że złożyłam moją ofertę zbyt późno, chyba że to jest własność twojej żony.

– Co masz? – Marc rzucił się do niej przez całą szerokość pokoju. Pochylił się i nagle jego twarz zajaśniała uśmiechem. – Kolczyk Hannah! – wykrzyknął, chwytając Robin za nadgarstek i przysuwając jej rękę do oczu. – Bogu dzięki! Musiała tu być zeszłej nocy! Przyjechała już po moim telefonie do domu. – Nieprzytomny z radości i ulgi porwał dziewczynę w objęcia i uściśkał z całej siły. – Hannah nocowała u mnie wczoraj. Spała w moim łóżku. Czy nie uważasz, że to cudowne? Wcale nie wzięła sobie żadnego „urlopu”. Wiedziałem. Cały czas wiedziałem! Jak mogłem jej nie ufać chociaż przez ułamek sekundy? Od dziś będę jej wierzył bez wahania.

Był tak nieprzytomny z radości, że dopiero Robin zwróciła jego uwagę na kobietą postać stojącą w otwartych drzwiach sypialni.

– Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie co do czego, Hannah okaże ci tyle samo zaufania – zauważyła cierpko, uwalniając się z objęć Marca.

Sądząc z kamiennej twarzy żony, Marc nie za bardzo mógł na to liczyć.

ROZDZIAŁ 7

Mieszkanie Hannah

– Naprawdę byłeś u mnie przez całą noc?
– Caluteńką, bezsenną noc.
– I naprawdę myślałeś, że śpię z jakimś facetem?
– Cóż za idiota ze mnie – uśmiechnął się pełen skruchy.
– Na pewno nic cię nie łączy z Robin Corbett?
– Przecież ci już mówiłem. Gdyby twój kolczyk podał mi Arnold Schwarzenegger, też bym go uściskał z radości.
– Ale robiła ci niedwuznaczne propozycje? – Na czole Hannah zarysowała się pionowa zmarszczka.
– Powiedzmy szczerze, że te propozycje mało mnie zainteresowały. – Uśmiechnął się szeroko. – Równie dobrze mogłaby mi proponować przystąpienie do spółki handlowej.

Hannah zawahała się przez chwilę, po czym jednak zarzuciła mężowi ręce na szyję.

– Mieć jedyną szansę od ponad tygodnia, żeby spędzić razem noc i tak haniebnie ją zaprzepaścić! W dodatku jeszcze te obustronne podejrzenia! To rzeczywiście idiotyzm.

Pogładził ją po plecach.

– Możemy to sobie wynagrodzić dzisiaj – szepnął Hannah do ucha.

– Niestety – westchnęła – obiecałam Briskinowi, że dzisiaj w nocy przerzucę w biurze całą stertę rozmaitych projektów. Miałam zostać po godzinach, ale dręczyły mnie tak koszmarnie wizje, w jaki sposób spędziłeś wczorajszą noc... a potem przypominałam sobie, że spotykacie się we dwójkę z Robin w twoim mieszkaniu... powiedziałam Briskinowi, że muszę wyjść w ważnej sprawie osobistej i wrócę do biura po obiedzie.

– Przepracowujesz się.

– Wiem. – Uśmiechnęła się z goryczą. – Briskin straszliwie się mnie czepia, od kiedy wyszłam za mąż. Uważa, że każda kobieta wychodząc za mąż traci ambicję i motywację. Stale poddaje mnie różnym próbom, żeby sprawdzić, czy jego teoria w moim przypadku też się potwierdzi.

– On cię najwyraźniej nie zna. – Marc przytulił ją mocno.

– Czasami sama powątpiewam, czy rzeczywiście można połączyć jedno z drugim – wyznała cicho, opierając mu głowę na ramieniu.

– Wiesz, co by nam dobrze zrobiło? – Wziął ją pod brodę i zajrzał głęboko w oczy. – Wyjazd z Nowego Jorku. Moi starzy ciągle suszą mi głowę, żebym cię wreszcie przywiózł do nich. Kilka cichych, spokojnych dni w Minnesocie – trudno o lepszy wypoczynek. Możemy spać do południa...

– Spać razem...

– Chodzić na długie spacery...

– Robić długie sjesty...

– Jeść porządną, domową pieczeń wołową...

– Pieczeń wołową?!

– I szarlotkę prosto z piekarnika.

– Mniam. – Obliznęła się z uśmiechem. – To rzeczywiście brzmi zachęcająco. No i oczywiście chciałabym poznać twoją rodzinę.

– Na pewno na początku będą robić wokół ciebie strasznie dużo szumu.

Zesztywniała nagle.

– Troszkę się boję tego spotkania. Oni są tacy... konserwatywni. Boję się, że mogą pomyśleć o mnie...

– Rozmawialiśmy już o tym sto razy. Z pewnością będą tobą zachwyceni. Widzisz, nie zawahałem się przed słowem: „zachwyceni”. Proszę cię, zgódź się. Obojgu nam to dobrze zrobi.

– Trudno nam będzie się wyrwać – stwierdziła z namysłem. – Oboje jesteśmy tak zalatani, że ledwie trafiamy palcem we własne oko. Briskin moją prośbę o urlop z pewnością uzna za potwierdzenie swojej teorii.

– Niech się wypcha ze swoimi teoriami.

– A Ryder? Jak na to zareaguje?

– On też się może wypchać – oznajmił Marc pogodnie. – Żadne z nas przez dwa lata nie wzięło zwolnienia ani z powodów rodzinnych, ani zdrowotnych. No więc pora uznać, że jesteśmy chorzy, bo nie mamy czasu

dla naszej rodziny. Co ty na to?

Pogładziła go po policzku. W swoim zaciętrzewieniu wyglądał jak mały chłopiec. To prawda, że obawiała się spotkania z jego rodziną. Jednak pokusa, żeby spędzić kilka dni w ciszy i spokoju, z dala od natłoku miejskich spraw, była tak nęcąca...

– Zgoda – oznajmiła z uśmiechem.

– Kocham cię. – Porwał ją w objęcia i zaczął zachłannie całować.

– Zapomnijmy, że wczorajsza noc w ogóle miała miejsce. Nigdy więcej nie będziemy się podejrzewać o niewierność.

– Będziemy bardziej wyrozumiali, będziemy sobie szli na rękę, podtrzymywali się na duchu.

– Nie upuścimy więcej piłeczki. Nadal będziemy żonglować i doskonalić się w tej sztuce.

– Chyba przeszliśmy przez ten koszmarny okres adaptacji, o którym trąbi się na prawo i lewo – stwierdziła, wyciągając mu koszulę ze spodni i podniecająco przebierając palcami po plecach. – Przed nami droga prosta jak strzelił.

– Czy naprawdę musisz wracać jeszcze do biura? – Zajrzał jej błagalnie w oczy.

– Muszę... – Zarumieniła się. – Na szczęście powiedziałam Brisकिनowi, że przyjdę dopiero po lunchu. Co byś powiedział na wspólny obiad? Na przykład w łóżku?

– Bardzo chętnie. – Wzrok mu się rozjaśnił. – Uważam, że to świetny pomysł. Na co miałabyś ochotę?

– Zaraz ci pokażę – odpowiedziała ze znaczącym uśmiechem.

– Pyszne! Nie przestawaj, mmmm... jak cudownie – zachęcał, kiedy wargi Hannah wędrowały po wewnętrznej stronie jego uda.

– Jesteś taki smakowity. Szkoda, że nie możemy tak biesiadować co noc – wyszeptwała, wczolgując się na niego, tak że ich twarze znalazły się naprzeciw siebie.

– Wielka szkoda – potaknął, gładząc ją po pośladku. Przycisnęła się do niego mocniej i z promiennym uśmiechem zaczęła całować. Wydawała się nienasycona.

– Mogłabym się z tobą tak kochać przez całą noc – westchnęła, odsuwając się wreszcie. Ciało jej lśniło od potu.

– Jeszcze nigdy nie zostałem oskarżony o to, że jestem facetem typu: trzask, prask a potem: pa, pa. – Wtulił twarz między jej piersi.

– Ani też mężczyzną mało inteligentnym, o przykrym usposobieniu, mężczyzną, który nie chce się wiązać – uzupełniła ze śmiechem. Opowiadała

Marcowi o klasyfikacji mężczyzn, jakiej dokonały w gronie przyjaciółek. – Prawdę mówiąc, jesteś fantastyczny. Nie wiem, za co spotkało mnie takie szczęście.

– To mnie spotkało wielkie szczęście.

– Ale mnie spotkało jeszcze większe szczęście.

– A właśnie, że nie. To mnie spotkało największe szczęście – zaniósł się śmiechem.

– Co to, to nie. Popytaj tylko moich przyjaciółek. Mężczyzna, który chce prowadzić wspólne życie z kobietą, trwale się z nią związać, to rzadki okaz. W przeciwnym wypadku psychologowie nie wypisywaliby całych tomów poradników dla kobiet, jak zdobyć i zachować mężczyznę przy sobie.

– Zdaje mi się, że twoja przyjaciółka Pam nie przegapiła ani jednego, a jakoś nie mogę powiedzieć, żeby jej specjalnie pomogły – zauważył.

– Co tylko potwierdza moją teorię, że porządnych mężczyzn szukać ze świecą. Punkt dla mnie. Sam widzisz, że mam większe szczęście.

– Naprawdę jesteś ostrą zawodniczką – posłał jej łobuzerski uśmiech. – Tym razem jednak daruję ci, że się ze mną ścigasz.

– Dzięki za pańską szlachetność, panie Welles.

Znowu zaczął ją pieścić.

– Marc, przestań! Naprawdę muszę wziąć prysznic i wracać do biura.

– Kiedy – wymruczał, całując ją w czubek nosa, a potem, kolejno, w obie powieki – nie dostałaś jeszcze deseru.

– Marc, naprawdę nie mogę... mniamm... ależ to nieprzyzwoite... może rzeczywiście przekąsiłabym jeszcze coś słodkiego...

Mondays, restauracja przy Zachodniej Sześćdziesiątej Ósmej

Hannah wyjęła z kryształowego pucharka lnianą chusteczkę w kolorze jasnolila i rozpostarła na kolanach.

– Co zamawiamy? – zwróciła się do koleżanek.

– Wieczeń połową – zażartowała Diane.

– Bardzo śmieszne – nadała się Hannah.

– Daj jej spokój – ujęła się za nią Pam. – Nie widzisz, że ta kobieta ma nerwy w strzępach?

– Nic dziwnego – zawyrokowała Laura – jutro wyjeżdża do Minnesoty. Sama pamiętam moje pierwsze spotkanie z teściami. To był koszmar. Matka Dona patrzyła na mnie jak na jakąś wyuzdaną lafiryndę, która ukradła jej słodkiego, niewinnego chłopczyka. Ojciec... no cóż, ojciec, kiedy nikt nie patrzył, uszczypnął mnie w pośladek. Kiedy powiedziałam o tym Donowi, oświadczył, że to moja chora wyobraźnia. Ja mu na to, że to chyba jego tatuś

ma niezdrową wyobraźnię...

– Przystań – odezwała się błagalnym tonem Hannah – nie mogę tego słuchać. Umrę chyba, jeśli ojciec Marca zacznie mnie podszczypywać.

– Podszczypywanie to jeszcze pół biedy – ciągnęła Laura dramatycznym tonem. Koleżanki słuchały z rozchylonymi ustami, oczekując pikantnych szczegółów. – Najgorsze było to, że teściowa zabroniła nam sypiać razem.

– Wam – to znaczy tobie i Donowi? – spytała Diane niewinnym głosem.

– Oczywiście, że mnie i Donowi – rozeźliła się Laura.

– Takie rzeczy zdarzają się dosyć często – zaczęła Pam. – Niedawno czytałam...

– O co właściwie chodziło matce Dona? – Hannah nie mogła się powstrzymać od pytania. – Przecież byliście już po ślubie.

– W jej oczach – nie. Mieliśmy ślub cywilny, tak jak ty z Markiem. Matka Dona oświadczyła, że nawet jeśli nasze małżeństwo istnieje w świetle prawa, w jej oczach i w oczach Boga jest nieważne.

– Jestem pewna, że matka Marca nic takiego nie wymyśli. – Hannah bezskutecznie siliła się na optymizm. – Sama nie wiem, czy będę miała ochotę sypiać z Markiem w domu jego rodziców. To może być trochę krępujące.

– Byłabyś głupia, gdybyś spała oddzielnie z tego powodu – stwierdziła Pam. – Oboje stale siedzicie po uszy w robocie, nie macie nawet wspólnego mieszkania, przecież wy się prawie nie widujecie...

– Proszę cię, Pam – zganiła ją łagodnie Laura – w miejscu publicznym nie omawia się tak intymnych spraw.

– Kiedy Pam ma rację – westchnęła Hannah. – Wczoraj moja lekarka spytała, czy prowadzę aktywne życie seksualne. Musiałam jej odpowiedzieć, że mogę jedynie o tym marzyć.

– Mój lekarz, strasznie sztywny facet, też się kiedyś o to spytał – podchwyciła Diane z łobuzerskim błyskiem w oku. – Mówi do mnie tym swoim skrzypiącym głosem: „Czy prowadzi pani aktywne życie seksualne?”, a ja na to spuszczam niewinnie oczy i odpowiadam: „Ależ skąd, panie doktorze. Leżę tylko i prawie się nie ruszam”. Biedak zrobił się purpurowy.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem i Hannah poczuła się trochę raźniej.

– Nie mogę się już doczekać wyjazdu do Minnesoty. Marc opowiadał mi, że jego rodzina jest bardzo ciepła i serdeczna i jestem pewna, iż wszystko między nami ułoży się jak najlepiej – zwróciła się do koleżanek, kiedy kelnerka zebrała od nich zamówienia.

– Będziesz miała co do tego całkowitą pewność – zadrwiła Laura – jeśli matka Marca nie każe mu po przyjeździe zanieść walizki do jego dawnej sypialni z pojedynczym łóżkiem.

Przyjazd do Minnesoty

– Jestem bardzo zdenerwowana. – Hannah chwyciła Marca za rękę. Samolot podchodził do lądowania. – Czy myślisz, że wszyscy wyszli po nas na lotnisko?

– Nie, nie sędzę. Pewnie tylko tata z mamą. Reszta raczej będzie witać nas w domu. – Delikatnie uwolnił przegub ręki z uścisku Hannah. Natychmiast kurczowo chwyciła go za rękaw kurtki.

– Jak ja mam się do nich zwracać? Przecież nie będę mówić: mamu i tato.

– Niby czemu nie? Będą zachwyceni – próbował ją uspokoić.

– Czy myślisz, że stewardesa jeszcze zdąży przynieść mi drinka?

– Hannah...

– Już dobrze, dobrze, rozmyślałam się. Co by sobie mama z tatą pomyśleli, gdyby już w południe zalatywało ode mnie alkoholem?

– Kochanie, zapominasz ciągle, że moi rodzice są bardzo serdeczni, otwarci i kochający. Na pewno chwycą cię w objęcia i zanim się obejrzyysz, poczujesz się członkiem naszej rodziny – oznajmił, przytulając ją i całując w policzek.

– Może powinnam mówić do nich per: ojczy i matko? – nie ustawała Hannah. – Albo... mamusiu i tatusiu? Czy może lepiej: Jan i Bob?

– Jak ci będzie wygodniej – uspokajał ją.

– To świetnie. Chyba rzeczywiście Jan i Bob będzie najlepiej – zdecydowała. – Jan i Bob – zaczęła tytułem próby. – Cieszę się, że wreszcie mogę was poznać. Marc tyle mi o was opowiadał! – Kątem oka zerknęła na męża, czy aprobejuje jej wysiłki.

– Nieźle – uśmiechnął się. – Może być – dodał z wahaniem.

– O co chodzi? Co ci się nie podoba? – Znowu nerwowo mięła rękaw jego kurtki.

– Nie tyle, że nie podoba, ile...

– No, powiedz, o co ci chodzi.

– Widzisz, jedziesz zobaczyć się ze swoją nową rodziną, a nie na oficjalne spotkanie, gdzie tekst przemówienia musisz mieć wykuty na pamięć. Sędzę, że byłoby lepiej, gdybyś po prostu, kiedy ich spotkasz, robiła i mówiła dokładnie to, co ci przyjdzie na myśl.

– No dobrze, ale jeżeli... nic mi nie przyjdzie do głowy? Poczuję przeraźliwą pustkę?

– Nie wierzę, żeby w twojej głowie kiedykolwiek miała zagościć pustka – pocałował ją delikatnie w usta.

Hannah przymknęła oczy.

– O, popatrz, są. – Marc uściśnął dłoń Hannah i pomachał wesoło ręką. Wchodzili do hali dworca lotniczego.

– Gdzie są? Którzy to są?

– Wpatrzyli nas. Też nam machają.

– Aha, widzę ich. – Podniosła tekę do góry. – Wyglądają... wyglądają bardzo przyjemnie. Chyba jesteś podobny do taty, a twoja mama sprawia sympatyczne wrażenie.

– Mówiłem ci przecież, że moi stany nie gryzą – rzucił, przyspieszając kroku.

Marc pędził tak, że z trudem za nim nadążała. Wtem Hannah zaświtał w głowie świetny pomysł. Podejdzie pierwsza do Jan i Boba i uściska oboje zamiast czekać, aż oni pierwsi wykonają gest w jej stronę. W ten sposób udowodni im, że jest ciepłą, serdeczną kobietą, wymarzoną żoną dla ich syna. Wyrzuciła Marca, machając energicznie w stronę drobnej, siwowłosej kobiety i wysokiego, barczystego mężczyzny z brzuszkiem. Wyglądali dokładnie tak, jak ich sobie wyobrażała – pogodni, życzliwi, bezpretensjonalni, porządni ludzie, którzy przez całe życie ciężko pracowali. Patrzyli w jej stronę z radością i wyczekiwaniem, entuzjastycznie machając rękami na przywitanie. Wszystko będzie dobrze, pomyślała z ulgą.

– Mamo, tato, cieszę się, że was wreszcie widzę! – wykrzyknęła, rzucając się państwu Welles w objęcia. Zareagowali dziwnie powściągliwie, co jednak przypisała oszołomieniu niespodziewaną wylewnością synowej. Nic sobie z tego nie robiła. Objęła swoją nową mamę i posłała szeroki uśmiech w stronę Marca. – Jak mama znajduje swojego syna?

Kobieta wymamrotała coś pod nosem, a Marc zrobił się czerwony jak burak. Hannah zaniepokoiła się. Przecież to on namawiał ją do spontaniczności, kazał robić to, co akurat przyjdzie jej do głowy. Dlaczego teraz wygląda na zaskoczonego? A jego rodzice patrzą na nią, jakby była wariatką. Dlaczego gromadzi się wokół nich grupka gapiów?

– Widzisz, kochanie – Marc poczerwieniał jeszcze bardziej – wydaje mi się, że się... to zresztą zupełnie naturalne... pomyliłaś.

– Też mi się tak wydaje – zachichotała stojąca koło Marca młoda kobieta z walizką.

– Jak to: pomyliłam? – wybąkała Hannah z niedowierzaniem.

– Bo widzisz... to są moi rodzice. – Wskazał ręką w stronę szczupłej pary w średnim wieku, która z lekkim zażenowaniem od pewnego czasu obserwowała całą scenę.

– Ale... przecież... – Hannah w dalszym ciągu obejmowała swoją nową mamę, tylko że ta mama wcale nie była mamą, a już w żadnym wypadku mamą Hannah. – Przecież pani do mnie machała – straszliwie zmieszana zaczęła tłumaczyć się osłupiałej siwowłosej pani.

– Nic podobnego... to znaczy... machałam do mojej córki. – Starsza pani wskazała młodą kobietę stojącą obok Marca. – Moja córka stała tuż za panią.

– Rozumiem – wymamrotała Hannah, w tym momencie dopiero dostrzegając, że w dalszym ciągu trzyma w objęciach obcą kobietę, w oczach której najprawdopodobniej uchodzi za wariatkę. Czym prędzej zwolniła uścisk i cofnęła się o krok. Spojrzała na mężczyznę, którego dotąd brała za ojca Marca. – Właściwie to Marc wcale nie jest do pana podobny.

Młoda kobieta i jej rodzice odeszli, wybuchając gromkim śmiechem. Hannah najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Marc z rodzicami stali lekko speszeni, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć bądź zrobić. Rzekomo uroczy, serdeczni starsi państwo wyglądali jak para ponurych, otepiałych farmerów ze słynnego obrazu „Amerykański gotyk”.

– Chciałbym – odchrząknął wreszcie Marc – żebyś poznała moich rodziców. Mamo, tato – to jest właśnie Hannah. – Uśmiechnął się porozumiewawczo do rodziców. – Prawda, że jest cudowna?

– Pani Welles, panie Welles, miło mi państwa poznać – wydukała, sztywno wyciągając rękę do rodziców męża. Państwo Welles w odpowiedzi posłali jej coś, co w ich mniemaniu było wyrozumiałym uśmiechem, jednak przez Hannah zostało odczytane jako milczące przekonanie, że ich najcudowniejszy synalek ożenił się z pomyloną dziwaczką.

– Pojedziemy – zagadnął przyjaźnie pan Welles.

Marc i Hannah w ślad za starszym państwem skierowali się na parking.

– Od dziś – żadnych improwizacji. Zdaję się wyłącznie na oficjalne prezentacje – szepnęła Marcowi w drodze do domu.

Dom Wellesów

Niepokój i upokorzenie Hannah rosły w miarę, jak zbliżali się do schludnego, piętrowego domostwa z białych kamieni. Milczenie państwa Wellesów w drodze z lotniska na farmę upewniło tylko kobietę, że wyprawa do Minnesoty była jedną wielką pomyłką. Lepiej byłoby, gdyby najpierw nawiązała korespondencję, obejrzała fotografie... Dlaczego nie wpadło jej do głowy poprosić Marca, żeby pokazał jej zdjęcia swoich rodziców?

Drzwi frontowe otworzyły się z impetem i stanęła w nich roześmiana, śliczna młoda kobieta z niemowlęciem pod każdą pachą.

Hannah z bladym uśmiechem zaczęła wspinać się na schodki, bacznie trzymając ręce przy sobie.

– Susie! – wykrzyknął Marc, przeskakując po dwa schodki naraz. – Mamusia bliźniąt nie ma prawa tak ładnie wyglądać!

– Marc, rozpuszczasz mnie jak zawsze – odpowiedziała rozweselona i, nim zdążyli się spostrzec, wręczyła bratu i bratowej po jednym dziecku. – Muszę przyznać, że wam też jest do twarzy z bliźniętami.

Hannah, której doświadczenia z małymi dziećmi były równe zeru, trzymała małe, wierzgające zawiniątko z taką miną, jakby ktoś włożył jej do ręki bombę zegarową mogącą w każdej chwili eksplodować.

– Susie – upomniła ją pani Welles, odbierając niemowlę z rąk Hannah – daj Marcowi i Hannah odetchnąć przez chwilę. Mają za sobą... męczący... przylot.

Hannah oblała się rumieńcem. Marc posłał jej pokrępiający uśmiech.

– Obejrzę go sobie lepiej przy rozpakowywaniu prezentów – zwrócił się do siostry, oddając jej niemowlę.

– To nie nastąpi od razu – uprzedziła go Susie radośnie. – Nie sądzicie chyba, że rodzina Wellesów przepuści taką okazję, jak ślub członka rodziny.

– Ależ pobraliśmy się już prawie trzy miesiące temu – zauważył Marc, biorąc żonę za rękę.

Stali jeszcze w holu, kiedy z salonu wyszli pozostali domownicy i goście ze śmiechem i życzeniami dla młodej pary. Ku przerażeniu Hannah otoczyli ich, obsypując gradem pocałunków, uścisków, przekrzykując się jedni przez drugich i przedstawiając się Hannah. Był mąż Susie, Len, Alicia i Roy z trójką dzieciaków, starszy brat Marca, Gordon, który wyglądał jak jego masywniejsza kopia, kilka ciotek i kilku wujów, kilku kuzynów. Hannah ze zgrozą ujrzała wśród nich pastora. Czyżby rodzice Marca nie uznawali ich ślubu i żądali ślubu kościelnego? Hannah do tej pory przeżywała jeszcze pierwszy ślub i na myśl o następnym wpadała w panikę. W pamięci stanął jej jak żywy tytuł ostatniego rozdziału słynnej książki doktora Rusmana: „Przysięgam. Czy aby?”

Pastor na szczęście był po prostu sąsiadem, zaproszonym do wzięcia udziału w uroczystościach. Gości zaproszono do imponującego zimnego bufetu, po czym wniesiono trzypiętrowy tort domowego wypieku, ozdobiony lukrem i zwieńczony figurkami państwa młodych. Końcowym akcentem było rozpakowanie góry prezentów, piętrzących się na stole w salonie.

Dostali kilka opiekaczy do grzanek, sporo urządzeń kuchennych, rozmaitych mikserów, sokowirówek i tym podobnych. Alicia, siostra Marca, kupiła im komplet ręczników z wyhaftowanymi inicjałami MW i HW. Hannah uznała, że nie jest to najstosowniejsza pora, żeby przyznawać się, że zachowała panięńskie nazwisko, a więc, tym samym, panięńskie inicjały.

Państwo Welles ofiarowali im komplet niezwykle eleganckich srebrnych sztućców, a sama pani Welles wręczyła dodatkowo synowej specjalny upominek.

Hannah w pierwszej chwili myślała, że trzyma w rękę pamiątnik, okazało się jednak, że oprawna w płótno książeczka zawiera zbiór spisanych ręcznie przepisów kuchennych.

– Są tu wszystkie ulubione potrawy Marca – oznajmiła pani Welles,

uśmiechając się z rozczuleniem. – Sądząc po jego wyglądzie, moja droga, przydałoby mu się parę domowych obiadów. – Teściowa sporządziła nawet spis potraw, w którym można było znaleźć wszystko – od zup aż do deserów. Przysiadły obie z Hannah i starsza pani omawiała z nią po kolei wszystkie przysmaki z dzieciństwa syna.

– Niektóre z tych przepisów są troszkę skomplikowane – zaczęła się tłumaczyć pani Welles, kiedy zatrzymały się przy „Mamy przepyszny, soczysty kurczęciu z kluseczkami” – ale z czasem na pewno nabędziesz wprawy.

Hannah daleka była od optymizmu, ponieważ stosunkowo niedawno nabyła wprawę w zagotowywaniu wody. Nie widziała też siebie w roli radosnej żonki, która przy kuchni całymi dniami pichci mężowi jego ulubione dania. Jeśli Marc nabierze ochoty na jakąś potrawę, będzie musiał znaleźć restaurację, w której akurat to danie serwują. W dodatku są spore szanse, że będzie biesiadował samotnie.

Marc puścił do niej oko. Czowała, że myśli to samo co ona, ma jednak na tyle rozsądku, żeby się nie odzywać.

Susie sprezentowała im staroświecką, srebrną ramkę.

– Na zdjęcie ślubne – wyjaśniła. – Każda para powinna sobie oprawić w ramkę swoje ulubione zdjęcie ze ślubu.

– Kiedy my właściwie nie mamy żadnego zdjęcia ze ślubu – wybąkał Marc, unikając wzroku siostry.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła matka. – Ślub się nie liczy, jeżeli nie ma fotografii ślubnej.

– Mam świetny pomysł. – Alicia zerwała się z kanapy. – Roy ma przy sobie aparat, a moja suknia ślubna powinna jeszcze być na górze w cedrowej szafie.

– A tato może przecież pożyczyć czarny smoking, w którym odnawiał przysięgę małżeńską trzy lata temu – donucił Gordon. – Powinien pasować na Marca.

Jan Welles szalenie zapaliła się do tego pomysłu i Hannah nie miała serca pozbawiać jej tej przyjemności. Zdobyła się na heroiczny uśmiech i pozwoliła siostrze męża zaciągnąć się na górę, gdzie zamierzały ją przebrać. A więc jednak nie mogło się obyć bez ponownego ślubu.

– No, Marc, zacznij ją teraz karmić tortem – ponaglała Alicia. – Musicie mieć przecież w albumie zdjęcie z tortem.

– Wydaje mi się, że wołałabyś na zdjęciu nie mieć tego lukru na nosie – zwróciła się Susie do Hannah.

– Zachowujcie się swobodnie – pouczała ich mama Welles.

– Uśmiech! – zawołał Roy i nacisnął migawkę.

– W porządku, teraz będziesz rzucać podwiązką – zakomenderowała Susie.

Hannah posłała Marcowi pytające spojrzenie, w odpowiedzi skinął głową, dodając jej uśmiechem otuchy. Zadarła suknię, niezręcznie odpięła pożyczoną podwiązkę i nuciła przed siebie. Złapał ją w locie najstarszy z synków Alicii i czym prędzej położył sobie na głowie.

– To tak, jakbyśmy już mieli wszystko – oznajmił Roy. Kiedy wujkowie, ciotki i sąsiedzi odjechali do swoich domów, Marc z Hannah z powrotem włożyli swoje codzienne ubrania i zeszli na dół. Okazało się, że panowie w zamkniętym pokoju oglądają w telewizji mecz baseballowy, a panie buszują w prezentach nowożeńców.

– Boże święty – zafrasowała się pani Welles, kiedy weszli do salonu – wszystkiego macie po dwa. Po cóż wam dwa miksery, dwie sokowirówki, dwa opiekacze do grzanek...?

– Na razie – powiedział Marc, nie zastanawiając się zbyt nad tym, co mówi – Hannah może mieć jeden komplet u siebie, a ja drugi w moim mieszkaniu.

– Że co? – pani Welles aż się zachłysnęła. Alicia i Susie popatrzyły na Marca w osłupieniu.

– Szukamy jakiegoś większego mieszkania – zaczęła się tłumaczyć Hannah. – Znaleźć porządne lokum na Manhattanie to jak znaleźć igłę w stogu siana.

– Nie macie własnego domu? – spytała matka Marca, jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Chyba rzeczywiście wasze małżeństwo jest bardzo nowoczesne. – Susie niepewnym głosem próbowała załagodzić sytuację. – Na pewno rzadko się wam... nudzi.

– W ogóle nie wiem, po co siedzicie w tym Nowym Jorku – nachmurzyła się Alicia. – Tu, u nas, Marc miałby bardzo dużo różnych możliwości. Minneapolis to miłe, czyste i bezpieczne miasto, idealne do wychowywania dzieci.

– Oboje uwielbiamy Manhattan. – Głos Hannah zabrzmiał ostrzej, niżby sobie tego życzyła.

– W Nowym Jorku oboje mamy znakomite posady, dające interesujące perspektywy na przyszłość – stwierdził Marc z naciskiem.

– Marc bardzo... popiera moje dążenia zawodowe – wyznała Hannah, splatając spłatając dłonie.

– A dzieci? – nie ustępowała pani Welles.

– Jakie dzieci? – Hannah, zdziwiona, uniosła brwi do góry.

– Przecież chcecie mieć dzieci, prawda? – włączyła się Alicia.

– Uważajcie! – ostrzegła ich żartobliwie Susie. – W naszej rodzinie pojawiły się bliźnięta.

– Kiedy osiągniemy odpowiednią pozycję w naszych zawodach, z pewnością pomyślimy o dziecku. – Mówiąc to, Hannah poczuła, że całkiem zaschło jej w gardle.

– A co zrobicie, jak się urodzi? – indagowała dalej matka Marca.

– Pomyśl, jaką mielibyście wygodę, gdybyście zamieszkali tutaj – wtrąciła Alicia, zanim Hannah zdążyła odpowiedzieć na pytanie teściowej. – Mielibyście trzy doświadczone opiekunki do dzieci – mówię o sobie, Susie i o mamie. Oczywiście, gdybyś chciała po urodzeniu dziecka pracować na pół czy na ćwierć etatu. Wiem, że część kobiet tak robi, chociaż osobiście nie mam pojęcia, jak im się to udaje, zapewne mają takich mężów, co to lubią i potrafią pomóc przy dzieciach i w kuchni. Niestety, Roy nie należy do tego gatunku, a jeśli chodzi o Marca, to muszę cię ostrzec, że nigdy nie posłał łóżka z własnej woli, nie mówiąc już o tym, żeby sam ukroił sobie kromkę chleba.

– Jestem pewna, że jeśli... to znaczy, kiedy... będziemy mieli dziecko, będziemy sprawiedliwie dzielić się obowiązkami związanymi z prowadzeniem domu – oświadczyła Hannah z godnością.

– Oczywiście – poparł ją Marc z nienaturalnym ożywieniem.

– Wiele żon i matek pracuje zawodowo.

– A co te pracujące zawodowo żony i matki robią z dziećmi, kiedy idą do pracy? – dopytywała się żartobliwie starsza pani.

– Na Manhattanie jest całe mnóstwo znakomitych przedszkoli i żłobków – wyjaśniła Hannah, którą Marc poprosił wzrokiem o pomoc.

Zapadła głucha cisza. Sytuację uratowała, jak zwykle, tryskająca humorem Susie.

– Właściwie ta rozmowa nie ma najmniejszego sensu. Przecież oni są dopiero co po ślubie, a każda z nas pamięta, jakie się wtedy ma wyobrażenie o małżeństwie. Nie mamy prawa przedwcześnie pozbawiać ich złudzeń.

– To prawda – zaśmiała się Alicia z goryczą. – Wkrótce przekonają się o wszystkim na własnej skórze.

– Wyglądacie na skonanych. – Susie serdecznie objęła Hannah ramieniem. – Powinniście z Markiem pójść na górę i wyspać się porządnie.

– Faktycznie, musicie być niezłe zmęczeni. – Pani Welles podniosła się z kanapy. – Idźcie spać, dziewczęta pomogą mi posprzątać.

Uśmiech ulgi wykwitł na twarzy Marca. Już od dawna marzył o tym, żeby w jakimś zacisznym miejscu przytulić się do żony. Hannah w pełni podzielała jego marzenia.

– Rozlokujcie się w naszej sypialni! – zawołała za nimi pani Welles.

Hannah stanęła jak wryta. Cały czas zamartwiała się, że teściowie każą im

spać w osobnych pokojach, tymczasem stało się coś jeszcze bardziej krępującego – zażądali, żeby młodzi spali w ich własnym łóżku.

– Nie żartuj, mamó. – Marc wydawał się tym pomysłem równie speszony jak Hannah. – W gościnnym jest rozkładana kanapa.

– Niestety, już jej tam nie ma. Zrobiliśmy przemeblowanie i ten pokój służy mi teraz do szycia.

– No to pójdziemy do mojej dawnej sypialni.

– Zwariowałaś? Będziecie spać na łóżku piętrowym? Nigdy się na to nie zgodzę! – wykrzyknęła pani Welles.

– A gdzie wy będziecie spać w takim razie? – dopytywała się zaniepokojona Hannah.

– Po prostu tutaj, na kanapie.

– Przecież my z Markiem też możemy spać na kanapie w salonie – zapewniła ją pośpiesznie Hannah. – Nie ma powodu, żebyście ruszali się ze swojej sypialni.

– Ależ kochanie, tutaj na dole nie mielibyście chwili spokoju. Oboje z tatą wstawamy bardzo wcześnie, więc nam to w ogóle nie przeszkadza, a was by na pewno męczyło, gdyby wszyscy dreptali wokół waszego łóżka. Kiedy Marc zadzwonił, aby powiedzieć o waszym przyjeździe, wspomniał, że chcecie dobrze odpocząć i porządnie się wyspać. No już, na górę, raz, dwa. I ani mru, mru.

– Marc? Nie śpisz jeszcze?

– Nie.

– Też się tak dziwnie czujesz w łóżku rodziców?

– Co najmniej dziwnie.

– Jak uważasz, czy okres adaptacji mamy już całkiem za sobą?

– Z pewnością nie.

ROZDZIAŁ 8

439 Park Avenue, między Sześćdziesiątą Drugą a Sześćdziesiątą Trzecią

Stali na środku pustego salonu. Wokół nich niespokojnie dreptała Mary Logan.

– No i jak? – pytała niespokojnie córkę i zięcia. – Uważacie, że jest idealne, czy uważacie, że jest idealne?

Hannah obejrzała się na Marca. Marc obejrzał się na Hannah. Każde z nich uniosło brew do góry, po czym jednocześnie spojrzeli na Mary.

– Idealne – odpowiedzieli zgodnym chórem.

Mary Logan z głośnym westchnieniem wypuściła powietrze z płuc. Nie dowierzała własnym uszom. W towarzystwie jednego z nich lub obojga zwiedziła już ze dwadzieścia mieszkań, żadne jednak nie okazało się nawet bliskie ideału. Mary zaczynała się już martwić, że nigdy nie zdecydują się na założenie domu. A to, z pewnością, nie było dobrą wróżbą. Jej zdaniem instytucja małżeństwa nie znosiła na dłuższą metę oddzielenia małżonków.

– Nie żartujecie? Naprawdę się wam podoba? Poważnie macie zamiar je wynająć? – Spojrzała nieufnie na młodych.

– Naprawdę nie żartujemy. Naprawdę się nam podoba. Naprawdę zamierzamy je wynająć. – Hannah serdecznie uściskała matkę.

– Przyznaj się, podejrzewałaś nas o to, że nigdy nie zdecydujemy się

zamieszkać razem – zagadnął Marc teściową.

– Prawdę mówiąc miałam takie obawy – wyznała Mary ze śmiechem. Sięgnęła po swój płaszcz od deszczu. – Zostawiam wam dopełnienie formalności. – Ostatni raz omiotła wzrokiem przestronny salon z przytulną wnątką jadalną i marmurowym kominkiem. – Przyznajcie sami, czy to nie będzie zabawne urządzać takie piękne mieszkanie? Myślę, że nieźle by tutaj pasował styl wiktoriański, ale, oczywiście, zrobicie, jak będziecie uważać.

– No pewnie, że tak – zgodziła się Hannah, patrząc spod oka na Marca.

– Myślałam, że jeśli chodzi o urządzenie wnętrza, to zdam się na ciebie – spłoszył się nagle.

– Jak to sobie wyobrazasz? Sama wybiorę meble do sześciorokowego mieszkania? – nastroszyła się.

– No, na razie moglibyśmy przewieźć meble z naszych dotychczasowych mieszkań – zaproponował. – Jedno z nas mogłoby zająć większą sypialnię i mieć tam łóżko i biurko do pracy. Drugie mogłoby urządzić w mniejszych pokoikach osobną sypialnię i gabinet.

Mary Logan, która miała właśnie wychodzić, stanęła w progu jak wryta.

– Wiem, że jestem szalenie staromodna, ale wydawało mi się, że nawet najbardziej nowoczesne pary mają wspólną sypialnię – zwróciła się do młodych, potrząsając z niedowierzaniem głową.

– Oczywiście – uspokoiła ją z uśmiechem Hannah – przystosujemy największy z pokoi sypialnych do wspólnego spania, ale oboje z Markiem potrzebujemy pewnych obszarów prywatności. Każde z nas pracuje w innych godzinach. Marc lubi położyć się wcześniej, żeby sięść do roboty o świcie...

– A Hannah nabiera drugiego oddechu o północy, kiedy ja już zwykle zasypiam.

– To fakt, najlepiej pracuje mi się o pierwszej, drugiej w nocy – zaczęła się tłumaczyć Hannah.

– Chyba jestem staroświecka – westchnęła Mary – ale wydaje mi się, że nic tak nie cementuje małżeństwa, jak wspólne łóżko.

– Nie chciałabym być nieuprzejma – zauważyła spokojnie Hannah – ale stosowanie tej zasady wcale nie uratowało twojego małżeństwa.

– Ani innych sześciu na dziesięć w naszym kraju – dodał Marc. – Oboje z Hannah jesteśmy zdania, że po ślubie wszystko zaczyna się psuć, dlatego że partnerzy zaczynają się czuć zobowiązani do rezygnacji ze swobodnego, sensownego życia, jakie prowadzili przedtem, na rzecz chybionej idei dostosowania się do współmałżonka. Te wysiłki naturalnie z góry są skazane na niepowodzenie, a stąd już tylko krok do rozczarowania.

– Właśnie – pośpieszyła mu w sukurs Hannah. – Stale słyszy się o tym. Żona narzeka, że mąż zawsze spóźnia się na obiad...

– A mąż narzeka, że żona nigdy nie jest gotowa na czas z obiadem...

– Albo żona wścieka się, że mąż nie pomaga w domu, więcej czasu spędza z kolegami z pracy niż w jej towarzystwie, zupełnie przestał być romantyczny, albo...

– Albo ona – czym prędzej podchwycił piłeczkę Marc, – jest zbyt niezależna i on nie czuje się wcale potrzebny, albo jest zbyt agresywna, albo nie dość opiekuńcza...

– Widzisz, mamó – Hannah podeszła do matki i objęła ją – nie chcemy z Markiem popełniać powszechnych błędów. Chcemy, żeby nasze małżeństwo zdało egzamin.

– Tak – potwierdził Marc – bardzo zależy nam na tym, żeby nasz związek przetrwał.

– Mamy wszystko obmyślane – ciągnęła Hannah – i jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, powinno się nam powieść.

– Tak – kiwnął z zapalem głową Marc. – Musi się nam powieść.

– Dobrze, już dobrze, poddaję się. – Mary Logan uniosła ręce do góry. – Może rzeczywiście macie rację. Bóg mi świadkiem, że takie rzeczy nie sprawdzały się w moim pokoleniu, ale jeśli służą naszym dzieciom, to mogę tylko jedno powiedzieć... – przerwała na moment i obrzuciła młodych współczującym spojrzeniem – mogę tylko powiedzieć, że małżeństwo stało się instytucją całkowicie pozbawioną polotu. Osobiście wolałabym raczej narazić się na pomyłkę, ale za to przeżyć trochę podniecenia, niespodzianek, namiętności...

Po wyjściu Mary w pustym mieszkaniu zrobiło się jakoś nieprzytulnie i ponuro. Obydwoje chodzili od pokoju do pokoju, naradzając się nad przyszłym rozkładem biurka, komputerów, telefaksów, łóżek i szaf z materiałami biurowymi. Kiedy znaleźli się w pokoju, który miał być ich wspólną sypialnią, Hannah zwróciła się do Marca z niespokojnym pytaniem.

– Czy uważasz, że w naszym małżeństwie brakuje zabaw, namiętności i niespodzianek? – Z przerażeniem spostrzegła, że mężczyzna zwleka z odpowiedzią.

– Uważam, że... no... nie możemy narzekać... po prostu, to wymaga odrobiny żonglerki... – wymamrotał niepewnie. Hannah poczuła, że od słowa „żonglerka” chwytają ją mdłości.

– Czy uwalasz, że nasze małżeństwo jest pozbawione... polotu?

– A ty tak sądzisz? – zapytał, zaciskając gniewnie szczęki.

– Przecież wiedzieliśmy, że to nie będzie łatwe. – Poczuła, że lzy cisną się jej do oczu. – Ale skoro już... mamy własne mieszkanie... – Przelknęła z trudem i rozpaczliwie uczepiła się jego rękawa. – Chodź, pokochoamy się. Pamiętaj, jak kochaliśmy się w tym pustym mieszkaniu? Założę się, że mama nigdy nie przeżyła tak podniecającego popołudnia z tatą... na pewno nigdy nie bawili się tak doskonale, jak my wtedy. – Zaczęła ściągać mu

marynarę, zapominając jednak o guzikach.

– Hannah, wiesz, że nie mogę. Nie teraz – bronił się słabo. – Kwadrans po drugiej jestem umówiony w New Jersey, a ty masz przecież zaraz zebranie zarządu.

– Marc, Marc! – Usiłowała zdjąć mu krawat.

– Hannah, daj spokój. Wiesz, że jak nie pójdziesz na zebranie, będziesz tego potem żałować. Zwłaszcza teraz, kiedy za wszelką cenę chcesz przekonać Briskina, że powinien dać ci awans.

– Masz rację. – Z westchnieniem puściła krawat.

Jej poddanie się wymogom zdrowego rozsądku paradoksalnie rozbudziło w nim nagłe lekceważenie dla zebrań, spotkań, awansów i tym podobnych. Jego dłonie same zaczęły gładzić Hannah po plecach.

– Właściwie to strasznie dawno nie kochaliśmy się. Czasem ta cała obowiązkowość bardzo daje mi się we znaki. – Ujął jej pośladki i mocniej przycisnął ją do siebie.

– Nie, Marc – zaprotestowała podejrzanie słabo – musimy być rozsądni... odpowiedzialni... patrzeć trzeźwo – spojrzała mu w twarz zamglonymi oczami – prawda?

– Chyba... chyba tak – wymamrotał w odpowiedzi, ale jego oczy mówiły: Do diabła z poczuciem obowiązku.

– Bardzo cię pragnę, Marc. Mam ochotę pójść z tobą na całość, pokazać całemu światu... – zapewniała go gorąco, osuwając się na kolana. Z zapalą zaczęła rozpinąć mu spodnie.

– Zrób to... zrób... moja dzika, nieposkromiona wiedźmo... – Musiał chwycić się jej ramion, żeby nie stracić równowagi.

W pierwszej chwili uznała dźwięk dzwonka za legendarne dzwonienie, które podobno słyszą zakochani, zanim bezpowrotnie zanurzą się w otchłani miłości.

– Hannah...?

– Mhmmm...

– Czy to może być... telefon?

– Przecież jeszcze nie mamy... telefonu, kochanie.

– Dałbym... głowę, że to... telefon – wyszeptał zdyszany.

– Rany boskie, przecież to mój telefon komórkowy! Sama go włożyłam do teczki. – Gwałtownie poderwała się z kłęczek. – Chyba... chyba powinienam go odebrać. Wiesz, że mam brać udział w tym projekcie...

– Dobrze, już dobrze.

– Nie idź nigdzie – wyszeptwała. – Zaraz wracam. Wiesz, że jak raz się do czegoś wezmę, to lubię to doprowadzić do końca. – Puściła oko do Marca i wyszła z pokoju.

W dziesięć minut później zdecydował się zajrzeć do salonu. Hannah

siedziała po turecku na podłodze, z ożywieniem rozmawiając przez telefon.

– Wiem, że Rollins chciałby w pierwszym rzucie zabrać się za centrum Denver, ale, jak już mówiłam, będzie to wymagało sporych modyfikacji sieci komunikacyjnej. Musimy wypracować skuteczniejsze rozwiązanie, zanim – spojrzała przeprasząco na Marca i rozłożyła bezradnie ręce – zanim Rollins doprowadzi do powstania korków.

Uśmiechnął się smutno, lecz wyrozumiale. Wyprostował krawat, przyglądził włosy i ubranie, podniósł z podłogi swoją teczkę i pomachał jej na pożegnanie.

– Wiem, wiem, ale... – Pomachała też ze smutną miną i nie przerywając rozmowy, patrzyła, jak wychodzi z mieszkania. Dźwięk zatrzaskiwanych drzwi wywołał w niej poczucie dojmującego żalu. – Czy naprawdę uważa pan, że powinnam polecieć na dwa tygodnie do Denver, żeby popatrzeć mu na ręce? Uważa pan, że tak. No dobrze, jutro w takim razie. – Zamrugła oczami, żeby powstrzymać łzy. – Tak, tak, znam pański punkt widzenia na tę sprawę. Nie, nie musi pan wysyłać nikogo innego, mogą lecieć. – Łzy lały się po jej twarzy szeroką strugą. – Nie, dobrze się czuję. Jestem tylko... lekko... przeziębiona. Nic... poważnego. Na pewno... wyjdę z tego.

– Hannah, rozluźnij się, na litość boską. Od kiedy wróciłaś z Denver, jesteś potwornie spięta. Gotowanie według przepisu nie jest niczym strasznym – Pam uspokajała przyjaciółkę, która męczyła się nad „roladą mięsno-ziemniaczaną” według mamy Welles.

– Nigdy jeszcze nie gotowałam dla Marca, w każdym razie nie przyrządzałam mu prawdziwego posiłku. – Ze ściągniętymi brwiami usiłowała zrozumieć, co czyta. – Przejrzałam wszystkie przepisy w książce ulubionych potraw Marca, którą dostałam od jego mamusi, i ten wydał mi się stosunkowo najmniej skomplikowany. – Spojrzała nieprzytomnie na Pam. – Masz na przykład pojęcie, co to jest zasmażka?

– Lepiej się mnie nie pytaj – wrzuciła ramionami przyjaciółka. – Ja przypalałam nawet wodę.

– Nie mogę, Pam, naprawdę nie mogę. – Hannah z trzaskiem zamknęła książeczkę z przepisami.

– Powiedz mężowi, że myślałaś o ugotowaniu czegoś specjalnie dla niego. W końcu dobre intencje są najważniejsze. Zresztą, Marc chyba nigdy się nie spodziewał, że będziesz dla niego gotowała.

– Właśnie dlatego tak bardzo chciałam to zrobić. Chciałam raz zrobić coś innego, zaskakującego. Było mi strasznie głupio, że musiałam wyjechać na dwa tygodnie do Denver, właśnie wtedy, kiedy przewożono nam meble. Marc musiał wszystkiego dopilnować, wszystko sam pozałatwiać. Nie usłyszałam

od niego nawet słowa skargi. Miałam zamiar zrobić coś, co by dowiodło, jak bardzo doceniam jego wysiłki.

– Masz naprawdę wielkie szczęście. Marc jest nieprawdopodobnie wyrozumiały i skłonny iść ci na rękę.

– Wiem o tym.

– Oczywiście odpłacasz mu tym samym.

– Staram się, jak mogę.

– I rzeczywiście, jakoś wam leci – uśmiechnęła się Pam. – Może doktor Rusman nie jest taki mądry, jak mi się wydawało. Może powinniście napisać książkę o tym, jakie udane może być małżeństwo, w którym żadne z partnerów nie zrezygnowało z kariery.

– Masz rację. Książkę zatytułowałabym: „Małżeństwo dwóch osób robiących karierę: Podręcznik równoległego parkowania”. Skrobniemy coś takiego w wolnej chwili.

– Muszę przyznać – powiedziała Pam, patrząc w zamyśleniu na Hannah – że przez jakiś czas martwił się wszyscy o was. Jakoś nie mogliśmy uwierzyć, że uda się wam funkcjonować w układzie przypominającym spółkę handlową. Byliśmy pewni, że wasz związek się rozleci.

– No, nie powiem, żeby wszystko szło jak po maśle – stwierdziła Hannah z drżącym uśmiechem. – W końcu, nawet najlepiej obmyślane plany w zetknięciu z rzeczywistością ujawniają braki.

– Braki? – Pam uniosła brwi w zaskoczeniu. – Jakie braki? Mówiłaś mi przecież, że nigdy się nie kłócicie, nie ma między wami żadnych poważniejszych konfliktów, że jesteście oboje szalenie wyrozumiali i w każdej sytuacji idziecie sobie na rękę. Czy może być lepiej?

– Chyba... chyba masz rację – wybąkała Hannah, z zaciętością studiując zbiór przepisów mamy Welles. – Czy to możliwe, żeby rolada mięsno-ziemniaczana przekraczała zdolności kobiety z wyższym wykształceniem?

– Albo kobiety, która właśnie awansowała na stanowisko głównego koordynatora projektu zagospodarowania centrum Denver? – poparła ją przyjaciółka.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że Briskin się na to zdobędzie. – Twarz Hannah rozjaśniła się na wspomnienie awansu. – Chyba rzeczywiście robota, którą odwaliałam w Denver, zrobiła na nim jakieś wrażenie.

– Denver to już była tylko pianka na torcie. Dowiodłaś swoich możliwości wiele razy. Dokonałaś niemożliwego – przekonałaś Briskina, że małżeństwo nie jest przeszkodą w pracy zawodowej.

– Tak, przekonałam go – potaknęła Hannah cierpko, starając się skupić wzrok na przepisie, jednak litery dziwnie rozmywały się przed jej oczami. Znowu przeżywała atak litości dla samej siebie, który dopadał ją ostatnio w najbardziej nieoczekiwanych sytuacjach. W pokoju hotelowym w Denver

kilka razy zasnęła z twarzą mokrą od łez. To nie było podobne do niej. Próbowwała się przekonywać, że przyczyną jej stanu jest przepracowanie, a sprawy małżeńskie nie mają z tym nic wspólnego. Na pierwszy rzut oka rzeczywiście tak wyglądało. Tak jak sugerowała Pam, byli idealnym małżeństwem. Skąd więc te ataki płaczu? Skoro ich plany zupełnie gładko wcielały się w życie, dlaczego była ostatnio w tak kiepskim nastroju?

– Muszę wreszcie rozgryźć ten przepis – oznajmiła tak dramatycznie, że Pam wybuchnęła śmiechem.

– Wiem, że ile razy się na coś zaveźmiesz, zawsze dopniesz swego – powiedziała i sięgnęła po żakiet.

– Dokąd idziesz? – W głosie Hannah pojawiła się nuta paniki.

– Do domu. Nie uwierzysz, ale mam dzisiaj randkę.

– Czy nie mogłabyś zostać, dopóki przynajmniej nie wymieszam tego wszystkiego? Bardzo mi trzeba wsparcia moralnego.

– Dostaję wysypki, jak tylko chwilę dłużej posiedzę w kuchni – oznajmiła Pam, dopinając żakiet. – Podrywanie mężczyzn nigdy nie przychodzi mi łatwo, a z wysypką na twarzy moje szanse są jeszcze mniejsze.

– Idź już, idź – westchnęła z rezygnacją Hannah. – Proszę cię bardzo, opuść mnie w biedzie.

– Jeśli to będzie jadalne, przynieś mi resztki jutro na lunch – rzuciła Pam na odchodnym.

– O nie, moja droga. Kto nie sieje, nie zbiera! – krzyknęła za przyjaciółką Hannah, samotnie zabierając się do roboty.

Pół godziny później, kiedy cała kuchnia, nie wyłączając Hannah, była już oblepiona grudkami puree z ziemniaków, zadzwonił telefon.

– To ty, mamó? Bogu dzięki!

– Hannah, co się z tobą dzieje? Źle się czujesz? Mówisz jakimś strasznym głosem.

– Wszystko przez tego robota kuchennego. Mam wrażenie, że to jakiś przybysz z obcej planety, przebrany za urządzenie domowe.

– Robot kuchenny? A cóż ty możesz zrobić robotem kuchennym.

– Głupie pytanie. Robotem kuchennym wykonuje się roboty kuchenne. W moim przypadku – ucieranie ziemniaków. Ale każdy ziemniak, który wrzuce do tej piekielnej maszyny, wylatuje w postaci dwóch.

– Niemożliwe! Chyba te zapomnieliś o dociskaczu.

– Jakim znowu... dociskaczu?

– Pasuje do otworu w pokrywie. Nie sądziłam, że uzdolniona kobieta biznesu, która obsługuje skomplikowane komputery, telefaksy i tym podobne, będzie miała kłopoty z użyciem robota kuchennego. Pewnie nie zajrzałaś nawet do instrukcji.

Hannah schyliła się i wydobyła z szatki kuchennej kartonowe pudło. Na

dnie dogrzebała się instrukcji i brakującej części.

– Naiwnie sądziłam, że to będzie proste – przyznała.

– Prowadzenie gospodarstwa to wcale nie jest łatwa sprawa. Co cię skłoniło, żeby przyrządzić puree z ziemniaków?

– Chciałam zaskoczyć Marca domową kolacją. Właśnie będzie się nad roladą mięsno-ziemniaczaną, która podobno już od dziecka jest jego ulubioną potrawą. Coś mi się wydaje, że będzie o wiele więcej mięsa niż ziemniaczków.

– Jestem zachwycona. Zamieniasz się w prawdziwą gospodynię.

– Jakoś tak przyszło mi do głowy, że to mogłoby być... zabawne. Dałam na stół porcelanową zastawę, którą dostaliśmy od ciebie, srebrne sztucce od rodziców Marca i kryształowe pucharki, które sprezentowały nam moje koleżanki z Unicomu.

– Pamiętałaś o świecach?

– Naturalnie.

– Muszę przyznać, że to brzmi bardzo zachęcająco.

– Prawda? – przyznała Hannah, uśmiechając się pod nosem na myśl o specjalnej kreacji, którą zamierzała włożyć na nastrojowy wieczór z mężem.

– Dobrze, nie będę cię dłużej odciążać od ważnych zajęć. Pamiętaj o dociskaczu.

– O czym? – spytała nieprzytomnie Hannah.

– Musisz go włożyć w otwór w pokrywie, zanim uruchomisz robota.

– Nie zapomnę – roześmiała się Hannah i odwiesiła słuchawkę. – Z pewnością nie zapomnę.

W godzinę później rolada bezpiecznie wylądowała w piekarniku. Hannah ochoczo zabrała się za przebieranie. Z najwyższym podnieceniem otworzyła pudło zawierające skąpą czarną halkę z atłasu i koronek. Planowała jako jedynej ozdoby użyć wyłącznie własnych rumieńców. Jeśli w ten sposób nie wprawi Marca w miłosny nastrój, to już nigdy nikomu się to nie uda.

Wkładając seksowny strój poczuła się nagle bardzo podniecona. Zaczęła nucić, trenując przed lustrem wyzywające pozy. Spojrzała na budzik przy łóżku. Kwadrans po ósmej. Zaniepokoiła się. Dzwoniła do biura Marca o siódmej i sekretarka powiedziała, że właśnie zbiera się do wyjścia. Zastanawiała się, czy by nie zadzwonić jeszcze raz, ale po namyśle uznała, że przecież musiał już wyjść. Pognała do kuchni i przykręciła trochę piekarnik.

Za kwadrans dziewiąta zdecydowała się na ponowny telefon do OBSR. Nikt nie odebrał, co znaczyło, że Marc musiał być w drodze do domu. Niespokojnie rzuciła okiem na roladę.

Wyglądało na to, że zaczyna się lekko rozsychać. Nic dziwnego. Piekła ją już o pół godziny dłużej, niż zalecał przepis. Jednak Marc mógł wejść w każdej chwili, a jej zależało na tym, żeby powitał go zapach dzieciństwa i

domowego ciepła. Uśmiechnęła się. Naprawdę czuła się gospodynią domową i było jej z tym bardzo dobrze.

Dziesięć po dziewiątej klucz zazgrzytał w zamku. W jednej chwili cała jej złość na Marca poszła w niepamięć. Parząc palce zapaliła świecę na stole, włączyła przygotowaną kasetę. Rozległa się słodka symfonia smyczków. W wyzywającej pozie padła na kanapę.

– Hannah, wróciłem – usłyszała głos Marca.

Nie odpowiadała. Niech się zdziwi. Udoskonaliła jeszcze swoją wystudiowaną pozę.

– Hannah? Czym tu tak dziwnie zalatuje?

W salonie rozbłysły światła. Obok Marca stał wysoki, dobrze ubrany mężczyzna.

Skąpo odzianą Hannah aż zatkało z przerażenia. Marc i jego towarzyszy też wyglądali na mocno zaskoczonych.

– Hannah?

W rozpaczy rzuciła się z kanapy na ziemię, usiłując skryć się za stoliczkiem do kawy. Z całej siły rąbnęła głową o krawędź stolika. Wydała okrzyk bólu i upokorzenia. Na domiar złego stolik miał przezroczysty blat.

Towarzysz Marca, kiedy tylko ochłonął z pierwszego wrażenia, taktownie wycofał się z pokoju pozwalając, aby ten bez skrępowania mógł udzielić pomocy żonie.

– Hannah, pokaż, co ci się stało – naglił ją, przerażony.

– Jak mogłeś zrobić mi coś takiego... Jak mogłeś! Kto to jest ten facet?

– Elliot Bloomenthal. Przyszliśmy... przyszliśmy tutaj spytać, czy zjadłabyś z nami kolację. Elliot bardzo chciał cię poznać.

– Bloomenthal? Bloomenthal? – Ten sam, który odwiedził ją w koszmarnym śnie, kiedy spóźniony Marc dołączył do niej w podróży poślubnej. We śnie wyglądał jak zdjęcie doktora Rusmana. W rzeczywistości był wysokim, przystojnym mężczyzną, nieco po czterdziestce.

– No to już mnie poznał – jęknęła z rozpaczą.

– Pozwól, że obejrzę twoją głowę. Naprawdę, mocno się uderzyłaś. Możesz mieć wstrząs mózgu.

– O niczym innym nie marzę.

– Dlaczego się tak... dziwnie ubrałaś? – spytał skonsternowanym szeptem. – I co tak strasznie śmierdzi?

– Ulubiona potrawa twojego dzieciństwa: rolada mięsno-ziemniaczana. – Zapominając o pulsującym bólu w czaszce, wypełzła spod stoliczka i spojrzała mu w oczy nieustraszenie. – Ubrałam się tak, ponieważ... ponieważ przeszłam atak choroby umysłowej – wykrzyknęła i rzuciła się do swojej sypialni, zatrzaskując drzwi z potężnym hukiem.

– Hannah... – Ruszył za nią, ale zdążyła już zamknąć drzwi na zatrzask.

– Wyoń się. Idźcie we dwóch na obiad z tym twoim Bloomenthałem.

– Hannah – zaczął namawiać ją półgłosem – narzuć coś na siebie i zjemy razem tę roladę. Pachnie... fantastycznie.

– Wyoń się.

Elliot Bloomenthal wetknął głowę do salonu. Skinął ręką na Marca, który do głębi skonfundowany wycofał się za nim do przedpokoju.

– Strasznie cię przepraszam, Elliot. Hannah zazwyczaj nie... Ona po prostu... Nigdy by mi nie przyszło do głowy...

– Nie masz się z czego tłumaczyć, stary. – Bloomenthal mrugnął porozumiewawczo. – Gdybym miał pewność, że moja żona tak mnie będzie witać po pracy, dawno bym się już ożenił. Powiem ci coś – odłożmy wspólny obiad na kiedy indziej, a wy dziś zjedzcie razem domowy obiadek, który dla ciebie przygotowała.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że Hannah sama przyrządzi kolację. Nigdy tego nie robiła.

– Jeśli chcesz posłuchać rady przyjaciela, to coś ci powiem. – Bloomenthal uśmiechnął się od ucha do ucha. – Choćby to było niesmaczne – powiedz, że jest przepyszne. Lepsze niż wszystko, co matka kiedykolwiek ci ugotowała.

– Niezły pomysł – stwierdził Marc bez ironii.

– Hannah, ta rolada jest... fantastyczna. To po prostu... nie do wiary. Mojej matce nigdy się tak nie udawała.

– Wcale nie jest dobra. Jest ohydna. Jest za mało ziemniaków, mięso przypieczone, a wszystko razem pachnie spalenizną.

– Nieprawda. Błagam cię, wyjdź z pokoju i spróbuj sama.

– Jak mogłeś przyprowadzić obcego człowieka do domu, nie uprzedzając mnie przedtem?!

– Skąd mogłem wiedzieć, że właśnie dzisiaj zdecydujesz się przywitać mnie w białiznie?

– Chciałam ci zrobić niespodziankę.

– Nie powiem, osiągnęłaś zamierzony efekt.

– Chciałam być romantyczna, podniecająca, wyzywająca, tymczasem przeżyłam najbardziej żenujące chwile w moim życiu.

– Wręcz przeciwnie, pomogłaś mi uzyskać wyższość nad Bloomenthałem. Zaczął mi zazdrościć, że nie ma takiej żony jak ty.

– On się całkowicie myli. Ja w ogóle nie jestem żadną żoną. A w każdym razie ani trochę nie czuję się jak żona.

– A jak się czujesz?

– Jak... kompletne zero.

– Bez sensu. Jesteś świetną dziewczyną ze świetnymi pomysłami. Po prostu nastąpiło nieporozumienie. Otwórz, proszę cię. Możemy jeszcze mieć mnóstwo zabawy, niespodzianek, namiętności...

– Nic z tego. Ten nastrój całkiem mi już przeszedł. – Odsunęła zasuwkę i otworzyła drzwi. Marc był przerażony, kiedy zobaczył na jej czole guza wielkości piłeczki golfowej.

Zamiast spędzić noc w namiętnych objęciach męża, Hannah dość kiepsko spała na oddziale obserwacji szpitala General.

ROZDZIAŁ 9

„U Romea”, włoska kawiarnia przy Osiemdziesiątej Trzeciej

– Hannah, przecież ty jeszcze nic nie wzięłaś do ust – zauważyła Laura, wylawiając ostatniego karczocha z *antipasto*. – Dobrze się czujesz?

– Dobrze – potwierdziła Hannah słabym głosem.

– Wszystko w porządku z głową? – spytała troskliwie Pam, chociaż minęły już trzy tygodnie od czasu, kiedy Hannah wylądowała w szpitalu z lekkim wstrząsem mózgu.

– Tak, wszystko w porządku – uspokoiła koleżanki. Opowiedziała im o wypadku ze stoliczkiem do kawy, pominęła jednak żenujące okoliczności, które doprowadziły do tego wydarzenia.

Diane odłamała kawałek bagietki i podała resztę Hannah.

– Nie jesteś przypadkiem w ciąży? – Omiotła przyjaciółkę uważnym wzrokiem.

– Nie, chyba że skutek niepokalanego poczęcia. – Hannah zaśmiała się z goryczą.

– Marca nie ma już od kilku tygodni. – Pam zwróciła się z wyjaśnieniem do koleżanek. – Przedtem Hannah przechodziła rekonwalescencję po wstrząsie mózgu. Jeszcze wcześniej sama była w Denver. – Z powrotem zwróciła się do Hannah. – Czy nie moglibyście zsynchronizować waszych podróży służbowych tak, abyście jednocześnie wyjeżdżali z domu?

– Napomknę o tym Briskinowi. – Z najwyższym wysiłkiem starała się przełknąć cielęce eskalopki.

– Skoro już mowa o ciąży, to muszę wam wyznać, że postanowiłam mieć dziecko – włączyła się Laura. – Nie cierpię tego określenia, ale po prostu mój zegar biologiczny posuwa się do przodu.

– Co ty bredzisz – osadziła ją Diane. – Nie masz jeszcze trzydziestki, twój zegar nie jest nawet porządnie nakręcony.

– Właśnie skończyłam czytać Portera „Kobiety: praca i łono”. – Pam otarła usta serwetką. – Jest to studium, które udowadnia, że kobiety pracujące zawodowo, które zdecydowały się na dzieci przed trzydziestką, mogły lepiej pogodzić życie rodzinne z zawodowym niż kobiety rodzące przed czterdziestką, ponieważ miały więcej energii i były bardziej otwarte na zmiany.

– Do diabła z-pracą zawodową – oświadczyła Laura, podkradając Hannah kawałek cielęciny. – Ten cały mit superkobiety to jedno wielkie zawracanie głowy. Powiedzmy, że nawet udało ci się połączyć jedno z drugim, czy masz w ogóle czas czerpać z tego jakąkolwiek satysfakcję? – Rzuciła Hannah pytające spojrzenie.

– Prawie nigdy – przyznała tamta niechętnie.

– No właśnie – zatriumfowała Laura. – Powiem wam, moje drogie, że gdyby udało mi się znaleźć ciepłego, kochającego, dobrze ustawionego zawodowo mężczyznę, który byłby w stanie mnie utrzymać, chętnie zrzekłabym się całej tej samowystarczalności, niezależności i polegania wyłącznie na własnych siłach. Macie moje słowo.

– Jeżeli można wiedzieć, gdzie spodziewasz się spotkać tego rycerza w złocistej zbroi? – spytała Diane.

– Tak się składa, moje miłe, że o kilka stolików stąd siedzi mężczyzna nieziemskiej urody, który często popatruje w naszą stronę – oznajmiła Laura z konspiracyjnym błyskiem w oku. – Być może to właśnie on.

– Której z nas się tak przygląda? – zaciekawiała się Diane.

– Trudno orzec – wzruszyła ramionami Laura.

– Słomiany blondyn z wąsikami? – Pam poprawiła się na krześle, żeby, nie wzbudzając podejrzeń, rozejrzeć się dokładniej po sali.

– Nie, dwa stoliki w prawo od niego. Ciemne włosy, niebieska marynarka, krawat świadczący o niezłym stanowisku, siedzi z siwym, brzuchatym facetem.

– Hmm – podsumowała Diane, rzuciwszy ukradkowe spojrzenie. – Niezły. I faktycznie wygląda na to, że interesuje się którąś z nas.

– Jeśli mną, to znaczy że jest żonaty – mruknęła pod nosem Pam. Ona też nie mogła powstrzymać się od rzucenia okiem na przystojnego nieznajomego. – Z niepojętych powodów żonaci mężczyźni lecą na mnie jak muchy na lep.

Różnica jest tylko taka, że muchy pozostają na lepie.

– Myślę, że z tak przystojnym mężczyzną rodziłabym prześliczne dzieci – westchnęła Laura, gapiąc się bezwstydnie.

– Marynarka jest ewidentnie szyta na zamówienie – oceniła Diane. – Powiedziałabym, że to o czymś świadczy.

– W dodatku nienagannie zachowuje się przy stole – dodała Pam, obserwując nieznanego kątem oka. – Podziwiam mężczyzn, którzy tak zręcznie okręcają spaghetti. Mój poradnik bardzo wysoko ocenia dobrą koordynację palców.

– Drogie dziewczęta, zachowujecie się co najmniej dziwnie – zganiła je ze śmiechem Hannah.

– Zaraz się przekonamy, kto tu się dziwnie zachowuje – odparowała Laura. – Sama na niego popatrz.

– No dobra, gdzie to cudo siedzi? – spytała Hannah, w której wreszcie obudziła się ciekawość.

– Upuść serwetkę na podłogę, a kiedy się po nią schylisz, popatrz o dwa stoliki za siebie. Na pewno go zauważysz – poinstruowała ją Laura.

Czując się dosyć idiotycznie, założyła nogę na nogę. Serwetka ześlizgnęła się z kolan na podłogę. Pchnęła ją lekko obcasem do tyłu, żeby mieć jeszcze lepszy pretekst do odwrócenia się. Okręciła się na krześle i zanim sięgnęła po upuszczoną serwetkę, spojrzała na mężczyznę, który wzbudził tyle emocji w jej koleżankach. Właśnie kiedy dosięgła go wzrokiem, popatrzył w jej stronę. Przez moment ich oczy spotkały się. Mężczyzna posłał jej uśmiech, prezentując przy tym rząd śnieżnobiałych zębów. Powiało beztroską i luksusem.

Reakcja Hannah była o wiele mniej czarująca. Kiedy dotarło do niej, kogo widzi, zmartwiła. Czym prędzej odwróciła się, zapominając nawet o podniesieniu serwetki.

– No i jak? – dopytywała się Laura. – Czy też uważasz, że byłby wymarzoną ojcem dla mojego dzidziusia?

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła upiora – zdumiała się Diane. – Co się stało?

– Rany boskie, on tu idzie – wyszeptała Pam, zanim Hannah zdążyła odpowiedzieć.

– Hmm. W każdej chwili jestem gotowa podporządkować się odpowiedzalnemu mężczyźnie. – Laura lekko nastroszyła włosy dłonią.

Wzrok Hannah pomknął ku drzwiom. Jakby to wyglądało, gdyby zerwała się niespodziewanie i popędziła do wyjścia? Niestety, było już za późno.

– Witam panią, pani Welles. W pierwszej chwili nie miałem pewności, czy to pani. Wygląda pani całkiem inaczej w... stroju roboczym. – W jego oczach zamigotały chochliki.

– Dzień dobry, panie Bloomenthal – pozdrowiła go, starając się nie zwracać uwagi na dotkliwą zazdrość przemieszana z śmiertelną ciekawością na twarzach przyjaciółek.

– Mam na imię Elliot.

Hannah poczuła, że się rumieni. Natychmiast zganiała się jednak. Chociaż spotkanie twarzą w twarz z Bloomenthałem po tym, gdy miał okazję dokładnie zlustrować jej ciało, nie należy do przyjemności, jest on jednym z najpoważniejszych klientów jej męża.

– Proszę, niech pan... to znaczy... Elliot, poznaj moje koleżanki. – Jakimś cudem udało jej się dokonać stosownych prezentacji. Dziewczyny uśmiechały się promiennie, jednak dla wszystkich było jasne, że Bloomenthal świata nie widzi poza Hannah. Sądząc z wyrazu ich twarzy, uznały to za rażącą niesprawiedliwość.

– Jak się czujesz? Marc mi mówił, że podobno miałaś wstrząs mózgu. – Mówił wyłącznie do niej, nie zwracając uwagi na trzy pozostałe kobiety.

– Lekki – wybąkała, znów się czerwieniąc. – Bardzo lekki wstrząs mózgu.

– Mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu o ten wypadek. – Dotknął ręką jej ramienia.

Czuła, że rozpalone z ciekawości spojrzenia koleżanek wwiercają się w jej twarz.

– Ależ skąd – zaprzeczyła. – Nigdy w życiu.

– Widzę, że nam obojgu niespecjalnie smakuje tutejsza kuchnia – stwierdził, rzuciwszy okiem na prawie nie ruszone eskalopki na talerzu Hannah. – Znam miejsce na Wschodnim Manhattanie, gdzie potrafią wyczarować cuda z cielęciny. Chyba pozwolicie się z mężem zaprosić w tym tygodniu na obiad? Jestem w mieście do piątku. A może jutro?

– Obawiam się, że Marca nie będzie aż do soboty. Wyjechał do Pittsburgha – wyjąkała. Nie wiedziała, czy bardziej wytrąca ją z równowagi przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu Elliota, czy wlepiony w nich oboje wzrok koleżanek.

– Do Pittsburgha, powiadasz. Wielka szkoda. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że jeszcze z nim porozmawiam.

– No, właśnie... do Pittsburgha. Wraca dopiero w sobotę – powtórzyła bezmyślnie, marząc o tym, żeby wreszcie przestał się w nią wpatrywać rozbawionym wzrokiem. Cały czas miała na końcu języka idiotyczne stwierdzenie typu: „Panie Bloomenthal, jestem kobietą zamężną. Skończyły się dla mnie dni bez troskłej zabawy”.

439 Park Avenue

Hannah cisnęła na stół kuchenny torbę, plik listów i pudło krewetek kupionych w restauracji na wynos. Zrzuciła ubranie wyjściowe i skierowała się do sypialni. Po raz pierwszy od dwu tygodni udało jej się dotrzeć do domu przed zmrokiem. Cichy, spokojny wieczór zaplanowała w najdrobniejszych szczegółach. Długa kąpiel w wannie pełnej piany, chińska kolacja w łóżku, a na koniec solidna dawka snu. Miała nadzieję, że Marc niezbyt późno zatelefonuje z Pittsburgha. Poprzedniej nocy odezwał się dopiero przed północą. Biedaczysko, dniami i nocami wysiadywał nad najnowszym projektem. Czuła, że wróci w sobotę na ostatnich nogach i trzeba będzie tygodnia, o ile nie dwóch, żeby przyszedł do siebie. Najprawdopodobniej będzie chciał sypiać we własnej sypialni, skonstratowała ponuro. Twierdził, że potrzebuje się wyhamować. Ona zresztą też często musiała się wyhamowywać. Naturalnie, byli przepracowani, jednak ciągle wyhamowywanie zostawiało zbyt mało czasu, żeby rozpędzić się do bycia razem.

W samych majtkach i staniku wlewała do wanny pachnący płyn kąpielowy, kiedy zadzwonił brzęczyk domofonu. Klnąc pod nosem, zakręciła wodę i zarzuciła frotowy szlafrok. Wyszła do przedpokoju. Podniosła słuchawkę.

– Witam, pani Welles. Mówi Elliot Bloomenthal. Chciałem... eee... zostawić u pani dokumenty dla męża.

Poczuła dziwny niepokój.

– Niech pan... może... zostawi dokumenty u strażnika na dole, panie Bloomenthal. – Nie potrafiła mówić mu po imieniu. Dlaczego niby ona miała być panią Welles, a on po prostu Elliotem? Nie mówiąc już o tym, że w ogóle nie była żadną panią Welles, bo zachowała panieńskie nazwisko.

– Jeśli nie zrobię pani kłopotu – odezwał się Bloomenthal po krótkiej przerwie – wolałbym wytłumaczyć kilka szczegółów, żeby pani mogła wyjaśnić je Marcowi. Nie zajmę więcej niż dziesięć minut.

– Właśnie... miałam się kąpać.

– Rozumiem. Wobec tego wyskoczę na kawę i wrócę...

– Nie, nie trzeba – ustąpiła. – Jeśli to rzeczywiście nie potrwa długo...

– Najwyżej parę minut – zapewnił ją.

– Musi pan poczekać chwilkę, aż... doprowadzę się do ładu. Oddzwonię na dół.

– Dziękuję. Będę pani bardzo wdzięczny.

W pięć minut później, w dzinsach i koszuli, otwierała drzwi Elliotowi Bloomenthal. Oprócz dokumentów dla Marca wręczył jej tuzin róż.

– Ależ... panie Bloomenthal... przecież nie ma żadnego powodu –

wyjąkała, przyjmując bukiet.

– Proszę mi mówić Elliot. To są po prostu spóźnione kwiaty z najlepszymi życzeniami dla rekonwalescentki. – Uśmiechnął się i omiół ją przeciągłym spojrzeniem. – Częściowo czuję się odpowiedzialny za pani wypadek. Gdybym nie przyszedł z pani mężem do domu...

– Bardzo proszę, panie... Elliot, zapomnijmy o tamtym wieczorze.

– Będę próbował, pani Welles, ale nie wiem, czy mi się to uda – zaśmiał się dobrodusznie.

– Proszę mi mówić Hannah – zdecydowała się na ustępstwo. Było jasne, że zamierzał ostentacyjnie zwracać się do niej per: pani, dopóki sama nie zaproponuje mu przejścia na ty.

– Hannah. – Zdawał się próbować językiem smak jej imienia. – Tak, to niezwykle piękne imię, w dodatku świetnie do ciebie pasuje.

Rany boskie, pomyślała z przerażeniem, on się przecież do mnie zaleca. Jeden z najpoważniejszych klientów męża usiłuje ją poderwać. Co gorsza, nie jest jej to wcale niemiłe. Zalała ją fala wstydu, poczucia winy i rosnącego podniecenia.

– Chciałeś mi coś... wyjaśnić... w dokumentach dla Marca – wymamrotała.

– Proponuję, żebyś najpierw wstawiła róże do wody.

– Co? A tak, racja. – Odwróciła się na pięcie i pośpiesznie ruszyła do kuchni.

Elliot Bloomenthal nie zamierzał odstąpić do niej ani na krok.

– Ładne mieszkanie i dobrze strzeżone. To bardzo ważne, jeśli się mieszka samemu – zauważył.

– Nie jestem tak często sama – zaczęła się bronić.

– Od jak dawna jesteście po ślubie?

– Od siedmiu miesięcy. – Nalała wody do kryształowego wazonu, który dostali w prezencie od jednego z wujów Marca.

– Aha, od siedmiu miesięcy – powtórzył znaczącym tonem.

– Co chcesz dać mi do zrozumienia? – Rzuciła mu spojrzenie przez ramię:

– Musi wam być cholernie ciężko. Czy mówi ci coś określenie: „krytyczny siódmy miesiąc”? – Wyszczerył zęby w prowokującym uśmiechu.

– Chyba ci się coś pomyliło. O ile wiem, wspomina się o krytycznym siódmym roku.

– Kto by tam w dzisiejszych czasach wytrzymał z sobą siedem lat – zakpił.

– Wyobraź sobie, że ja mam zamiar wytrzymać tak długo. – Zakręciła kran i byle jak wetknęła kwiaty do wazonu. – Wierzę w małżeństwo do grobowej deski.

– To ma być twój posiłek? – przerwał jej, biorąc do ręki pudełko krewetek z chińskiej restauracji.

– Owszem.

– Oszalałaś chyba. To świństwo jest naszpikowane chemikaliami, skrobią i nieświeżymi jarzynami. – Podeszedł z pudełkiem do zsypu.

– Co robisz? – wrzasnęła, kiedy wyrzucał krewetki. – Jakim prawem?

– Ktoś powinien się tobą porządnie zaopiekować. Należy ci się porządna kolacja, trochę świeżego powietrza oraz wesoło spędzony wieczór.

– Wcale... wcale nie mam na to ochoty – broniła się cofając. Elliot nieustępliwie parł w jej kierunku.

– Jesteś przemęczona. Założę się, że nigdzie nie chodzisz. Nie wiesz, jak wiele tracisz. Nie masz nic z życia.

– Nie... nieprawda. – Nadal zbliżał się do niej. Za plecami wyczuła lodówkę.

– Powiedz mi wobec tego, kiedy ostatni raz jadłaś kolację w romantycznej knajpcie, kiedy przechadzałaś się po parku w świetle gwiazd?

– Nie słyszałam jeszcze o nikim na Manhattanie, kto by się przechadzał po parku w świetle gwiazd i uszedł z życiem.

– No dobrze – ustąpił, zatrzymując się pół kroku od niej. – Kiedy wobec tego ostatni raz poszłaś coś zjeść i potańczyć?

– Byliśmy z Markiem w restauracji... potem tańczyliśmy trochę. – Serce łomotało jej w piersiach, dłonie miała wilgotne od potu.

– Kiedy to było?

– Niechże pan da spokój, panie Bloomenthal. Małżeństwo nie polega na chodzeniu do restauracji i na dansing. Małżeństwo... małżeństwo...

– No właśnie. Na czym polega małżeństwo, pani Welles?

– Czy nie moglibyśmy już wziąć się za te dokumenty? – spytała słabo.

– Po kolacji.

– Pan chyba... żartuje?

– Nic podobnego. Zwykła, służbowa kolacja z kontrahentem. Nie widzę w tym niczego niestosownego.

– Tak, ale pan przecież nie jest moim kontrahentem, panie Bloomenthal.

– Proszę mi mówić Elliot. – Uśmiechnął się od ucha do ucha, prezentując dwa rzędy zębów, którymi mógłby zarabiać w reklamówkach. – I dać się porwać do restauracji.

– Nie... nie mogę. Nie jestem nawet stosownie ubrana. – Śmiertelnie bała się, że ulegnie pokusie. Właśnie to było najstraszniejsze. Pokusa. Raptem siedem miesięcy po ślubie. Boże święty, może rzeczywiście istniało coś takiego, jak krytyczny siódmy miesiąc?

Odwrócił się i przez chwilę pomyślała z ulgą, że zamierza się wynieść. Zamiast jednak skierować kroki w stronę drzwi kuchennych, podeszedł do

telefonu.

– Dokąd dzwoniisz?

– Skoro Mahomet nie chce przyjść do góry, góra będzie musiała przyjść do Mahometa – oświadczył z chytrym uśmiechem, wykręcając numer. – Chciałem zamówić kolację z dostarczeniem do domu. Czy macie dzisiaj eskalopki? Znakomicie!

– Nie! – krzyknęła, biegnąc do telefonu.

– Chwileczkę – rzucił do słuchawki. – Nie masz ochoty na cielęcinę? – spytał niewinnie.

– Nie o to chodzi, tylko...

Nie dał jej skończyć.

– Tak jak mówiłem: eskalopki cielęce dwa razy, z dostawą na Park Avenue 439, mieszkania 12 – zaordynował przez telefon. – I butelka najlepszego chianti.

– Nie powinien pan tego robić – zganila go ostro, kiedy odwiesił słuchawkę. – Czy postępuje pan w ten sposób z żonami wszystkich współpracowników?

– Tylko z tymi, które są ładne.

– To obrzydliwe!

– Wiesz przecież, że żartuję. W życiu nie zachowywałem się tak wobec cudzej żony ani w ogóle wobec nikogo. Po prostu nie mogę o tobie zapomnieć, odkąd...

– Proszę... – zaczęła błagalnym tonem.

– Wiem, wiem, starałem się za wszelką cenę zapomnieć, jak pięknie wyglądałaś...

– Ubrałam się specjalnie dla mojego męża.

– Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Nie.

– Czy jesteś szczęśliwa z Markiem?

– Nie.

– Nie jesteś z nim szczęśliwa?

– Nie może mi pan zadawać osobistych pytań.

– Hannah – roześmiał się, nie spuszczać z niej błękitnych oczu – przecież wiesz, że nie zrobię nic wbrew twojej woli. Po prostu bardzo mi się podobasz. Zdaję sobie sprawę, że jesteś mężatką, sam zresztą bardzo szanuję świętą instytucję małżeństwa, jednak od czasu do czasu każda kobieta potrzebuje... jakiejś odmiany, podniety, wyzwolenia, pragnie zaspokoić najskrytsze zachcianki. Zastanów się, Hannah...

– Już się zastanowiłam, panie Bloomenthal – wycodziła przez zęby. Wyrwała bukiet z wazonu i cisnęła Bloomenthalowi prosto w pierś. Strużki wody pociekły po nogawkach spodni. – Proszę się stąd natychmiast wynieść!

Dokumenty przekaże pan Marcowi w poniedziałek, w biurze.

Ledwie domknęła drzwi za osłupiałym mężczyzną, chwyciła za słuchawkę.

– Cześć, Pam. Jadłaś już obiad?

– Właśnie miałam zejść do delikatesów po sandwicza z wołowiną.

– Czekam na dostarczenie dwóch porcji eskalopek i butelki chianti.

– Świetnie. Zaraz będę u ciebie.

– Powiesz mi wreszcie czy nie, jak doszło do tego, że sama dla siebie zamówiłaś dwie porcje eskalopek? – spytała Pam, sącząc chianti z kieliszka.

– Jedne miały być dla Elliota Bloomenthala – przyznała z westchnieniem Hannah.

– O!

– Czy twój komentarz ogranicza się tylko do: O!?

– O... powiedz mi wszystko od początku – zaproponowała Pam z rozbawieniem.

– Przyszedł niedawno i robił mi... propozycje. Wyrzuciłam go za drzwi, ale zdążył jeszcze zamówić podwójny obiad.

– Uważam, że powinnaś się czuć mile polectana.

– Nic podobnego. Czuję się winna.

– Dlaczego? Przecież pokazałaś mu drzwi. Chyba że doszło między wami do czegoś, zanim on zamówił obiad, a ty odmówiłaś mu gościny?

– No coś ty, o co ty mnie posądzasz? Nie umiałabym zdradzić Marca, za bardzo go kocham. – Wysączyła kieliszek do dna i zapatrzyła się przed siebie. – Nie wiem, jak to powiedzieć, ale przez chwilę czułam straszną... pokusę. On mi się bardzo podobał.

– Nic dziwnego – uspokoiła ją Pam, napełniając ponownie kieliszek. – Nie ma takiej, której Elliot Bloomenthal by się nie podobał.

– Nie wiem... czy to był taki dobry pomysł, żeby się pobrać. – Hannah upiła wina. – Chwilami mam wrażenie, że coraz bardziej oddaliśmy się od siebie. O ile można się oddalać od siebie, kiedy się nigdy nie jest razem. Prawie się nie widzimy, a kiedy wpadamy na siebie, jesteśmy tak skonani, że nie starcza nam sił... właściwie na nic.

– Na przykład na seks? – spytała łagodnie Pam.

– Na seks i nie tylko – potwierdziła Hannah. – Wszystko robimy jakoś tak obok. Mówimy do siebie, ale nie rozmawiamy naprawdę ze sobą. Kochamy się, ale w ogóle się nie dotykamy. Jesteśmy krańcowo zestresowani. Naprawdę kocham Marca. Jest cudownym facetem. Wiem, że on też mnie kocha. Oboje... bardzo się staramy, ale... czuję się taka nieszczęśliwa. Podejrzewam, że on jest również bardzo nieszczęśliwy, tylko zbyt kochający i dobry, żeby się do tego przyznać.

– Hannah, nie możesz przez całe życie siedzieć i topić żale w kieliszku

chianti. Musisz coś z tym zrobić. – Pam zwróciła się serdecznie do przyjaciółki.

– A co takiego mogę zrobić? – spytała Hannah z rezygnacją.

– Wyobraź sobie, że mam pewien pomysł. Nie wiem, czy pamiętasz, jak parę miesięcy temu opowiadałam ci o genialnej książce doktora Rusmana...

– Nie wydaje mi się, żeby poradnik rozwiązał wszystkie moje problemy.

– Wcale nie o to mi chodzi. Rusman nie tylko pisuje książki o problemach małżeńskich, ale również prowadzi w różnych miastach warsztaty poświęcone redukcji stresu w małżeństwie. A teraz zgadnij, gdzie odbędzie się kolejne spotkanie?

– W Nowym Jorku? – Hannah spojrzała niepewnie na Pam.

– Dokładnie: W Hotelu Roosevelt za trzy tygodnie. Ma postać seminarium weekendowego, więc nie będziecie się musieli zwalniać z pracy. Marc będzie już na miejscu. To jest dokładnie to, czego wam trzeba. Przez dwa dni będziecie zgłębiać przyczyny napięć w waszym związku, będziecie uczyć się relaksu, odnajdywania zapomnianych przyjemności...

– Dla mnie to zakrawa na ostateczność – wyznała Hannah z wahaniem.

– Ostateczność to wizyta u adwokata. Właśnie po to idzie się na seminarium do Rusmana, żeby oszczędzić sobie ostatecznych posunięć.

– Jak ja to zaproponuję Marcowi? – Hannah wciąż była pełna wątpliwości. – Nasze małżeństwo okazało się takim niewypałem, że powinniśmy spędzić weekend z psychiatrą i grupą takich samych nieudaczników jak my?

– Nic podobnego. Powiesz Marcowi, że ostatnio żyliście w wielkim napięciu, bo oboje macie bardzo wyczerpującą pracę, że stres niszczy wasze małżeństwo i spytasz, co by powiedział na udział w warsztatach, poświęconych technikom redukcji stresu.

– W twoich ustach wszystko wydaje się bajecznie proste. Redukcja stresu, powiadasz?

– Takie spotkanie może dokonać głębokich zmian w twoim małżeństwie.

– Zmieni na lepsze czy na gorsze?

– Chyba nie może już być gorzej, prawda? – Pam spojrzała Hannah prosto w oczy.

Zasypiała, kiedy zadzwonił telefon.

– Czyżbym cię zbudził, kochanie?

– Marc?

– Czy znasz innych mężczyzn, którzy dzwoniłoby kwadrans po jedenastej i nazywali cię „kochanie”?

– Nie znam – zaśmiała się cicho. – Wszyscy dzwonią do mnie przed

dziesiątą.

– Co się stało, że zdecydowałaś się tak wcześnie położyć?

– Byłam zmęczona. Mam za sobą... zwariowany dzień. Właśnie, byłabym zapomniała. Wpadł tutaj twój kontrahent z jakimiś dokumentami.

– Kto taki?

– Bloomenthal.

– Przyszedł na górę?

– Tak... to znaczy, poradziłam mu... żeby zaniósł ci te dokumenty do biura, ponieważ... chciał... porobić jakieś dodatkowe uwagi.

– Masz jakiś dziwny głos.

– Dziwny? Niemożliwe. Jestem po prostu... zmęczona – urwała nagle. – Prawdę mówiąc, czuję się okropnie... zestresowana.

– Zestresowana?

– Owszem, a ty nie? No wiesz, z każdej strony nagłą terminy, ciągle jesteśmy w rozjazdach, pilną nas rozmaici kontrahenci, szefowie popędzają, na jezdniach korki i... i nigdy nie ma czasu na przechadzkę po parku, obiad przy świecach czy dansing pod gołym niebem.

– Przechadzkę?

– Stres, Marc. Nie ma sensu dłużej się wypierać – oznajmiła podniesionym głosem. – Oboje żyjemy w bardzo silnym stresie.

– Nno... jasne. Zgadzam się z tobą.

– A widzisz!

– Posłuchaj, Hannah. Jak wrócę w sobotę, to cię wezmę na spacer po parku. Czy myślisz, że to jest coś, od czego będziesz troszkę mniej... hmmm... zestresowana?

– Nie powiem, żeby akurat szczególnie chodziło mi o spacer po parku – przyznała powoli. – W gruncie rzeczy mam o wiele ciekawszy pomysł.

– No to świetnie – wymruczał ciepłym głosem. – Jak dotąd, zdarzało ci się mieć zachwycające pomysły. Nie mogę się wprost doczekać!

Nie była pewna, czy Marc będzie równie pełen entuzjazmu, kiedy znajdzie się na zajęciach warsztatowych doktora Rusmana?

ROZDZIAŁ 10

Hotel Roosevelt

– Proszę cię, Marc – doktor Rusman przemawiał z silnym niemieckim akcentem – zaufaj swojemu oddechowi. Pamiętaj, uczymy się z powrotem oddychać jak niemowlęta. Niemowlęta oddychają zgodnie z naturą. Jednak z wiekiem narasta stres i oddychanie ulega upośledzeniu. Jeszcze raz, proszę, pełny, naturalny oddech.

Marc czuł się dosyć głupio, jednak starał się wykonać ćwiczenie. Najpierw unieść przeponę, potem wypełnić powietrzem dolną, następnie środkową część płuc...

– Ramiona, Marc, ramiona. Pamiętaj, unosimy ramiona do góry... Za mocno teraz zadzierasza ramiona, za mocno...

Hannah siedziała obok po turecku, śląc pokrzepiające uśmiechy mężowi. Nie odpowiadał na nie. Od samego początku nie był specjalnie zachwycony pomysłem poświęcenia całego weekendu na jakieś seminarium, a jego niechęć rosła obecnie z minuty na minutę. Samopoczucia nie poprawiał mu fakt, że ani Hannah, ani żadna z czterech par uczestniczących w spotkaniu nie miała najmniejszych problemów z niemowlęcym oddechem.

– Za szybko. Za szybko – upominał go doktor Rusman. – Nie wolno nadmiernie przyspieszać oddechu. Właściwe oddychanie niweluje stres. Niewłaściwe oddychanie pogłębia stres. Dyscyplina. Dyscyplina. Poczuj

napięcie w ciele. Teraz uśmiech. Uśmiech i oddech. To nie jest uśmiech, Marc, to jest jakiś grymas.

Jakby na złość, im dłużej doktor Rusman wpał mu zasady prawidłowego oddychania, tym szybszy stawał się jego oddech. Hannah z przerażeniem dostrzegła nagle, że Marc zaczyna sinieć.

Kiedy cała grupa przechodziła do ćwiczenia oddechu przemiennego z zatykaniem kolejno raz jednej, raz drugiej dziurki w nosie, Marc ze zwieszoną głową oddychał w papierową torebkę.

Hannah siedziała ze skrzyżowanymi nogami. Oczy miała zamknięte. Bezsukutecznie starała się wykonać ćwiczenie wizualizacyjne, w którym jej zadaniem było wyobrażenie sobie relaksującej scenerii ze wszystkimi detalami: wzrokowymi, słuchowymi, węchowymi i dotykowymi.

– Nie bardzo ci idzie, co? – zagadnął doktor Rusman.

– Skąd pan to wie? – Otworzyła oczy i posłała medycznej sławie zaskoczone spojrzenie.

– Twoje ciało cię zdradza, Hannah. Wsłuchaj się tylko w swój oddech. Zobacz, jak napięte masz mięśnie karku i ramion. Całe twoje ciało jest ściśnięte niewidzialną, stalową obręczą. Poczuj ją za gałką oczną. Zobacz, jak przechodzi przez lewe nozdrze, przecina zęby i dalej ciągnie się w dół, odcinając od siebie różne obszary ciała, stwarzając napięcia mięśniowe. Czujesz ją na piersi, na udzie?

Ku rozpaczy Hannah reszta uczestników natychmiast też otworzyła oczy, żeby śledzić przebieg niewidzialnej obręczy na jej ciele.

– No bo ja... właściwie... nigdy nie mam czasu, żeby porządnie wypocząć – zaczęła się usprawiedliwiać. Czuła się, jakby ją wystawiono na pokaz. Co gorsza, z minuty na minutę coraz mocniej uwierała ją domniemana niewidzialna obręcz. Właśnie zaczęła ją uciskać w zęby.

– To znaczy, że nie żyjesz w harmonii ze sobą ani z własnym życiem, ani też z partnerem. – Rusman obdarzył ją współczującym spojrzeniem. – W małżeństwie musimy dbać o okresy wspólnego wypoczynku. Powiedzcie mi – zwrócił się do Hannah i Marca – w jaki sposób wspólnie zażywacie relaksu.

Hannah spojrzała na Marca. Marc spojrzał na Hannah. Oboje w milczeniu popatrzyli na doktora Rusmana.

– Idziecie na spacer do parku? – podrzucił ktoś z uczestników.

Potrząsnęli przecząco głowami.

– Do restauracji na obiad? – zasugerował ktoś inny.

– Zawsze, kiedy mamy czas, żeby zjeść obiad na mieście, nagle okazuje się, że jedno z nas musi kogoś zaprosić służbowo.

– Po prostu jesteśmy zmuszeni łączyć pracę z przyjemnością – wyjaśniła Hannah.

– Rozumiem, ustrzelić dwa ptaki z jednej procy – podsumował Rusman.

- Dokładnie! – rozpromieniła się Hannah. – Świetnie pan to ujął.
- Radziłbym ci zastanowić się nad tym, Hannah. Strzelanie, do ptaka z procy. Czy tak wygląda twój ideał rozrywki i relaksu?
- Nno... chyba nie. – Posłała mężowi bezradne spojrzenie. – Marc, pomóż mi lepiej wyjaśnić, o co chodzi.
- Ku zaskoczeniu Hannah, Marc, zamiast przyjść jej w sukurs, zmarszczył niechętnie czoło.
- Prawdę mówiąc, kochanie, to nie jest zbyt pociągający obrazek.
- Poczuła nagły przypływ złości. Rusman obserwował ją z uważnym uśmiechem.
- No, no – stwierdził zagadkowo. – Zaczynamy troszkę posuwać się do przodu.
- Stale z Timem kłócimy się o to, czy jego matka ma prawo bez przerwy do wszystkiego się wtrącać – skarżyła się drobna blondynka, Rhonda, programistka komputerów.
- Moja matka przynajmniej okazuje swoje zainteresowanie – rozeźlił się jej mąż, krzepki nauczyciel wychowania fizycznego. – Twoja nigdy mi nawet nie przysłała życzeń urodzinowych.
- My z Jerzym nie mamy większych problemów z rodziną – zwierzyła się grubokoścista Ellie, specjalizująca się w analizie rynku. – Kłócimy się natomiast stale z powodu jego przyjaźni z czasów kawalerskich.
- Zanim wzięliśmy ślub, uważałaś, że moi przyjaciele są fantastyczni – wypomniął jej Jerzy, masywny łysiejący mężczyzna w przyciemnionych szklach. – Teraz, kiedy wspięłaś się na Wall Street, uważasz ich za bandę łachmytów.
- Bo są bandą łachmytów.
- My się głównie kłócimy o pieniądze – wyznała Janet, pulchna agentka obrotu nieruchomości. – To prawda, że Dennis zarabia lepiej ode mnie, to jednak nie upoważnia go, moim zdaniem, do tego, żeby nie zasięgnąwszy mojej rady, kupował sobie aparaturę stereo albo sportowy samochód.
- Ciężko haruję na moje pieniądze – nastroszył się Dennis, szczupły agent ubezpieczeniowy w kosztownej marynarce i krawacie – i wyżej uszu mam twoich pouczeń, jak i na co powinienem wydawać moje pieniądze.
- My też kłócimy się o pieniądze, ale najczęściej o seks – wyznała smukła, pięknie ubrana Lauren, wywołując swoim stwierdzeniem wściekłość swojego męża.
- Do diabła, Lauren – spłoszował Mel, z zawodu dziennikarz – umawialiśmy się przecież, że nie będziemy wywlekać intymnych spraw na forum publiczne.
- W tym cała rzecz, Mel – posłała mu pogardliwe spojrzenie – seks z tobą nie ma krzty intymności.

– Czy chcesz przez to powiedzieć – zasyczał – że jestem po prostu zwierzęciem?

– To ty powiedziałaś, mój drogi, nie ja.

– Większość kobiet szalałaby z radości, gdyby ich mąż stale miał na nie ochotę.

– Na przykład ja – podchwyciła Janet. – Dennis woli dłużyć przy samochodzie czy grzebać w swoich wędkach, niż... – zaczerwieniła się – niż zajmować się moją osobą.

– Może bym się i zajął, gdybyś się mnie stale nie czepiała – odburknął Dennis.

– Czepiam się, bo twoja czułość i uczucia ograniczają się do sypialni – odparowała żona.

– Szkoda, że twoja czułość i uczucia tam się nie zaczynają...

– Widzisz, Lauren – rzucił się Mel na żonę – biedna Janet musi żebrać o uczucia męża. Czy kiedykolwiek musiałaś mnie prosić o coś takiego?

– Może chciałabym mieć szansę czasem poprosić – ucięła chłodno.

Marc i Hannah nie zabierali głosu. Wyglądali na bardzo zadowolonych z siebie. Doktor Rusman w końcu nie wytrzymał.

– Nie powiedzieliście dotąd ani słowa. Co jest przedmiotem waszych kłótni? Seks? Praca? Pieniądze?

– My... my się nie kłócimy. – Hannah uśmiechnęła się niepewnie.

– To prawda – potwierdził Marc. – Co jak co, ale kłótnie z pewnością nie są źródłem stresu w naszym związku – oświadczył z dumą.

Wszystkie pary jak jeden mąż spojrzały na nich. W ich oczach można było wyczytać całą gamę uczuć – zazdrość, niedowierzanie, nawet litość! Wszyscy wiedzieli dobrze, że po porządnej awanturze następowały, jakże słodkie, przeprosiny. Na twarzy doktora Rusmana igrał zagadkowy uśmiech.

– W wielu wypadkach – odezwał się wreszcie doktor – hamowany gniew wywołuje jeszcze większy stres niż gniew otwarcie wyrażony.

– Jest w tym milczące założenie, że tak czy owak przeżywa się gniew – nachmurzył się Marc.

– Gniew jest taki nietwórczy – włączyła się Hannah po długim odchrząkiwaniu. – To, oczywiście, wcale nie znaczy, że się w ogóle nie gniewam – posiała błady uśmiech w stronę Marca – ale tak mało czasu spędzamy razem, że naprawdę nie warto go trwonić na kłótnie.

– Nie wiedziałem, że masz jakieś powody do kłótni – ostrożnie zauważył Marc.

– Wcale nie powiedziałam, że mam – zaczęła się bronić.

– Ale gdybyś miała o coś pretensje do Marca, to co by to było? – zachęcił ją doktor Rusman dobrotliwie.

Hannah zarumieniła się po uszy – Rusman przejrzał ją na wylot.

– Nno... czasami czuję się sfrustrowana tym, że Marc nie wyczuwa różnych moich... potrzeb.

– Jakich na przykład? – nastroszył się.

– Czasami... czasami wydaje mi się, że ledwie mnie dostrzegasz. Nigdy... nigdy mi nie powiesz, że ładnie wyglądam, albo... że podoba ci się to, co mam na sobie... – Nerwowo odgarnęła kosmyk włosów z twarzy.

– Widzisz, Dennis? – podchwyciła Janet. – Nie jestem jedyną osobą, która żali się, że mąż nigdy nie prawi jej komplementów. Wystarczy jednak, że minie nas wóz sportowy, a od razu ślinisz się z zachwyty.

– Proszę, Hannah, mów dalej – zażądał doktor Rusman, nie dopuszczając do riposty Dennisa. – Czujesz, że Marc nie poświęca ci dosyć uwagi.

– Nieprawda – zaprotestował Marc.

– Będziesz mówił, kiedy przyjdzie twoja kolej. – Doktor położył mu rękę na ramieniu. – Mów dalej, Hannah. Co jeszcze ci się nie podoba?

Przełknęła ślinę. Jeśli to ćwiczenie miało za zadanie redukcję stresu, to raczej należało uznać je za chybione. Czowała się, jakby połknęła stalowy pręt. Wbiła wzrok w podłogę.

– Czasem... czasem... wydaje mi się... te Marc jest trochę taki jak Dennis. To znaczy... nie zawsze ma na mnie ochotę. A właściwie... prawie nigdy nie ma na mnie ochoty.

– Nieprawda! – zaprotestował Marc. – Cały czas miałem na ciebie ochotę, kiedy byłaś w Denver.

– A ja na ciebie, kiedy byłeś w Pittsburghu – odparowała. – Nie mówiąc już o tych wszystkich nocach, które spędzasz w osobnej sypialni..

– Żeby ci nie przeszkadzać, kiedy masz zamiar pracować do białego rana. Czasem wydaje mi się, że specjalnie bierzesz robotę na noc, żeby uniknąć...

– Niczego nie unikam...

– Przypomnij sobie tylko pierwszy dzień w nowym mieszkaniu. Ściągnęłaś ze mnie pół ubrania. „Kochaj się ze mną, kochaj się ze mną!” A potem nagle dzwonią do ciebie z biura i już...

– To był bardzo ważny telefon.

– Oczywiście! Ważniejszy ode mnie. – Lekceważąco machnął dłonią.

– Przyganiał kocioł garnkowi! – Poczwała, że krew zaczyna się w niej burzyć: – Zawsze stawiasz swoją pracę na pierwszym miejscu. OBSR pochłania cały twój czas i energię. Moja matka miała świętą rację. Zapomnieliśmy, co to przyjemność, namiętność, niespodzianka. Wyobraź sobie, że ja mam pewne potrzeby...

– Czyżby? Dziwnym trafem w ogóle nie mogę tego dostrzec. Jesteś tak cholernie samodzielna, samowystarczalna, niezależna. Czasem się zastanawiam, po co w ogóle wychodziłaś za mnie za mąż.

– No bo... no bo... cię kocham. – Spojrzała na niego boleśnie zaskoczona.

– Wydawało mi się... że świetnie do siebie pasujemy. Ale teraz... – Przerwała, czując, że lada chwila się rozplacze. Cała grupa wpatrywała się w nią w milczeniu.

– Ale teraz...? – powtórzył doktor Rusman. Potrząsnęła odmownie głową.

– Proszę bardzo, nie żałuj sobie. Wylóż wszystkie karty na stół – odezwał się Marc z wściekłością. – To był twój pomysł. „Chodź, odsłonimy nasze problemy, nie będziemy niczego ukrywać”. Przecież na pewno nie chcesz hamować swojego drogocennego gniewu, narażać się na Bóg wie jaki stres. Mów śmiało. Odetchnij jak niemowlę i powiedz, co ci leży na wątrobie.

– Nie wiedziałam, że potrafisz być taki... złośliwy.

– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiedziałaś – odburknął.

– Na przykład?

– Na przykład tego, że potrafisz być... zazdrosny, wyobraź sobie, i wcale mi się nie podoba, że flirtujesz z moimi kontrahentami.

– Kontrahentami?

– Choćby z takim Bloomenthalem.

– Ja... flirtuję... z Bloomenthalem?

– Dobra, dobra, widziałem bilecik z kwaciarni „Z życzeniami powrotu do zdrowia – Elliot”. Ciekawe, co zrobiłaś z bukietem? Pewnie wyrzuciłaś, zanim wróciłem z Pittsburgha.

– Nigdy mi nie wspomniałaś, że znalazłaś ten bilet.

– No to teraz ci mówię.

– Chcesz powiedzieć, że mi nie ufasz?

– A ty mi niby ufasz? Kto przybiegł do mojego mieszkania, kiedy przyjmowałem Robin?

– I zastałam cię w jej objęciach.

– Dawno ci to wyjaśniłem.

– Owszem. Natomiast jeśli chodzi o Bloomenthala, to w ogóle nie ma co wyjaśniać. – Wzruszyła ramionami.

– Znakomicie, znakomicie, mamy teraz do czynienia z ukrytymi załączkami stresu. – Doktor Rusman zatarł ręce z zadowoleniem. – Ach, jak boli, jak drapie, jak kłuje! Musimy te załączki wydobyć na powierzchnię. Krzyczcie na głos, moi drodzy. Krzyczcie: Jestem zazdrosny! Czuję się zagrożony! Nie jestem pewien twojej miłości! Nie wiem, kim jesteś! Nie wiem, co robię w tym związku. – Poderwał się z krzesła. – Od tego trzeba zacząć! Ilekroć pojawia się uczucie rozdrażnienia, musimy dać mu wyraz! Krzyczcie! – rozkazał Marcowi i Hannah. – Nie wstyďte się uczuć.

Marc nie miał najmniejszego zamiaru krzyczeć. W osłupieniu gapił się na żonę, jakby ją pierwszy raz w życiu zobaczył.

Hannah zerwała się z podłogi. Miała wyraz twarzy straceńca.

– Muszę... lecieć. Strasznie... strasznie mnie boli głowa. – Ruszyła w

stronę drzwi.

– Hannah, wracaj! – wrzasnął za nią Rusman. – To właśnie twój stres doszedł do głosu. Reakcja ucieczki. Musisz teraz zapanować nad sobą. Oddech, pamiętaj o oddechu! Wizualizuj... Czujesz bolesną obręcz w ciele... Śledź uważnie wszystkie doznania...

Marc ruszył do drzwi za Hannah.

– Łapy precz, doktorku, albo sam będziesz musiał śledzić własne doznania – wrarknął do Rusmana, który próbował stanąć mu na drodze.

452 Grammercy Park

– Naturalnie, że cieszę się z twojego szczęścia – oznajmiła Hannah. Z przyklejonym uśmiechem na twarzy siedziała w salonie matki. – To... cudownie. Tylko że jakoś tak... nagle. Oczywiście... znam Simona już od paru miesięcy, ale małżeństwo to dosyć... poważny krok. – Uśmiech przysnął na jej twarzy.

– Zgadzam się z tobą – powiedziała Mary Logan z promiennym uśmiechem – i za nic w świecie nie chciałabym, żebyś sądziła, iż moja decyzja jest pochopna. Faktycznie, znamy się z Simonem niezbyt długo, ale spędzamy ze sobą bardzo dużo czasu i jesteśmy wobec siebie bardzo otwarci i szczerzy.

– Czyżby? – zakpiła półgłosem Hannah.

– Simon wie, że mam różne dziwactwa – wyjaśniała Mary z pogodnym uśmiechem. – Uprzedziłam go, że potrafię być przykra i wymagająca. I że w głębi duszy jestem szalenie sentymentalna. A także przyzwyczajona do słuchania wyłącznie samej siebie.

– Czy Simon był wobec ciebie równie szczerzy?

– Mężczyznom zawsze trudniej przychodzi odsłonić swoje słabe miejsca. – Mary mrugnęła porozumiewawczo. – Simon nie jest w tym względzie wyjątkiem, jednak staram się dać mu do zrozumienia, że nie szukam ideału. Powolutku doprowadziłam do tego, że zaczął mi się zwierzać ze swoich niepokojów. Na przykład śmiertelnie obawia się starości. Chociaż na zewnątrz jest dość próżny, w głębi duszy boi się, że nie będzie kochany wyłącznie za to, jaki jest.

– Wyglądasz dobrych dziesięć lat młodziej niż zwykle – stwierdziła Hannah. – W dodatku wydajesz się bardzo szczęśliwa.

– Którejś nocy Simon przyznał mi się, że zawsze bał się ciemności – ciągnęła Mary, biorąc córkę za rękę. – Kiedy jest sam w domu, zawsze zostawia światło w przedpokoju i trzyma uchylone drzwi do sypialni. Byłam strasznie... rozczulona. Wydaje mi się, że możemy sobie wszystko

powiedzieć. Jest nam tak dobrze ze sobą. Świetnie się czujemy w swoim towarzystwie, lubimy robić te same rzeczy, doskonale się ze sobą bawimy. Przez lata tyle się nie śmiałam, co teraz. Nie wiem, czy ci mówiłam, że Simon ma jacht. Wiesz, jak ja uwielbiam pływać. Twój ojciec nienawidził wody. Wszystkie wakacje musieliśmy spędzać w górach. Z Simonem zamierzamy spędzić miodowy miesiąc, żeglując wokół Wysp Kanaryjskich.

– To bardzo... miło.

– Mogłabyś wykrzesać z siebie trochę więcej entuzjazmu. O co chodzi? Nie lubisz Simona?

Hannah wstała z kanapy. Podeszła do kominka. Na gzymsie stała fotografia ślubna, zrobiona przez jednego ze szwagrów Marca. Panna młoda w pożyczonej sukni, pan młody w ojcowskim smokingu. Ślubne zdjęcie – czysta kpina. Całe jej małżeństwo to była jedna wielka kpina. Łzy pociekły po policzkach Hannah. Nie dosłyszała kroków matki.

– Wyglądasz na bardzo zmęczoną i niezbyt szczęśliwą – powiedziała łagodnie Mary, otaczając córkę ramieniem. – Co ci jest, córeczko?

– Zazdroszczę ci, mamo. Zazdroszczę wam obojgu z Simonem. To musi być cudownie móc cały czas być z sobą. Żadnych stresów, żadnych obowiązków...

– Nie przeceniaj naszej sytuacji. Oboje z Simonem mamy rozmaite obowiązki i podlegamy najróżniejszym stresom. Chociaż Simon wycofał się z czynnego udziału w swoim przedsiębiorstwie, nadal nim częściowo kieruje. Ja mam moich przyjaciół, zajmuję się dobroczynnością. Oboje jesteśmy już od lat rozwiedzeni i każde z nas ma swoje własne zajęcia i zainteresowania. Powoli zaczynają nas nękać najróżniejsze dolegliwości, związane z wiekiem. Jest kłopot z synem Simona, który bardzo sprzeciwia się ponownemu małżeństwu ojca. Nie brakuje nam stresów, uwierz mi. Ale mamy też swoje radości. A ja bardzo potrzebuję radości. I Simon też. Oboje obawiamy się ponurej, samotnej starości.

– Ja... ja też się tego obawiam – wyznała Hannah, zalewając się łzami.

– Co ty opowiadasz? – Mary Logan przygarnęła córkę mocniej do siebie.

– Powiedz sama, co mam robić? Czuję się taka... nieszczęśliwa. I Marc też jest okropnie nieszczęśliwy. Robimy co się tylko da. Parę tygodni temu wybraliśmy się nawet na... seminarium.

– Jakie znów seminarium? – spytała Mary, sadzając córkę z powrotem na kanapie.

– Beznadziejne. Najpierw wykonywaliśmy masę idiotycznych ćwiczeń, potem inne pary zaczęły opowiadać o swoich kretyńskich sprzeczkach... i... słuchaliśmy tego z otwartymi ustami, bo przecież my się nigdy nie kłócimy. Tymczasem, ni stąd, ni zowąd, na oczach wszystkich, Marc... napadł na mnie.

– Napadł na ciebie? – przeraziła się Mary nie na żarty.

– To znaczy... słownie. Zaatakował mnie publicznie. Nigdy... nigdy nie sądziłam, że jest do czegoś takiego zdolny. Był wstrętny i... złośliwy. Powiedział, że... powiedział, że... – Hannah ukryła twarz na piersi matki.

– Co takiego powiedział, kochanie? – Mary pogładziła córkę po głowie.

– Powiedział, że jestem samodzielna, samowystarczalna i niezależna. Że... że nie posądzał mnie nawet o to, że mogę mieć jakieś potrzeby.

– Naturalnie, że masz swoje potrzeby – powiedziała matka uspokajającym tonem, gładząc ją po plecach.

– No właśnie... mam potrzeby. To dlaczego on jest taki... wściekły?

– Mężczyźni lubią czasem się wściekać.

OBSR

Marc zmiął kolejną kartkę papieru, na której próbował coś , zanotować i cisnął w stronę kosza na śmieci. Chybił dobre dwa metry.

– Kiepsko ci leci, co? – zagadnął od sąsiedniego biurka John Moss, obdarzając go współczującym spojrzeniem.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – wymamrotał Marc. – Ostatnio w żaden sposób nie mogę się skoncentrować.

– Domyślam się, że to... ehmm... seminarium u Rusmana nie bardzo wypaliło?

– Skąd wiesz o seminarium Rusmana? – nastroszył się Marc.

– Pam mi coś o tym wspomniała – odparł John z uśmiechem niewiniątka.

– Podszedł do biurka Marca. – Była szczerze zaskoczona, że wam to nie pomogło. Twierdzi nawet, że gdybyśmy z Liz poszli w porę na coś takiego, to może nie doszłoby do rozwodu. Ja tam nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nie chciałbym Pam odzierać ze złudzeń, ale nie wydaje mi się, żeby ci specjaliści od problemów małżeńskich naprawę wiedzieli, o czym mówią.

– Ciekaw jestem – zamyślił się Marc – jak wygląda małżeństwo samego Rusmana. Jak sądzisz, czy są z żoną szczęśliwi?

– Z byka spadłeś? – parsknął John. – Dziewięć do jednego, że sam jest rozwiedziony. Wszyscy ci pseudospecjaliści są dawno po rozwodzie. Myślisz, że jak przyjdzie co do czego, to oni są mądrzejsi od nas?

– Zdawało mi się dotąd, że rozumiem Hannah. – Marc wbił tępy wzrok w akta na biurku. – Chyba się jednak myliłem. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Zapewniam cię, że ona też nie wie – uspokoił go protekcjonalnie John. – Najważniejsze, żebyś za bardzo nie próbował jej rozszyfrować. Każda kobieta chce być zagadką. Wiesz mi, Welles, wiem, o czym mówię. Jak tylko przejrzałem moją żonę, natychmiast wystąpiła o rozwód.

439 Park Avenue

– Cześć. – Marc wkroczył do mieszkania, rozluźniając węzeł krawata. – Nie przypuszczałem, że cię już zastanę.

– Wyglądasz jak goły – roześmiała się Hannah, lustrując go od stóp do głów.

– Goły? Czemu? – Zaskoczony spojrzął po sobie.

– Nie masz teczki.

– Zostawiłem ją na noc w biurze – wyjaśnił z uśmiechem.

Podszedł do żony i pocałował ją delikatnie w policzek.

– A ty co tak wcześniej w domu?

– Ja... hmm... zwolniłam się na popołudnie.

– Źle się czujesz? – zaniepokoił się.

– Spędziłam popołudnie z mamą. – Zamilkła na chwilę. – Obgadywałyśmy jej narzeczonego.

– Coo?

– Mama wychodzi za mąż za Simona.

– Twoja matka wychodzi za mąż?

– Nie wiem, czemu cię to aż tak dziwi.

– Nie wydaje mi się, żeby znali się specjalnie długo.

– Czas jest pojęciem względnym. Wszystko zależy od tego, jak się go wykorzystuje.

– Nie będziemy się chyba kłócić, co? – Poruszył się nerwowo.

– Nie – potwierdziła cicho. – Nie będziemy się kłócić.

– Ślicznie dzisiaj wyglądasz. – Lekko dotknął jej policzka. – Chyba nie dosyć często ci to mówię. – Położył rękę na jej ramieniu.

– Marc – oparła ufnie głowę na jego piersi – wcale nie tak wyobrażałam sobie rozkosze stanu małżeńskiego. Nie powinniśmy byli w ogóle iść na to kretyńskie spotkanie. Pewnie wcześniej też mieliśmy jakieś stresy, ale przynajmniej nie wiedzieliśmy, jakie to wszystko jest skomplikowane. Teraz już wiemy i... jest jeszcze gorzej.

– Pewnie tak, ale pomyśl tylko o tamtych parach. – Zamyślił się. – Sam nie wiem, ale na ich tle chyba nie wypadamy najgorzej.

– Nie powiem, żeby to była wysoko ustawiona poprzeczka – skwitowała kwaśno.

– Zobaczysz, będzie... lepiej.

– A jednak zawahałeś się. – Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

– Ja? Kiedy?

– Wcale nie jesteś przekonany, że będzie lepiej. Przyznaj się, że żałujesz, żeśmy się pobrali. Uważasz, że lepiej nam szło przed ślubem.

– Czy ja kiedykolwiek powiedziałem coś takiego? Proszę nie przypisywać

mi własnych myśli.

– Po prostu tylko na głos je wypowiadam.

– A kto cię do tego upoważnił? Jak będę chciał coś powiedzieć, zrobię to sam, bez niczyjej pomocy.

– Sęk w tym, że ty nigdy nic nie mówisz, tylko... tylko... dajesz do zrozumienia.

– Co takiego niby daję do zrozumienia?

– Dajesz do zrozumienia, że żałujesz, żeśmy się pobrali.

– Niczego nie żałuję – oświadczył z naciskiem.

– No to dlaczego się na mnie drzesz?

– Żeby ci udowodnić, że mówię, a nie daję do zrozumienia.

– Świetnie. Wobec tego spróbuj powiedzieć, że jesteś szczęśliwy w małżeństwie. Że jesteś całkowicie zadowolony i niczego nie żałujesz.

– Hannah, zdawało mi się, że mamy się nie kłócić. – Głęboko zaczerpnął tchu.

– Ja się nie kłóczę. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Chciałabym, żebyś był wobec mnie absolutnie szczerzy. Nie rozpłaczę się, nie będę zła... ani nic z tych rzeczy. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Czy... czy gdybyś... miał się ze mną jeszcze raz... ożenić... to byś się na to... zdecydował?

– Twoje pytanie nie ma najmniejszego sensu. Jesteśmy małżeństwem i ja, osobiście, nie zamierzam się z tobą rozstawać. Czy to ci nie wystarcza? – Chciał jej dotknąć, ale się odsunęła.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Owszem, jesteśmy małżeństwem i obydwójce nie lubimy niepowodzeń. Żadne z nas nie lubi się wycofywać. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że wszystko nam się dotąd udawało. Staramy się jak możemy, i tak dalej. Jednak... gdybyśmy się nie pobrali... gdybyś mógł cofnąć czas o dziewięć miesięcy, czy... też byś się ze mną ożenił?

– Wiedząc to wszystko, co teraz wiem? – Upewnił się, ciałniej dopinając złotą bransoletę rolexa.

– Tak, wiedząc to wszystko, co już wiesz – potwierdziła. – Poczula, jak zaciska się na jej ciele cholerna obręcz doktora Rusmana.

Milczenie Marca trwało całą wieczność.

– Nie – odpowiedział w końcu z przeciągłym westchnieniem. – Jeśli mam być absolutnie szczerzy, a tego sobie sama zażyczyłaś, to nie. Najprawdopodobniej nie zdecydowałbym się na małżeństwo. Ani z tobą, ani z nikim innym. To znaczy... małżeństwo to o wiele bardziej złożona sprawa, niż dawniej sądziłem. Gdybym z góry o tym wiedział, zapewne wolałbym pozostać w wolnym stanie. Ale – dorzucił czym prędzej widząc, że Hannah błędnie – gdybym nie wiedział tego, co wiem... zrobiłbym to jeszcze raz. Jeszcze raz ożeniłbym się z tobą. Co więcej, mimo moich obecnych

doświadczeń nadal pragnę być twoim mężem. Rozumiesz?

– Nie rozumiem – odparła nieufnie.

– Zaraz ci wytłumaczę – nie ustępował. – Popatrz, przeżyliśmy wiele trudnych momentów, ale mamy też za sobą cudowne chwile. To jest jak kolejka w lunaparku. Być może, gdybyś wiedziała, jaka szalona jazda cię czeka, w ogóle byś nie wsiadła. Powiedzmy jednak, że nie wiedziałaś i twój wagonik już ruszył. Teraz już za nic w świecie nie zrezygnowałabyś z tych wariackich emocji, nawet z przerażenia. Za żadne skarby nie zgodziłabyś się wysiąść. Czy mnie rozumiesz?

– Rozumiem, jednak istnieje pewna zasadnicza różnica – skwitowała jego wywód półgłosem. Pozwoliła się jednak przytulić.

– Jaka różnica, kochanie? – Ugryzł ją leciutko w kark.

– Nie znam nikogo, kto by wyskoczył w biegu z kolejki w lunaparku, ale znam bardzo wiele osób, które zrezygnowały w biegu z małżeństwa.

ROZDZIAŁ 11

Urząd Miejski

– Najmocniej przepraszam, panie Harrell, ale zdaje się, że mamy pewien kłopot.

– Przywykłem już do tego, pani Sheldon. Co się stało tym razem?

– Chodzi o metryki ślubu, które przeczucaliśmy w komputerze na nowy system.

– Tak?

– Zdaje się, że w całym zamieszaniu zgubiliśmy jeden dzień.

– Zgubiliśmy dzień?

– Tak, proszę pana. Wykasowaliśmy niechcący oficjalny zapis wszystkich ślubów zawartych dwunastego grudnia ubiegłego roku. Wie pan jak to bywa, kiedy się pracuje na nowym sprzęcie.

– Tego mi tylko brakowało, pani Sheldon. Czy chce mi pani powiedzieć, że wszystkie małżeństwa zawarte tego dnia są nieważne?

– Chwilowo, obawiam się, tak. To jednak nie powinien być zbyt wielki problem. W naszych rejestrach figurują tylko cztery małżeństwa zawarte tego dnia. W zasadzie musimy tylko zawiadomić wszystkie zainteresowane pary i poprosić o dostarczenie nam metryk ślubnych, żebyśmy mogli z powrotem wprowadzić dane do komputera.

– To rzeczywiście nie powinien być żaden problem.

- Absolutnie żaden.
- Wobec tego niech mi pani powie, pani Sheldon, czy był sens zawracać mi głowę?
- Absolutnie najmniejszego sensu.
- Czy mam rozumieć, że mogę pani powierzyć dopilnowanie tego, żeby wszystko jak najprędzej wróciło na miejsce?
- Absolutnie może mi pan zaufać.
- Pani Sheldon, daję pani czas do piątku.
- Tak jest, panie Harrell. Już dzisiaj zawiadomię zainteresowane pary i zostawię im dwa dni na dostarczenie metryk. Mam tego... nadzieję, że zastanę wszystkich w Nowym Jorku.
- Bardzo panią proszę, żeby nie wynajdywać bez potrzeby nowych problemów.
- Tak jest, panie Harrell.
- Aha i jeszcze coś, pani Sheldon. Nie życzylibym sobie, żeby ta sprawa wyszła poza ściany mojego gabinetu.
- Oczywiście, że nie. To znaczy, oczywiście, że tak. Zaraz się tym zajmę.

OBSR

- Jest do pana telefon, panie Welles. Dzwoni pani Sheldon z Urzędu Miejskiego, mówi, że to bardzo pilna sprawa.
- Czy nie mogłabyś jej spławić, Carrie? – Mark zwrócił się do sekretarki. Już w tej chwili powinien być na zebraniu na drugim końcu miasta. – Dowiedz się, o co jej chodzi. Pewnie dzwoni w sprawie ulg podatkowych dla Gedrona. – Pośpiesznie złożył papiery na biurku. – Aha, Carrie, od Marchama pojedę już prosto do domu. Powiedz tej kobiecie z Urzędu Miejskiego, że jeśli chce ze mną osobiście porozmawiać, może zadzwonić w piątek, kiedy wrócę z Detroit.

Unicom

- Czy mogę prosić panią Hannah Welles? Moje nazwisko Sheldon.
 - Z kim pani chce mówić?
 - Z panią Welles. Z panią Hannah Welles.
 - Welles? Proszę chwileczkę zaczekać.
- Pani Sheldon zabębniła palcami po biurku. Wellesowie byli ostatni na jej liście. Z poprzednimi małżeństwami poszło jej gładko. Albo obiecali sami podrzucić dokumenty do magistratu, albo podać przez urzędowego gońca.

Musi jeszcze tylko załatwić Wellesów i będzie miała całą sprawę z głowy.

– Bardzo mi przykro, ale w wykazach Unicomu nie mamy nikogo o tym nazwisku.

– Ojej, to straszne. Zaraz... chwileczkę... A może pracuje u państwa Hannah Logan? Może nadal używać nazwiska panieńskiego.

– Logan? Zaraz... zaraz... Logan. Jest! Hannah Logan. Wewnętrzny 421. Połączyć panią?

– Bardzo proszę.

– Zespół Gospodarki Przestrzennej. Słucham? – rozległ się w słuchawce kobiecy głos z akcentem brooklyńskim.

– Moje nazwisko Sheldon. Dzwonię z Urzędu Miejskiego Manhattanu. Czy mogę prosić pannę Logan? Pannę Hannah Logan?

– Bardzo mi przykro, ale wyszła jakieś dwadzieścia minut temu. Będzie w biurze w piątek.

– W piątek? Chce mi powiedzieć, że nie będzie jej jutro ani pojutrze?

– Niestety, nie. Wyjeżdża służbowo na dwa dni. Czy chciałaby pani zostawić dla niej jakąś wiadomość?

– Sama nie wiem... Nie, chyba nie. Piątek to stanowczo za późno. Spróbuję ją złapać w domu.

Urząd Miejski

– Od pewnego czasu dzwonię pod ten numer i nikt nie odbiera. Czy byłaby pani uprzejma sprawdzić, dlaczego – zwróciła się pani Sheldon do telefonistki w biurze numerów.

– Proszę chwileczkę zaczekać.

Pani Sheldon nerwowo zerknęła na zegarek. Za kwadrans siódma. Już od godziny powinna być w domu. Strach pomyśleć, jak Charlie i dzieci poradzą sobie z obiadem. Nie miała jednak wyjścia. Obiecała Harrellovi, że załatwi całą sprawę do piątku. Bogu dzięki, że Wellesowie przynajmniej byli jeszcze w mieście. Żeby tylko udało jej się złapać chociaż jedno z nich...

– Bardzo mi przykro. Nastąpiła zmiana numeru, a nowy jest zastrzeżony.

– To niemożliwe, proszę pani. Dzwonię z Urzędu Miejskiego w sprawie służbowej...

– Naprawdę bardzo mi przykro, ale nie wolno nam ujawniać numerów zastrzeżonych.

– Przecież tłumaczę pani...

– Czy mam panią połączyć z moim zwierzchnikiem?

– Tak... to znaczy nie, nie trzeba. – Pani Sheldon gniewnie odłożyła słuchawkę na widelki. W chwilę później wykręcała służbowy numer Marca

Wellesa, licząc na to, że jego sekretarka została w pracy po godzinach i poda jej domowy telefon.

W OBSR nikt już nie podniósł słuchawki.

W Unicom powiodło jej się nie lepiej. W końcu zadzwoniła do Działu Motoryzacji, gdzie podali jej adres Wellesa. Wreszcie mogła wykręcić własny numer. Jej mąż nie był specjalnie zachwycony.

– Strasznie mi przykro, Charlie. Wiem, jaką wagę przykładasz do naszych wspólnych obiadów, ja zresztą też, ale nic na to nie poradzę, że muszę tę parę złapać dziś wieczorem. Oboje wyjeżdżają aż do piątku i jeśli teraz nie uda mi się tego załatwić, Harrell urwie mi głowę. Mają zastrzeżony numer, więc muszę wybrać się do nich do domu i osobiście im wszystko wyłożyć. Mam nadzieję, że będą mieli metrykę ślubu pod ręki, wtedy rzeczywiście będę miała problem z głową.

– Chcesz powiedzieć – zarechotał Chanie – że dopóki nie wprowadzisz danych do komputera, oni żyją ze sobą na kocią łapę?

– No, niezupełnie. W zasadzie, dopóki mają oficjalne metryki ślubu, ich małżeństwo jest prawomocne. Gdyby jednak zawieruszyli gdzieś dokument, wybuchł pożar czy coś w tym rodzaju, nie byłibyśmy w stanie wydać im duplikatu.

– No to trzeba trzymać kciuki, żeby ją mieli.

– Z pewnością mają – zaśmiała się Bea Sheldon. – Nie ma jeszcze roku, jak się pobrali. Pewnie leży w rzeźbionej szkatułce, przewiązana czerwoną wstążeczką. Albo trzymają ją w sejfie.

– Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? – Charlie zaśmiał się ponownie. – Jeśli któryś z tych mężulków ma ochotę uciec, wystarczy, że podrze metrykę i będzie wolny jak ptak.

– A może zrobi tak jedna z tych żon – odcięła się Bea Sheldon – które musiały dotąd wyczekiwać na nich godzinami, sprzątać po nich, zbierać ich ciuchy po całym domu, wysłuchiwać idiotycznych uwag...

– Co ty mi tu opowiadasz, laluniu. Chcesz powiedzieć, że jakby ci się przytrafiła taka gratka, to podarłabyś metrykę i zaczęła żyć na własną rękę?

– Charlie, ty chyba żartujesz. Za nic w świecie! – Bea wybuchnęła śmiechem.

– Nno... dobra dziewczyna.

– A ty, Charlie? Chciałbyś z powrotem zostać kawalerem?

– Co to, to nie, laluniu. Za dobrze mi z tobą. – Znów zaśmiał się, tym razem jeszcze głośniejsz. – Chociaż czasem muszę zrobić jakiś mały skok w bok.

– Mój słodki Chanie, kocham cię!

– Powiem ci coś, Bea. Jedź tam taksówką i potem taksówką wróć do domu. Żadnego tłuczenia się metrem po ciemku. Albo wiesz co, podjadę po

ciebie do tego mieszkania. Poproszę Jeannie, żeby położyła dzieciaki spać.

– Moglibyśmy w drodze do domu skoczyć gdzieś na drinka.

– Niezły pomysł. Może do Victor's. Place? Zwykle gra u nich ten kwartecik jazzowy...

– I je się przy świecach...

– Laluniu, przy świecach jesteś zawsze anielsko piękna.

439 Park Avenue

– Ciągle jeszcze jesteś na mnie zła?

– O co niby mam być zła na ciebie? – Hannah układała w misce liście sałaty. Marc kładł befsztyki na patelnię.

– Wiesz dobrze, o co. – Starał się nie podnosić głosu. – O to głupie pytanie.

– Głupie? – Hannah zaczęła rwać sałatę na drobne strzępki. – Nie widzę w nim nic głupiego. Chciałam tylko wiedzieć, czy jakby przyszło co do czego, ożeniłbyś się ze mną jeszcze raz.

– Więc jednak pamiętasz. – Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Doskonale pamiętam również odpowiedź. – Wzięła następną główkę sałaty.

– Hannah, przecież robimy co tylko w naszej mocy. – Chciał obrócić ją do siebie, ale nie drgnęła nawet. – Widziałaś dawniej coś takiego? Dopiero wpół do ósmej, a my już jesteśmy oboje w domu, wspólnie szykujemy obiad i redukujemy ogniska stresu, jakby powiedział nasz przyjaciel, doktor Rusman. Nie ma sensu zamartwiać się tym, co mogło, ale nie musiało zdarzyć się w przeszłości. Myślmy raczej o chwili obecnej i o naszej wspólnej przyszłości. Hej, pomyśl tylko, za miesiąc mamy pierwszą rocznicę ślubu. Już prawie rok, jak jesteśmy małżeństwem, chociaż nie pozwalasz się nazywać panią Welles. – Pocałował ją w czubek nosa. – W jaki sposób chciałabyś uczcić naszą pierwszą rocznicę?

– Nie zapominaj, że dwunastego będziesz służbowo w Los Angeles. – Posłała mu udręczony uśmiech. – A ja najprawdopodobniej zostaną przez Unitom wysłana do Londynu. – Jakoś nie wspomniała mu dotąd, że Unitom rozważał możliwość wejścia na rynek międzynarodowy Londyn miał być pierwszą zagraniczną placówką firmy. Wiadomo było, że jeśli projekt zostanie zatwierdzony, jej kandydatura na szefową filii ma bardzo poważne szanse. To oznaczało dwa do sześciu miesięcy poza krajem. Albo nawet dłużej, jeśli zechce. Właśnie... jeśli zechce. Ostatnio wcale nie była pewna, czego chce.

– Wiesz co, mam pomysł – przerwał jej rozmyślenia Marc. – Jeżeli nie

pojedziesz do Londynu, mogłabyś przylecieć do mnie do Los Angeles. Świętowalibyśmy razem, w tym samym miejscu. Przyznasz, że to byłby ewenement – zakończył z porozumiewawczym uśmiechem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił domofon.

– Odbiorę – uprzedziła go. – Wrzuć befsztyki do piekarnika. Zjemy, spakujemy się i spróbujemy chociaż raz porządnie się wyspać.

– Sami państwo rozumieją – ciągnęła pani Sheldon, przycupnąwszy skruszona na brzeżku sofy w salonie – że jest to właściwie drobne niedopatrzenie w zakresie... prowadzenia ksiąg. Potrzebna mi jest tylko państwa metryka ślubu. Wypełnimy lukę w dokumentacji i wszystko będzie z powrotem w porządku.

– Metryka ślubu – powtórzyła Hannah, patrząc tępo na Marca. – Ty ją wtedy brałeś w Urzędzie Miejskim, prawda?

– Coś ci się chyba pomyliło. – Zmarszczył z wysiłkiem czoło. – Wydaje mi się, że pamiętam, jak wkładałaś ją do torebki. Nie... zaczekaj... do teczki. Tak, do teczki, jestem prawie pewien.

– Ja jej na pewno nie wzięłam. Świetnie pamiętam, że zrobiło się późno i denerwowałam się, że nie zdążę złapać taksówki...

– Ja też przecież musiałem pędzić do New Jersey...

– Mam wrażenie, że włożyłeś ją do kieszeni marynarki. Mam tę scenę jeszcze żywo przed oczami...

– Tak czy owak, ktoś z nas musiał ją wziąć – snuł domysły Marc. – To był zupełnie zwariowany dzień. Czekaj, niech się tylko zastanowię...

Pani Sheldon wiodła osłupiałym spojrzeniem od jednego do drugiego. Poprzednie małżeństwa nie miały najmniejszego problemu ze znalezieniem swoich metryk. Ona sama własne świadectwo ślubu oprawiła w rzeźbioną, pozłacaną ramkę i powiesiła w sypialni obok lśniącej, barwnej fotografii ślubnej.

Hannah wyszła z pokoju pogrzebać w szufladach biurek obojga. Marc zaproponował pani Sheldon drinka dla skrócenia oczekiwania.

– Dziękuję bardzo – wymówiła się uprzejmie. – Przepraszam, ale wydaje mi się, że coś się przypala – zwróciła się po chwili do Marca.

– Cholera – zaklął, pociągnąwszy nos. – Zapomniałem na śmierć o befsztykach. – Pognał do kuchni, gdzie przywitał go gęsty dym, sączący się przez szpary w piekarniku.

– Nie ma – oznajmiła bezradnie Hannah po powrocie do salonu.

– Jezus Maria! – przeraziła się pani Sheldon. – Musi się znaleźć! – wykrzyknęła, zrywając się z kanapy.

– Gdzie mój mąż? – Hannah rozejrzała się po pokoju. Mąż? Czy w

świetle prawa nadal był jej mężem?

– Befszytki zaczęły się przypalać – wyjaśniła pani Sheldon.

– Pierwszy wspólny obiad w domu od tygodni. Jedna wielka rozpacz – westchnęła Hannah.

– Pani Welles, pani musi gdzieś mieć tę metrykę. Może złożyliście ją państwo w sejfie w banku?

– Befszytki się... – zaczął Marc, wkraczając z powrotem do salonu.

– Wiem – uprzedziła go Hannah. – Befszytki się przypaliły, a metryki nigdzie nie można znaleźć!

– Co teraz będzie? – Mężczyzna posłał pani Sheldon zaszępione spojrzenie.

– Właśnie, co będzie? – powtórzyła za nim Hannah, również zwracając się do pani Sheldon.

– Ładne rzeczy. – Urzędniczka z powrotem opadła na sofę. Prawdę mówiąc, na coś takiego nie była w ogóle przygotowana. Zupełnie nie podzielała zdania swojego zwierzchnika, że problemami należy się zajmować dopiero wtedy, kiedy człowieka zaskoczą.

Hannah i Marc popatrzyli na siebie. Usiedli.

– Może jednak państwo spróbowałiby poszukać. To by szalenie uprościło wszystko – wybąkała z rozpaczą.

– Może w ogóle nie wzięliśmy jej i dalej gdzieś się poniewiera w Urzędzie Miejskim – zasugerował Marc.

– Nie ma co na to liczyć. Gdybyście ją tam państwo zostawili, zostałyby wam odesłana po trzech dniach. – Na twarzy pani Sheldon pojawił się cień nadziei. – Może właśnie tak było? Przyszła do was pocztą i gdzieś upchnęliście tę kopertę.

Oboje zamyślili się głęboko.

– Nic takiego sobie nie przypominam – oświadczył w końcu Marc. – A ty?

Hannah pokręciła głową przecząco. Pani Sheldon westchnęła ciężko.

– Pójdę, przerzucę papiery, może gdzieś znajdę. – Marc podniósł się z krzesła.

– Ja też jeszcze raz wszystko przeszukam – dorzuciła Hannah wstając. – Nie będziemy pani dłużej zatrzymywać. Jak tylko znajdziemy, prześlemy ją.

– Czy państwo na pewno zdają sobie sprawę z wagi tego dokumentu? – Pani Sheldon przyglądała się małżeństwu z niepokojem.

– Oboje pracujemy w służbach administracyjnych i dobrze wiemy, co znaczy porządek w papierach. – Marc posłał jej pokrzepiający uśmiech.

– Nie o to chodzi, proszę pana. Bez metryki... jako jedyne oficjalnego dokumentu zawarcia ślubu... w świetle prawa... no... przestajecie państwo być małżeństwem. – Pani Sheldon nerwowo ścisnęła torebkę w rękach. –

Oczywiście, zawsze możecie państwo... pobrać się ponownie...

Kawiarnia „Baited Hook” przy Pięćdziesiątej Siódmej

– Jak to: nie jest mężatką? – Spóźniona Laura dosiadła się do stolika. Dzięki przeczności Diane czekał na nią talerz firmowej sałatki. Połała go obficie sosem o dźwięcznej nazwie „Tysiąc Wysp”.

– Nie może znaleźć metryki ślubu – wyjaśniła Pam, przełknąwszy solidny kęs swojego rumsztyka.

– To przecież nic poważnego – wzruszyła ramionami Laura. – Wystarczy, że napisze do urzędu z prośbą o przesłanie kopii. – Zaczęła wydłubywać kawałki sera z sałatki. Gdyby przyszła na czas – dopilnowałaby, żeby podano sałatkę z cheddarem.

– Nic z tego – pośpieszyła z wyjaśnieniem Diane, nakładając na swój hamburger sałatę i plasterki pomidora. – Komputer skasował wszystkie oficjalne dane. Bez metryki nie ma żadnego prawomocnego dokumentu, że Hannah i Marc są małżeństwem.

– Ależ to nonsens! – oburzyła się Laura.

– Niestety, to fakt – skomentowała sucho Hannah. – Nie jesteśmy z Markiem małżeństwem. Nasz ślub jest nieważny.

– Wielkie rzeczy – zbagatelizowała Pam, nadziewając na widelec frytkę. – Najwyżej wpadniecie jeszcze raz do magistratu, aby wziąć ślub.

– Jasne – potwierdziła Diane. – W sumie to drobnostka.

– Wiecie co? – rozpromieniła się Laura. – Urządzimy tym razem porządny wieczór panieński. Rok temu byłyśmy wszystkie akurat w tym czasie zbyt zajęte. Nie uważacie, że to świetny pomysł?

– Zgadza się z tobą – poparła ją Pam. – Przyszło mi do głowy, że tym razem... oczywiście, wiem, że to nie moja sprawa, ale... może tym razem, skoro jest czas, żeby wszystko zaplanować, moglibyśmy urządzić wam ślub z prawdziwą pompą. Właśnie skończyłam czytać „Tak przetrwać w małżeństwie” Bumbaki i Loewena. Obaj twierdzą, że okoliczności zawarcia małżeństwa mają decydujący wpływ na jego przebieg.

– Czy możesz mi powiedzieć, Pam – spytała Hannah z rozbawieniem – po jakie licho, będąc kobietą samotną, faszserujesz się poradnikami dla małżeństw?

– No wiesz – zaczerwieniła się Pam – nie jestem samotna z wyboru. A kiedy spotkam wreszcie mężczyznę mojego życia, to będę chciała mieć pewność, że on rzeczywiście jest odpowiednim partnerem dla mnie. Jeśli wierzyć specjalistom większość kobiet lokuje uczucia zupełnie nieodpowiednio, a mężczyźni stworzeni dla nich umykają im sprzed nosa.

Jednym słowem... jeżeli spotkam mojego mężczyznę i... jeśli się pobierzemy... to chciałabym być świadomym uczestnikiem tego przedsięwzięcia. Czy to coś złego?

– Osobiście uważam, że w tych sprawach należy zdać się wyłącznie na wycucie – zawyrokowała Laura z uśmiechem znawcy, wydymając usta pociągnięte perłową szminką. – Żadne umiejętności tego nie zastąpią. Jednak pomysł Pam, żeby tym razem urządzić huczny ślub, uważam za znakomity – zwróciła się do Hannah.

– Mieli zupełnie przyzwoitą uroczystość – sprzeciwiła się Diane. – Liczy się sama przysięga małżeńska a nie to, w jakich okolicznościach ją składamy. Osobiście nie widzę najmniejszego powodu, żeby robić wokół ślubu tyle szumu. Jeszcze chwila, a zaczniesz się rwanie włosów z głowy, że suknia nie jest taka jak trzeba, klótnie przy ustalaniu listy gości, kuzynka się obrazi, że nie została druhną, a organista pijany...

– Święte słowa – zachichotała Laura. – Na naszym ślubie pięcioletnia siostrzeniczka Dona, która niosła za mną kwiaty, tak przejęła się swoją rolą, że zwymiotowała w drodze do ołtarza, tuż obok mojej sukni ślubnej.

– W zeszłym miesiącu byłam na bardzo uroczystym ślubie na Long Island – wtrąciła Pam. – Wszystko było na wysoki połysk. Corey, panna młoda, miała na sobie zabójczą suknię z białego jedwabiu od Beene'a. Podobno kosztowała ponad trzy tysiące dolarów.

– Nie wątpię, że była warta każdego włożonego w nią centa – zakpiła Laura.

– Gdybym miała o parę tysięcy dolarów za dużo – westchnęła Diane, wznosząc oczy do nieba – z pewnością nie topiłabym ich w sukni na jeden raz.

– A któż powiedział, że na jeden raz? – sprzeciwiła się Laura, wkładając do ust czarną oliwkę. – Może ją zawsze włożyć, kiedy będzie powtórnie wychodzić za mąż.

– No popatrz, Hannah – zwróciła się do przyjaciółki Pam. – Gdybyś za pierwszym razem kupiła suknię, mogłabyś w niej wystąpić, zawierając kolejny związek.

– Nie mam najmniejszego zamiaru ponownie wychodzić za mąż – wymamrotała gniewnie Hannah.

– Ma rację – poparła ją Laura. – W pewnym sensie, to jej pierwszy ślub, no – w każdym razie legalnie.

– Nieprawda – zaoponowała Diane. – Pierwszy ślub był przecież całkiem legalny, przynajmniej do chwili, kiedy komputer wymazał dane. Wobec tego w pewnym sensie to jest jednak drugi ślub.

– Żadnego drugiego ani nawet pierwszego ślubu nie będzie, chyba słyszycie, co mówię – oświadczyła Hannah, bawiąc się kawałkami kurczęcia

na talerzu.

Trzy pary oczu spoczęły na jej twarzy.

– Zastanów się, co ty opowiadasz – zbesztiała ją Pam.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że Marc nie ma zamiaru powtórnie się z tobą ożenić?

– Nie – zaprzeczyła cicho Hannah. – Twierdzi, że ożeni się ze mną drugi raz. Sęk w tym, że nie ożeniłby się pierwszy raz, gdyby znowu miał możliwość wyboru.

– Przyznam, że nic z tego nie rozumiem – wyjąkała Diane. Pozostałe koleżanki wyglądały na równie zdezorientowane. Była cały czas taka dumna z siebie, taka chłodna, opanowana i pozbierana. Wszystkie fakty układały się w logiczną całość! Jednak trzy pary wbitych w nią oczu sprawiły, że nagle straciła panowanie nad sobą. Czuła, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem. W głowie miała zupełny mętlik.

– Nie... nie umiem wam tego wytłumaczyć! Marc... Marc, moim zdaniem wcale nie chce być żonaty. I ja... kto wie, czy też nie chcę być wolna. Tyle rzeczy... wyszło na jaw, których nie przewidzieliśmy. Stawaliśmy na głowie, żeby sobie wzajemnie iść na rękę, okazywać tolerancję i wyrozumiałość. W efekcie nieźle nas od tego rozboleła głowa. Wreszcie zaczęliśmy się kłócić, chociaż mieliśmy tego nie robić... Padły słowa, które nigdy nie powinny były paść między nami... więc teraz starannie obchodzimy się dookoła. – Westchnęła ze znużeniem. – Musiałabym mieć źle w głowie, żeby pchać się w to wszystko ponownie.

Pam otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Hannah okazała się szybsza.

– I bardzo cię proszę, daruj sobie błyskotliwe cytaty z twoich poradników.

– Bardzo cię przepraszam – Pam wyglądała na urażoną – ale chciałam cię tylko spytać, czy ty go nadał... kochasz?

– To właśnie jest najgorsze. – Długo wstrzymywane łzy popłynęły szerokim strumieniem, skrapiając kurczę na talerzu. – Kocham go jak nie wiem co. Ale nie mogę za niego wyjść po raz drugi ani zresztą po raz pierwszy. W ogóle nie mogę za niego wyjść! On wcale nie cha być żonaty. Wiem o tym dobrze.

– Przecież mówi, że chce – zwróciła jej uwagę Pam.

– A co ma niby powiedzieć? – spytała bezradnie Hannah. – O rany, kochana, co za zrządzenie losu! już myślałam, że wdepnąłam na amen, bo nie jestem facetem, który zrywa umowy, a tu nagle okazuje się, że nie ma żadnej umowy i możemy być wolni, nie tracąc twarzy. – Powiodła wzrokiem po przyjaciółkach. – Czy Marc powiedziałaby kiedykolwiek coś takiego?

Musiały się z nią zgodzić, że nie było to prawdopodobne. Był na to zbyt solidnym mężczyzną. Zawsze zachowywał się przyzwoicie.

– Ale jeżeli nie masz racji? – nie ustępowała Pam. – Jeśli on naprawdę chce się z tobą ożenić?

– Jeśli tak – powiedziała Hannah powoli – to czemu wobec tego szykuje walizki na wyjazd do Los Angeles?

– A ty? – dopytywała się Diane. – Słyszałam dzisiaj, że wyjazd do Londynu jest aktualny. Pojedziesz?

– Powiedziałam Briskinowi, że dam mu odpowiedź w ciągu trzech dni. – Papierową serwetką otarła łyzy z policzków. – Uprzedziłam go, że z powodu ślubu mamy mogłabym jechać dopiero za dwa tygodnie. Nie miał żadnych zastrzeżeń.

– A co twoja matka na to, że nie zamierzacie się ponownie pobrać? – zagadnęła Laura.

– Nie wie nawet, że w ogóle nie jesteśmy małżeństwem. Nie miałam serca jej o tym mówić. Jest cała w skowronkach. Oboje z Simonem są bez reszty pochłonięci ślubem i podróżą poślubną. Myślę, że zaczekam z tą wiadomością, aż wrócą z rejsu dookoła Wysp Kanaryjskich.

10 browning, bar przy Dwudziestej Trzeciej Wschodniej.

– Jesteś pewien, że masz ochotę na jeszcze jednego drinka, Marc? – upewniał się John Moss. – Nie masz specjalnej wprawy w picciu, a koktajle potrafią być zabójcze.

– Nie pytaj się, tylko mu dolej – przerwał mu Harris. – Nie widzisz, że chłop ma minę, jakby go z trumny wywlekli? To nasz kawalerski wieczór. Zdrowie wszystkich wolnych mężczyzn!

– Nalej do pełna – zażądał Marc, dziwnie niewyraźnie.

– Nic z tego nie rozumiem – przyznał John, popijając martini. – Dlaczego Hannah nie chce powtórnie wyjść za ciebie? O ile wiem, nigdy nie rozmawialiście o rozwodzie, prawda?

– Prawda – potwierdził Marc, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć Johna. – Nie myśleliśmy o rozwodzie. W mojej rodzinie nie było nigdy rozwodów, a Hannah uważa... – Co też takiego uważa? Miał to prawie na końcu języka. Niestety, język trochę mu zeszywniał. Właściwie całą twarz miał dziwnie odrętwiałą. Zachichotał. – Mogłem sobie darować koszmarne weekend i trzysta dolarów, gdybym wiedział, że kilka manhattanów o wiele szybciej redukuje stres niż oddychanie, wizualizacja i co tam jeszcze.

– Tak, ale po seminarium nie miałeś kaca – zauważył przytomnie John.

To fakt. Już teraz bolała go trochę głowa, strach pomyśleć, jak będzie się czuł rano. Nie mógł pojąć, dlaczego, mimo kompletnego odrętwienia, nadal jest tak cholernie nieszczęśliwy.

– Mówię ci, chłopie, lepiej bierz nogi za pas. – Harris wałnął go przyjacielsko po plecach. – Głupi by nie skorzystał z takiej okazji. Żadnych papierów, żadnego włóczenia się po sądach, żadnych pozwów o alimenty. Jesteś czysty jak łąka. Pora sobie powiedzieć, że małżeństwo to wcale nie jest raj na ziemi.

– Nie byłbym taki pewny – przerwał mu John. – Marc i Hannah naprawdę bardzo do siebie pasują. Oczywiście, pierwszy rok jest zawsze bardzo trudny...

– Pierwszych jedenaście miesięcy – poprawił go Marc z pijacką dokładnością.

– Pamiętam, jak nam nie szło z Liz przez pierwszy rok... – zaczął wspominać John.

– A potem przez drugi i przez trzeci – podchwycił Harris.

– To fakt – przyznał John. – Wcale nam nie szło lepiej. Ale słyszałem, że zwykle z czasem się poprawia.

– A ja uważam, że Marc, póki czas, powinien dać nogę – upierał się Harris.

– Lepiej, żebym dał nogę – powtórzył za nim Marc, wypiwszy jednym haustem pół manhattana. – Dobrze, że ona mnie nie chce. Pytałem? Pytałem. Powiedziała, że nie chce. Nie to nie. – Dopił manhattana i tępo zapatrzył się w pusty kieliszek.

– Przyznaj się chłopie, ty ją bardzo kochasz. – John pocieszająco uściśnął jego ramię.

– Bardziej, niż przypuszczałem. – Otrzeźwiał na moment. – Kiedy... powiedziała, że mnie nie chce... czułem się, jakby mi się cały świat zawalił. Kocham ją, Moss... kocham. Hannah... to cały mój świat, to sens mojego życia, moje serce...

– Moja kula u nogi – ściągnął go na ziemię Harris.

– Spróbuj może spytać ją jeszcze raz – zasugerował łagodnie John, rzucając Harrisowi ostre spojrzenie. – Może tym razem powinieneś ją poprosić na klęczkach? Wiesz o czym mówię, no nie? Postaraj się być naprawdę romantyczny. Kobiety to uwielbiają.

– Tak mi radzisz? – Marc z wysiłkiem uniósł głowę. Ważyła chyba ze sto kilo. Z nadzieją w oczach spojrzał na Johna. Na obu Johnów.

– Nie bądź głupi, Marc – nie ustępował Harris. – Masz okazję wyjść z tego suchą nogą.

– Właśnie, właśnie. – Głowa Marca opadła na prawe ramię. – Sam już nie wiem. Po prostu... sam... nie wiem – zakończył z wysiłkiem.

– Rób, jak uważasz – nastroszył się Harris. – Nikt ci nie broni, żebyś się przed nią czołgał na czworakach.

Marcowi oczy uciekły na boki. Patetycznym gestem uniósł rękę do góry.

– Nie będę się czołgał! – wykrzyknął, stając się natychmiast ośrodkiem zainteresowania całego baru. – Słyszysz mnie, doktorze Rusman? Marc nie będzie się przed nikim czołgał! – Opuścił rękę i chwycił się kontuaru, w ostatniej chwili ratując się przed upadkiem z barowego stołka. – Kłękę przed nią, ale nie będę się czołgał. – Puścił oko do Harrisa Portera.

– Właśnie o to mi chodzi – zaśmiał się John. – Musisz się jej oświadczyć z fasonem.

Harris pokiwał głową z rezygnacją.

– Muszę tylko poprosić jej sekretarkę, żeby wyznaczyła mi termin spotkania – oznajmił Marc, upijając łyk z pustego kieliszka.

ROZDZIAŁ 12

439 Park Avenue

Hannah, powłócząc nogami, wkroczyła do mieszkania. Zapaliła światło w przedpokoju. Strzepując śnieg z płaszcza, zauważyła, że na wieszaku nie ma jeszcze palta Marca. Poczula dziwny niepokój. Była już prawie dziewiąta.

Rano ledwie zamienili ze sobą parę słów. Marc spał w swoim pokoju. Zerwał się o świcie, żeby spakować bagaż na wyjazd do Los Angeles. Miał odlecieć dopiero jutro, ale z nieznanых powodów postanowił spakować się już rano. Nie powiedział, o której wróci wieczorem, zresztą wcale go o to nie pytała. Nie pytała też, co zamierza zrobić z mieszkaniem, skoro przestali być już małżeństwem. Chociaż skrycie cierpiała, uważała, że rozstanie się bez komplikacji prawnych było w ich przypadku prawdziwym zrzędzeniem losu. Mimo wszystko nie miała dotąd odwagi powiedzieć tego na głos.

Była strasznie naiwna sądząc, że ich związek może się powieść. Nigdy naprawdę nie byli małżeństwem – nie wystarczyło im na to czasu. Dlaczego więc, skoro kariera miała dla niej aż tak wielkie znaczenie, nie mogła wykrzesać z siebie ani krzty entuzjazmu na myśl o wyjeździe do Londynu? Miała przecież pokierować pierwszą zagraniczną filią Unicomu. Gdyby wspomniała o tym Marcowi, z pewnością nie miałyby jej za złe wyjazdu. Przeciwnie, cieszyliby się z jej sukcesu, byłby dumny, starałby się pomóc.

Weszła do sypialni i zaczęła się rozbierać. Znużona, przysiadła w samej

halce na łóżku, czy raczej wielkim małżeńskim łożu. Niestety, na palcach mogłaby policzyć noce, które tutaj spędzili. Tak bardzo troszczyli się o siebie, że nawet kiedy się kochali, Marc chyłkiem wymykał się na resztę nocy do swojego pokoju, żeby nie budzić Hannah swoim wczesnym wstawaniem.

Narzuciła szlafrok i wyszła z sypialni. W przedpokoju zawahała się lekko, w końcu jednak skręciła do pokoju Marca. Chciała sprawdzić, czy walizki nadal stoją. Jeśli tak, to znaczy że wpadnie jeszcze do domu przed odlotem. Bardzo na to liczyła. Istniała jednak również możliwość, że Marc po bagaż przyjdzie dopiero nad ranem. Skoro odrzuciła jego propozycję ponownego zamążpójścia, musiała się liczyć z możliwością, że poszedł szukać szczęścia u innej.

Drzwi były zamknięte. Hannah, naciskając na klamkę poczuła, że drży jej ręka. Panika ścisnęła jej gardło. Co będzie, jeśli walizek nie ma...

Wreszcie zdobyła się na odwagę i pchnęła drzwi. Na moment zabrakło jej tchu. Walizek nie było, podobnie zresztą jak wszystkich innych sprzętów Marca. Zniknęło łóżko, biurko, komputer, szafka, szafeczki. W opróżnionej szafie ściennej zostało kilka drucianych wieszaków.

A więc – wyprowadził się na amen. Bez słowa, bez najmniejszego liściku. Poczula przyływ wściekłości i żalu. Miała ochotę czymś cisnąć, ale w tym pokoju nie miała niczego pod ręką.

Najwyżej aparat telefoniczny, który stał na podłodze przy drzwiach. Właśnie dzwonił.

– Halo! – odezwała się nerwowym szeptem.

– Hannah? To ty?

– Mama?

– Dopiero co weszłaś? Masz dziwną zadyszkę.

– Tak... dopiero co weszłam. – Starła się nadać głosowi w miarę normalne brzmienie.

– Marc jest w domu?

– Marc? – Nawet dźwięk jego imienia sprawiał jej nieznośny ból. Czowała się zraniona i nieszczęśliwa.

– Twój małżonek, Marc Welles – uzupełniła Mary zaśmiewając się. – Wiem, że jesteście oboje strasznie zalatani, ale może przypadkiem natknęłaś się gdzieś na niego?

– Nie. On... on wyjechał do Los Angeles.

– Los Angeles? – powtórzyła Mary po chwili ciszy.

– Służbowo. – Hannah zsunęła się po ścianie i przysiadła na podłodze. Przymknęła oczy, żeby powstrzymać napływające łzy.

– Zdawało mi się, że miał do Los Angeles lecieć dopiero we czwartek...?

– Wyjechał... wcześniej. – Przycisnęła rękę do skroni. Czowała, że lada chwila się załamie i wszystko matce wyzna. „Mamo, odszedł ode mnie na

zawsze. Dałam mu wolną rękę, a on skorzystał z tego, zanim zdążyłam się obejrzeć. Poszedł sobie. Jestem sama. Jestem wolna. Jestem strasznie biedna.”

– To niedobrze – zasępiła się Mary. – Simon wyjechał na parę dni i prosił mnie, żebym wyciągnęła od Marca, co się tylko da na temat najnowszych urzędzeń nawigacyjnych, o których mu wspominał.

– Urzędzeń nawigacyjnych? A cóż on może o tym wiedzieć?

– Chyba nie powiesz, że nie opowiadał ci o wakacjach, które spędził w jachtklubie na Rhode Island? Zaraz potem wstąpił na uniwersytet Columbia.

– Naprawdę? Nigdy... nigdy mi o tym nie opowiadał.

– Koniecznie musisz go o to poprosić. Marc to istna kopalnia zabawnych dykteryjek. Rozbawił nas do łez, kiedy przyszedł na obiad, gdy nie było cię w mieście. Dawno nie słyszałam nic tak śmiesznego, jak jego wspomnienia z klubu golfowego w Minnesocie. Tak, Marc to znakomity gawędziarz. Szkoda też, że nie mogłaś słyszeć, jak pięknie grał na banjo Simona. Nigdy mi nie mówiłaś, że masz tak muzycznego męża.

– Na banjo – powtórzyła Hannah ledwie dosłyszalnym głosem.

– No wiesz, ostry dixieland – zaśmiała się Mary. – Wielka szkoda, że on prawie nigdy nie robi tego, co naprawdę lubi.

Hannah nie miała pojęcia, że jej mąż ma jakiegokolwiek zainteresowania poza pracą. Była święcie przekonana, że praca zawodowa wypełnia mu całe życie. Nawet nie podejrzewała, że kiedykolwiek pływał na jachtach, grał w golfa albo że umie grać na banjo i opowiadać dowcipne historie.

– Poprosiłam go – ciągnęła Mary – żeby zawsze, kiedy wyjeżdżasz, wpadał do nas na domowy obiad. Naturalnie przysięgłam mu, że nie podam bakłażana. Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że jest uczulony na bakłażany?

Marc uczulony na bakłażany? Ta informacja przepelniła kielich goryczy.

– Czy nie uważasz, że to jest coś, co mąż sam powinien powiedzieć swojej żonie? – wybuchnęła. – To znaczy, czy..., nie sądzisz, że mężczyzna uczulony na bakłażany ma obowiązek poinformować o tym swoją żonę? Co by było, gdybym na przykład tak przyrzadziła bakłażana, że wcale nie domyśliłby się, że to bakłażan? Mógłby się przecież ciężko rozchorować... może nawet umrzeć! Oczywiście, cała wina byłaby po mojej stronie. To ja powinnam była, zanim włożył mi obrączkę, zapytać: Marc, czy nie jesteś aby uczulony na bakłażany? A może na cukinie? Albo, co nie daj Boże, truskawki? Czy rzodkiewki ci nie szkodzą? A może...

– Hannah, nie wiem, co cię napadło! Przecież ty nigdy nie gotowałaś bakłażana. Muszę powiedzieć, że dosyć dziwnie się zachowujesz. Wiem, że nie lubisz takiego gadania, ale naprawdę uważam, że jesteś przemęczona. Oboje z Markiem potrzebujecie solidnego wypoczynku. Nie mieliście nawet

przyzwoitej podróży poślubnej. Zbliża się rocznica waszego ślubu. Moim zdaniem to świetna okazja, żeby się gdzieś wyrwać. I nie mówię tutaj o jakimś trzydniowym wypadzie, tylko porządnym, solidnym urlopie. Należy się wam co najmniej miesiąc. Oboje od wielu lat harujecie od świtu do nocy. Zobaczysz, że wypoczynek zdziała cuda w waszym małżeństwie. Powiedz Marcowi, że Simon na pewno zgodzi się pożyczyć mu banjo, żeby mógł wygrywać dla ciebie miłosne serenady – zakończyła ze śmiechem.

Myśl, że bezpowrotnie utraciła szansę na to, by Marc zagrał jej serenadę na banjo, doprowadzała ją do szaleństwa! Już otwierała usta, żeby wyznać matce bolesną prawdę, kiedy Mary niespodziewanie zmieniła temat i zaczęła snuć plany związane ze zbliżającym się ślubem. Słyszając radosne podniecenie w jej głosie, Hannah poczuła, że nie ma serca obarczać matki swoimi troskami.

– Zamierzam wyjechać na jakiś czas – powiedziała tylko.

– Więc jednak wybierasz się na urlop?

– Nnno... mam zamiar połączyć przyjemne z pożytecznym: Wyjeżdżam do Londynu. – Przyjemność mogła polegać chyba tylko na odsunięciu się od bolesnych wspomnień po Marcu. Być może w Londynie łatwiej jej przyjdzie zapomnieć...

– Na jak długo? – dopytywała się matka.

– Co najmniej na miesiąc. Może... na dłużej.

– Jedziecie razem z Markiem? – spytała Mary po chwili milczenia.

– Nie, mamo. Unicom wysłała mnie, żebym otworzyła zagraniczną filię w Londynie.

– Rozumiem. – W głosie Mary dało się wyczuć rozczarowanie i dezaprobatę. Było jasne, że wcale nie rozumie córki.

– To dla mnie bardzo duża szansa zawodowa.

– Domyślam się, że nie jesteś ciekawa, co o tym sądzę.

– Nie, nie jestem.

– No to mogę tylko liczyć na to, że Marc będzie miał dosyć rozumu, żeby ci ten wyjazd wybić z głowy. – Odłożyła słuchawkę.

Hannah omiotła wzrokiem pusty pokój męża. A potem rozplakała się na całego, klnąc Marca, a nade wszystko przeklinając panią Sheldon. Zdawała sobie sprawę, że biedna kobieta była tylko Bogu ducha winnym posłańcem, któremu przypadła w udziale niewdzięczna misja. Jednak, gdyby właśnie wtedy nie przyszła z wiadomością o metryce, być może nadal byłiby z Markiem...

Zerwała się i jak szalona zaczęła krążyć po całym mieszkaniu. Zaglądała we wszystkie możliwe zakamarki, w zapamiętaniu szukając świadectwa ślubu. Być może oszukiwała samą siebie, może wszystko było już i tak stracone, gdyby jednak dokument się znalazł, nadal oficjalnie byłiby

małżeństwem.

Niewykluczone, że Marc i tak pragnąłby odzyskać swoją wolność, jednak nie byłoby to już aż takie proste. Wymagałoby rozmowy, komunikacji. No właśnie – komunikacji. Czegoś, co dotąd nie istniało. Musieliby zacząć ze sobą rozmawiać. Z pewnością potrwałoby to trochę. Miałaby czas, żeby wypytać męża o banjo i alergię na bakłażany. Czas, żeby porównać swoje upodobania, pochwalić się ukrytymi talentami. Czy kiedykolwiek wspomniała mu, że bardzo ładnie maluje? Czy powiedziała mu, że kiedyś pisała wiersze? Że kiedyś na obozie wygrała turniej pingpongowy? Że była harcerką i zdobyła najwięcej sprawności z całej drużyny? Nigdy nawet słowem o tym nie wspomniała. Skąd miał wiedzieć, że uwielbia watę na patyku? Że nie cierpi kaszy jaglanej? Że chce mieć dziecko? Tego mu z pewnością nigdy nie powiedziała. Nigdy nawet nie rozmawiali o dzieciach. A właśnie dotarło do niej, że chciałyby mieć dziecko. Tak, niestety, chciałyby mieć dziecko z Markiem.

Przekopała każdą szufladę w biurku, przetrząsnęła wszystkie teczki z dokumentami. Zajrzała do szafy z ubraniami, szuflad kuchennych i przejrzała wszystkie półki w salonie. Nigdzie jednak nie znalazła nawet śladu metryki.

Skonana i zrozpaczona padła na sofę, starając się w pamięci odtworzyć dzień ślubu. Z przymkniętymi oczami usiłowała zwizualizować pośpieszną ceremonię ślubną. Doktor Rusman zapewne wysoko oceniłby jej wysiłki. Wizualizacja wydawała się skutkować. Udało jej się nawet zobaczyć Marca, a potem siebie samą, podpisujących świadectwo ślubu. Urzędnik wziął dokument do ręki i wsunął w białą kopertę. Potem...

Otworzyła szeroko oczy. Ależ oczywiście! Wzięła kopertę z metryką i włożyła do torebki... szarej torebki oblamowanej węzową skórką. Poczula nagły ucisk w żołądku. Torebkę wraz ze stertą używanych ubrań parę tygodni wcześniej przekazała za pośrednictwem matki schronisku dla bezdomnych.

Rzuciła się do telefonu. Istniała niewielka szansa, że Mary nie zawiozła jeszcze darów do schroniska.

– Niestety, tak. Dobrych parę tygodni temu.

– Które to było schronisko? – Mogłaby tam pojechać. Ktoś, kto znalazł jej metrykę, pewnie zwrócił ją zarządowi schroniska.

– Nie jestem całkiem pewna. Wydaje mi się, że tamte rzeczy zostały wysłane gdzieś na południe. Chyba do Georgii. A może... do Arkansas. Dobrze jednak, że mnie o to pytasz.

– Dlaczego?

– Mam dla was poświadczenie darowizn, uprawniające do ulg podatkowych. Wiem, że to lubicie. Czy dlatego mnie pytasz o tamte rzeczy?

– Tak, właśnie dlatego – potaknęła z westchnieniem Hannah.

Odkładając słuchawkę, usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

Marc! Więc jednak wrócił! Przytknęła dłonie do rozpalonych policzków. Po tym, jak przekopała cały dom w poszukiwaniu metryki, wyglądała jak strach na wróble. Zdążyła się trochę ogarnąć, zanim stanął w drzwiach salonu.

– Cześć – pozdrowił ją niedbale.

– Cześć – odpowiedziała, z trudem przelękając ślinę.

– Jadłeś już coś?

Zdębiała. Jej niesłubny mąż wyprowadza się z całym dobytkiem z mieszkania, po czym wraca i jakby nigdy nic pyta: „jadłeś coś?” Czy wyobraża sobie, że odkrywszy jego ogołocony pokój, rozsiadła się nad wystawną kolacją, żeby uczcić swoją samotność?

– Nie, nie jadłam – odparła chłodno.

– To świetnie. – Z tajemniczym uśmiechem skierował się w stronę drzwi wejściowych.

– Panowie pozwolą – zwrócił się do kogoś.

Oszołomiona do reszty, mocniej owinęła się szlafrokiem. Do salonu wkroczyło dwóch kelnerów w białych marynarkach, pchając wózek przykryty lnianą serwetą, na którym połyskiwały srebrne pokrywy półmisek. Za nimi posuwał się kelner w czarnym fraku, niosąc butelkę szampana, kubek z lodem i stojak.

Oniemiała przyglądała się, jak mąż dyryguje przybyłymi. Stolik zatrzymał się przed kominkiem, dostawiono do niego dwa krzesła, szampan spoczął w kubku. Na znak Marca mężczyźni ulotnili się bezszelestnie.

– Co tu się dzieje? – zdołała wreszcie wykrztusić.

– Usiądź, proszę. – Obszedł stół dokoła i podsunął Hannah jedno z krzeseł. Siadła posłusznie, tymczasem Marc wcale nie skorzystał z drugiego krzesła, lecz z powrotem powędrował do drzwi wejściowych. Zastanawiała się, czy szef kuchni we własnej osobie przyjdzie ich obsłużyć.

Mylili się. Do mieszkania wkroczyła trzyosobowa kapela. Marc polecił im rozłożyć instrumenty przy wejściu do salonu, w niekrępującej odległości od stolika. Kapela zaczęła od „Mood Indigo”, ukochanej melodii Hannah. Nie wiedziała, jakim cudem Marc się domyślił. Była pewna, że nigdy nie zgadali się na ten temat.

Mężczyzna pozapalał świece, pogasił światła, nalał obojgu szampana do kryształowych kieliszków, wreszcie rozsiadł się naprzeciwko.

– Wyprowadziłeś się z wszystkimi rzeczami. Myślałam... byłam pewna, że odszedłeś.

Ujął kieliszek w obie dłonie.

– Pamiętasz tamtą noc w czasie podróży poślubnej?

– Oczywiście. – Dobrze wiedziała, o którą noc mu chodzi. – Nigdy jej nie zapomnę.

– To była noc, kiedy poczułem w sobie pełnię. Byłem nieprzytomnie szczęśliwy, zakochany do szaleństwa. Myślałem w kółko, że wreszcie mam to, czego w życiu najbardziej pragnąłem. – Dalej trzymał kieliszek, nie podnosząc go do ust. – Popelniliśmy masę idiotycznych błędów.

– To prawda – wyszeptła, nie odrywając od niego oczu. Kochała jego twarz, dźwięk jego głosu, ciepłe, zmysłowe spojrzenie, uśmiech, w którym odsłaniał szereg równych, białych zębów...

– Chcieliśmy dobrze za wszelką cenę – ciągnął – tymczasem wszystko wyszło nam na opak. Zagraliśmy się na śmierć w konwencji, która żadnemu z nas nie odpowiadała.

Potaknęła w milczeniu.

– Bardzo bym nie chciał, żeby się to powtórzyło – powiedział cicho.

Jego wyznania na tle „Mood Indigo” bardzo ją poruszyły.

– To było bardzo smutne – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

– To prawda. Cały czas czułem, że nie o to nam chodzi, jednak nie mogłem się zdobyć na odwagę, żeby ci powiedzieć, że potrzebuję żony, a nie współnika z ograniczoną odpowiedzialnością.

– Ja... cały czas potrzebowałam męża – przyznała się również. – Kogoś, na kim mogłabym polegać, przed kim mogłabym się szczerze wygadać, kogoś, kto chciałby się ze mną czasami bawić, odkrywać nie znane nam horyzonty...

– Twoja praca przesłaniała ci wszystko. W twoim rozkładzie zajęć nie było w ogóle dla mnie miejsca.

– A ty? – odparowała. – Zachowywałeś się dokładnie tak samo. Zakopywałam się w mojej robocie, bo ty stałe siedziałeś po uszy w swojej. Myślałam, że twoim ideałem jest niezależna żona.

– Moim ideałem jest żona, która przede wszystkim zaspokaja moją potrzebę bycia kochanym i rozumianym, a dopiero potem wysiła się, żeby uszanować moje prawo do prywatności.

– Szkoda, że nigdy nie zdecydowałeś się, żeby mi o tym wszystkim powiedzieć! Jednak nie pisałeś ani słowa. Ani o tym, że pragniesz mojego czasu i moich uczuć, ani o banjo, ani o bakłazanach, ani... ani w ogóle o niczym. – Tercet właśnie przystąpił do wykonania „I Don't Know Why I Love You Like I Do”. – Czy moglibyście się zamknąć, z łaski swojej? – rzuciła ostro pod adresem kapeli.

Utwór urwał się w pół nuty. Muzycy skryli się w przedpokoju.

– Ładne rzeczy – rozłożył się Marc. – Ja staram się być romantyczny, stworzyć nastrój...

– Z pewnością udało ci się stworzyć nastrój. Wystarczy zajrzeć do

twojego pokoju.

– Oczywiście, nie chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłem? – wrzasnął.

– Wiem bez niczyjej pomocy! – odwrzasnęła. – Ledwie ci dałam wolną rękę, to zwałeś z domu, aż się zakurzyło!

– To ty tak uważasz.

– Owszem, tak właśnie uważam.

– No więc, mylisz się. – Zerwał się od stolika, chwycił Hannah i poderwał ją również. – Wyniosłem moje rzeczy z domu tylko i wyłącznie z jednego powodu.

– No dobrze, niech ci będzie. I co to niby za powód? – spytała sceptycznie.

– Powód jest ten, że cię kocham. I chcę się z tobą ożenić! – wykrzyknął. Dotąd trzymał ją mocno, teraz lekko zwolnił uścisk. – Naprawdę chcę się z tobą ożenić – powtórzył, już łagodniej. – Chcę, żeby nasze mieszkanie było dla nas prawdziwym domem, a nie dwuosobowym miejscem pracy. Chcę mieć jedną sypialnię, sypiać w jednym łóżku. We wspólnym łóżku, we wspólnej sypialni. Chciałbym, żebyś była ostatnią osobą, do której odzywam się przed zaśnięciem i pierwszą, z którą witam się po przebudzeniu. Chcę mieć prawdziwą żonę i być dla niej prawdziwym mężem. Czuję potrzebę przewartościowania naszych dotychczasowych zasad. Chcę...

– Zaraz, zaraz – wtrąciła bez tchu. – A może ja też czegoś chcę...

– To, czego ty chcesz, jest bardzo dla mnie ważne. – Objął ją i pocałował, przygotowując o miły zawrót głowy. – Powiedz mi wreszcie, czego ty chcesz?

– Chcę... wziąć prawdziwy ślub. Kościelny. Chcę pójść do ołtarza w szalowej sukni. Chcę mieć drużny i dziewczynkę, która będzie niosła za mną kwiaty, nawet, gdyby miała zwymiotować na mój tren.

– Umowa stoi. – Puścił do niej oko.

– Chcę mieć... prawdziwą podróż poślubną, a nie urywać się z pracy na kilka dni.

– Co byś powiedziała na Paryż? Trzy tygodnie w Paryżu?

– Dwa tygodnie w Paryżu i jeden w Wenecji.

– Umowa stoi.

– Chciałabym... nauczyć się gotować, żebyśmy mogli przyrządzać czasem którąś z tych pysznych potraw z książki kucharskiej twojej matki.

– Błagam cię, nie wysyp mnie przed mamą, ale ona wcale nie była taką rewelacyjną kucharką. Wolałbym z tobą wymyślić nowe potrawy.

– Umowa stoi – wyszeptła z konspiracyjnym uśmiechem.

– Coś jeszcze? – Poglądził ją po twarzy.

– W tej chwili akurat tylko jedna rzecz przychodzi mi do głowy. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Domyślam się co. – Koniuszkiem palca obrysował jej wargi.

– Naprawdę?

– Zagrajcie coś nastrojowego – rzucił do przedpokoju muzykom. W chwilę później salon zatonał w słodkich dźwiękach. Marc padł na kolana i ujął dłoń Hannah w swoje ręce. – Kocham cię do szaleństwa i żyć bez ciebie nie mogę. Czy wyjdiesz za mnie? Czy zgodzisz się do końca życia być moją żoną?

– Tak, najdroższy. – Łzy zabłyśły w jej oczach. Osunęła się na kolana, żeby mogli patrzeć sobie prosto w oczy. – Wyjdę za ciebie i będę starała się być najlepszą z żon.

Patrzyli na siebie w zachwycie. Oboje mieli wrażenie, że są pierwszymi ludźmi na świecie, którzy mają zamiar się pobrać. Dotknęli się lekko i zadrżeli. A potem zaczęli się całować mocno, zachłannie, radośnie.

– Bardzo mi się podoba to, co robimy, ale, prawdę mówiąc, chciałabym jeszcze czegoś – wyznała Hannah, z trudem łapiąc oddech.

– Wszystko, czego tylko zechcesz – odpowiedział ze śmiechem. Gładził ją po włosach, twarzy, szyi, jakby chciał przejąć jej fluidy.

– Chciałabym otworzyć wspólne konto bankowe, opiewające na Hannah Logan-Welles i Marca Welleśa.

Obiad za dwieście dolarów stygł nietknięty na śnieżnobiałym obrusie. Muzycy odegrali ostatni numer i dyskretnie ulotnili się, zanim Marc wziął Hannah na ręce i zaniósł do sypialni. Z najwyższą ulgą, obejmując słą czule, spoczęli w wielkim małżeńskim łóżku.

Zadzwonił telefon.

– Nagra się na sekretarkę – wymruczała Hannah, przytulając głowę do ramienia Marca.

A oto tekst, który Mary Logan nagrała na automat.

„Kiedy pytałaś mnie o rzeczy dla bezdomnych, zupełnie zapomniałam ci powiedzieć, że nie opróżniłaś porządnie torebek, które przekazałaś w darze. Nie wiem, czy było tam coś ważnego, na wszelki wypadek jednak wsadziłam to wszystko do jednej koperty. Wpadnij rzucić okiem. Mogą tam być jakieś kwity czy coś, czego będziecie potrzebować do oświadczeń podatkowych na koniec roku. Jak znajdziesz chwilkę czasu...”



Harlequin

TEMPTATION

Hannah i Marc są przekonani, że ich małżeństwo będzie udanym związkiem. Znają się i lubią, mają podobne zainteresowania, wyznają zbliżone poglądy i, co w ich mniemaniu najważniejsze, oboje przykładają równie wielką wagę do pracy zawodowej. Zarówno Hannah, jak i Marc znajdują się na najlepszej drodze do zrobienia kariery i zakładają, że małżeństwo nie przekreśli tej szansy. Okazuje się jednak, że nie można być rzadkim gościem we własnym domu, że pielęgnowanie miłości wymaga chęci i czasu. Jak potoczą się losy młodej pary? Jakie wartości zwyciężą?

Romansów jest wiele - miłość tylko jedna...



...książki Harlequin to ogrody miłości.

ceną 23 900 zł.